tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 26 (1381)
22-28.06.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

PROFESOROWIE JERZY BRALCZYK, GRZEGORZ KOŁODKO, ANDRZEJ ROMANOWSKI

SIEĆ BADAWCZA ŁUKASIEWICZ PODBIJA KOSMOS

ZAMIAST WĘGLA – BŁOTO ZA 530 MLN

ZAKŁAMANA POLITYKA HISTORYCZNA



UPA w Ukrainie



Narodowe Siły Zbrojne w Polsce



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

eprasa.pl 3eb4cd8e4c



Rozmowy Pawła Dybicza z byłymi członkami PZPR, funkcjonariuszami, przedstawicielami władz centralnych. Ta książka nie jest historią PRL. Jest zapisem osobistych odczuć i przemyśleń rozmówców na temat przyczyn upadku Polski Ludowej oraz świadectwem uczestnictwa w procesie transformacji.

iskry.com.pl

eprasa.pl 3eb4cd8e4c



Paweł Dybicz

MÓJ PRZEGLĄD

Jałowy spór o fotel prezesa IPN

Niebawem minie rok, odkąd prezes Instytutu Pamięci Narodowej Karol Nawrocki złożył przysięgę w Sejmie jako prezydent RP. Instytucja nie ma więc szefa, co nie znaczy, że nie funkcjonuje. Na miarę umiejętności, pracowitości i intelektu zatrudnionych w niej osób.

Jak ważną osobą w państwie jest prezes IPN, mogliśmy się przekonać w czasie wyborów prezydenckich. Instytucja wykreowana w celu zwalczania Polski Ludowej, lewicy i jej ludzi, deprecjonowania ich dokonań, okazała się znakomitą trampoliną do władzy. O wyborze Nawrockiego nie zdecydowała jego kibolska osobowość, zaważyły potęga i wpływy instytucji, którą kierował. Nade wszystko jednak polityka historyczna realizowana przez IPN za setki milionów złotych rocznie.

Sejm już raz głosował nad kandydaturą Karola Polejowskiego, bliskiego współpracownika Nawrockiego. I ją odrzucił. Od wielu tygodni trwa proces wyłaniania następnego kandydata. Jest nim kolejny współpracownik prezydenta – Mateusz Szpytma. Ta kandydatura dzieli koalicję, bo PSL uroiło sobie, że to dobry potencjalny nominat. Peeselowcy nie pojmują, że ludzie Kaczyńskiego celowo rzucili go „na odcinek ludowy", by dokumentował antykomunistyczną przeszłość ludowców. Na dodatek Szpytma, upowszechniając wiedzę o rodzinie Ulmów, miał dowodzić, że chłopi gremialnie pomagali Żydom w czasie wojny i po niej. Za tą kandydaturą jawnie lobbuje Piotr Zgorzelski, który twierdzi, że ten wybór to jedyna szansa, by w najbliższych latach obecna koalicja miała choć trochę kontroli nad IPN. Zgorzelski oszukuje koalicjantów, bo po wyborze Szpytmy koalicja nie będzie miała nic do powiedzenia w IPN. Jedynym jej orężem jest uchwalony przez nią budżet instytutu. Ludowcy mają nadzieję, że Szpytma jako prezes będzie się rewanżował posadami i opłacaniem ich imprez. Do peeselowców nie trafiają argumenty przeciwko tej kandydaturze wyrażone w liście ponad 170 historyków.

Kandydatura Szpytmy dzieli koalicję rządzącą, dlatego marszałek Włodzimierz Czarzasty już trzeci raz przesunął głosowanie na późniejszy termin. Ludowcom otwarcie przeciwstawiaja się KO i Nowa Lewica. „Nie jestem entuzjastą tej kandydatury", powiedział Donald Tusk. W podobnym duchu wypowiada się marszałek Sejmu. Być może prawicy, z poparciem PSL, uda się przepchnąć Szpytmę na szefa IPN. Ale ten wybór musi zaakceptować Senat, a w nim wyraźną przewagę mają senatorowie KO i Lewicy.

Trudno powiedzieć, jak będzie, ale sedno sprawy leży nie w wyborze prezesa IPN, lecz w tym, co instytut robi, jaką głosi politykę historyczną. Bez głębokich zmian w IPN, już nie mówię o jego likwidacji, spór o fotel prezesa będzie drugorzędny.

BĄKOWSKI



eprasa.pl 3eb4cd8e4c

W NUMERZE

KRAJ

8 **Czy PiS i Konfederacje wyprowadzą nas z Unii**
Zohydzanie UE jest skuteczne

16 **Dla nas błoto, dla nich złoto**
Pisowski przekręt na węglu

20 **Polskie marki, które wróciły**
Pouczająca historia Zelmera

26 **Sztafeta dobra**
– rozmowa z prof. Bernadettą Darską

30 **Polska sięga gwiazd**
Kosmiczne projekty Sieci Łukasiewicz

49 **Zamroczenie i wyjaśnienie**
Tomasz Jastrun odpowiada dyrektorowi PIW

HISTORIA

11 **Zakłamana polityka historyczna**
UPA w Ukrainie, NSZ w Polsce

50 **Przed PiS była AWS**
Wielkie, acz chwilowe zjednoczenie prawicy

TECHNOLOGIE

24 **Cyfrowa pułapka uwagi**
Dlaczego scrollowanie tak wciąga

OPINIE

34 **Grzegorz W. Kołodko**
Polityka strachu

ZDROWIE

36 **Chaos w polskiej diagnostyce genetycznej**
– rozmowa z prof. Olgą Haus

ZAGRANICA

40 **Dekada pustki po brexicie**
Zwolennicy brexitu niezrażeni skutkami

44 **Draka na Morawach**
Kongres Niemców sudeckich w Brnie

46 **Meloni w impasie**
Korespondencja z Rzymu

KULTURA

55 **Afryka 30 kilometrów od Warszawy**
Festiwal w Kawęczynie

56 **Powrót do maczugi**
Wywrotowa inscenizacja „Hamleta”

58 **Wolność-obecność**
Remigiusz Grzela z Nagrodą Karoliny Beylin

59 **Qulturalia**

66 **Reencounter. Ponowne spotkanie**
Wystawa Pabla Caviedesa

SPORT

60 **Piłkarze już nie cierpią, futbol nieco bardziej**
W roli Polaków Czesi

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Paweł Dybicz**
Jałowy spór o fotel prezesa IPN

7 **Jerzy Bralczyk**
Wentyle i kotły

19 **Jan Widacki**
Co się dzieje z demokracją?

23 **Andrzej Romanowski**
Stulecie niespełnione

33 **Tomasz Jastrun**
Inne racje



24
TECHNOLOGIE

CYFROWA PUŁAPKA UWAGI
Dlaczego scrollowanie tak wciąga



40
ZAGRANICA

DEKADA PUSTKI PO BREXICIE
Zwolennicy brexitu niezrażeni skutkami



56
KULTURA

POWRÓT DO MACZUGI
Wywrotowa inscenizacja „Hamleta”



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER, WALDEMAR KOMPALA/KPRM, MIKOŁAJ BUJAK/IPN

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

Z UPA na piedestale

Banderyzm jest mitem założycielskim i spoiwem polityczno-społecznym współczesnej Ukrainy. Na Majdanie został wsparty przez Zachód (głównie USA), a później podniesiony do statusu mitu założycielskiego państwa. Bez wspierania banderyzmu Zełenski nie byłby prezydentem. Ukraina po prostu taka jest i gesty takie jak odbieranie odznaczeń czy żądania zmian decyzji są śmieszne i uwłaczające dla Polski, tak jak ciągłe prośby, wręcz błagania, o ekshumacje ofiar Wołynia.



Ukraina od zawsze jest państwem nieprzyjaznym Polsce, świadczą o tym zarówno artykułowane przez różne ukraińskie środowiska od wielu lat roszczenia do części Podkarpacia i Lubelszczyzny, a nawet bezczelna, potwierdzająca to wypowiedź na Kampusie Polska ukraińskiego ministra Kułeby w obecności ministra Sikorskiego (który w ogóle nie zareagował). (...) Przypomnę decyzję ukraińskiego parlamentu kilka godzin po wizycie w nim i przemówieniu prezydenta Komorowskiego. Można też przypomnieć zachowania Ukrainy związane z przepływem towarów (zboże techniczne) czy blokowanie przejść granicznych i skargi na Polskę do organizacji międzynarodowych. Jakiekolwiek więc oczekiwanie, że wskutek żądań, próśb czy nalegań Ukraina zmieni politykę wewnętrzną, jest naiwnością (...).

Polska, podobnie jak Ukraina, jest wykorzystywana jako pionek w grze USA przeciwko Rosji. Powodem jest znana wszędzie patologiczna rusofobia dużej części społeczeństwa i tzw. klasy politycznej, a także hołdowanie idiotycznej doktrynie traktowania Ukrainy jako buforu przed Rosją. Ten aspekt spowodował ogromne zaangażowanie Polski („Polska jest sługą narodu ukraińskiego") w sprawy Ukrainy z katastrofalnymi skutkami dla kraju (...) Uważam, że Polska ośmiesza się i traci wizerunkowo i politycznie, zachowując się wobec Ukrainy jak niepewny swoich racji petent. Polscy politycy powinni traktować Ukrainę jako państwo, wobec którego należy prowadzić ostrożną i asertywną politykę z uwzględnieniem przede wszystkim własnych interesów.

Mariusz Kudła

•

Reakcja polskich polityków nie może dziwić, ponieważ widzą oni oczekiwania większości społeczeństwa, które krytykuje władze Ukrainy za kult banderyzmu, OUN i UPA. Do dziś żyją ludzie pamiętający zbrodnie ukraińskich nacjonalistów. Nie chodzi tylko o Wołyń, bo wystarczy przyjechać na Podkarpacie i zapoznać się z historią takich miejscowości jak Bircza, Baligród czy Wiązownica. Sytuacja wygląda tak, że Polska bardzo pomogła Ukrainie w obronie przed atakującą Rosją, a w zamian dostaliśmy „bohaterów UPA", pomniki Szuchewycza i zero reakcji władz naszego wschodniego sąsiada na obchody upamiętniające dywizję SS Galizien. Politycy znad Wisły rozumieją, że rośnie gniew Polek i Polaków, a są to wyborcy, z których znacząca część ma dobrą pamięć. Paweł Kowal działa na wielu mieszkańców mojego regionu jak płachta na byka (czemu wcale się nie dziwię), a przekaz płynący z ust Leszka Millera i innych polityków robi swoje. Do tego dochodzi nieakceptowalna sytuacja z kręceniem Ukrainy w sprawie ekshumacji obywateli II RP, którzy stracili życie z rąk „bohaterów UPA"!

Damian Paweł Strączyk

ZDJĘCIE TYGODNIA



Barack Obama z córkami Malią i Sashą podczas otwarcia Centrum Prezydenckiego Obamy w Chicago, 18 czerwca 2026 r.

FOT. JONATHAN ERNST/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

Minutę i szesnaście sekund trwała rozmowa Karola Nawrockiego z Donaldem Trumpem przy ringu w czasie gali z okazji 80. urodzin gospodarza Białego Domu. O wiele dłużej Nawrocki narzekał w USA na polski rząd.

•

87% uczniów doświadczyło w ciągu roku przemocy rówieśniczej, 75% jednej z form cyberprzemocy, a prawie 63% przemocy fizycznej (raport **„Rówieśnicy" Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę**).

•

Za Marcinem Kubiczkiem, byłym syndykiem masy upadłościowej Getin Noble Banku i Idea Banku, ciągnie się coraz więcej afer. Grupa kancelarii prawnych powiązanych z Kubiczkiem zarobiła ponad 275 mln zł. Trzech dyrektorów Bankowego Funduszu Gwarancyjnego, którzy najpierw działali na jego korzyść w BFG, później przeszło do pracy u Kubiczka.

•

Dawid Kacprzyk, były przewodniczący Nowej Generacji (2023-marzec 2026), młodzieżówki Koalicji Obywatelskiej, jako młody lekarz bez specjalizacji zatrudniony na stanowisku koordynatora w Warszawskim Szpitalu Południowym zarobił tam w 2025 r. 1,6 mln zł. W papierach ma, że pracował po 330 godzin miesięcznie. Gdy to wypłynęło, stracił posadę i członkostwo w KO.

PRZEBŁYSKI



Wojtek Łaski kontra Google

Prawda kontra kłamstwa. Zdjęcia kontra Google i AI. Traktowanie internetu jako źródła informacji ma taki sens jak wiara, że Nawrocki jest prezydentem wszystkich Polaków.

Bywa, że wiedza z Google'a potrafi zadziwić. Nawet Wojtka Łaskiego. Legendarny fotoreporter przeczytał w internecie, że gen Jaruzelski nigdy nie złożył wieńca pod pomnikiem poległych robotników Grudnia '70. Jak to nie złożył, skoro Łaski ma własne zdjęcia z tego wydarzenia? Podobnie jest z informacją, że Wojciech Jaruzelski i Bronisław Komorowski wspólnie nigdy nie byli w Katyniu – Łaski wtedy był z nimi. I zrobił zdjęcia.

Jaki z tego morał? Chcesz wiedzieć, jak było naprawdę, pytaj Wojtka Łaskiego. Jest o wiele bardziej wiarygodny od Google'a.


Nasz absolwent jest prawnikiem kompletnym

O. Rydzyk łowi na praktyki u Nawrockiego

Oryginalnym poczuciem humoru popisał się dr Paweł Bobrowicz, wykładowca prawa w Akademii Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu.

Zachęcając do studiowania na uczelni o. Rydzyka, powołał się na obowiązujące tam w dydaktyce wartości chrześcijańskie. I na Ewangelię. Pochwalił się też, że na pierwszych zajęciach wyświetla studentom cytat ze św. Jana Pawła II.

Była także oferta dla tych studentów, którym bliższe są, niestety, konkretne korzyści. Mają to być praktyki w kancelarii prezydenta Nawrockiego i w Trybunale Konstytucyjnym, ulubionych miejscówkach Radia Maryja.

Trzeba jednak dużej wyobraźni, by doszukać się ewangelicznych cnót u panów Nawrockiego i Święczkowskiego. Chyba że chodzi o powszechnie znane cnoty o. Tadeusza.

PYTANIE TYGODNIA

Czy powinniśmy wrócić do bonu turystycznego w całej Polsce?

DR BARTOSZ KICIOR,
socjolog, wykładowca AGH

Powrót do bonu ma sens, jeśli pomożemy regionom potrzebującym ruchu jak tlenu. Nie wydaje mi się, żeby Zakopane czy Trójmiasto potrzebowały więcej turystów w sezonie. Wprowadzenie warunków regionalnych – ograniczenie programu do uboższych i mniej obleganych obszarów – pozwoli uniknąć tłumów i wesprze biznesy na terenach omijanych w ostatnich latach z powodu różnych problemów. Istotne jest też, komu bon przyznamy, by uniknąć niezadowolenia społecznego. Szanse, że wygra on z modą na zagraniczne podróże, do krajów z pewniejszą pogodą, które lepiej wyglądają w social mediach, są małe. Choć wkrada się moda na nasze, polskie, to wyjazdy w Bieszczady czy Beskid Niski są często elementem spektaklu w mediach społecznościowych, służącego kreowaniu wizerunku, pokazaniu alternatywności i turystycznego patriotyzmu.

DR SERGIUSZ PROKURAT,
ekonomista, wykładowca w Akademii Finansów i Biznesu Vistula

Z perspektywy ekonomicznej powrót do bonu turystycznego to fundamentalny błąd. Choć doraźnie cieszy hotelarzy, w dłuższej perspektywie niszczy rynek przez sztuczne napędzanie popytu. Wywołuje wzrost cen usług hotelarskich bez poprawy ich jakości. Co kluczowe, mechanizm ten działa dokładnie tak samo jak wadliwe programy dopłat do kredytów, z których rządy musiały pośpiesznie się wycofywać – bon to po prostu to samo zjawisko, tylko w skali mikro. Uzależnia od pomocy państwa, dzieli społeczeństwo na odbiorców i tych, którzy się na niego nie załapali, oraz niepotrzebnie obciąża jego operacyjnością administrację ZUS. Badania pokazują, że bony turystyczne nie budują dobrobytu, a koniec ich funkcjonowania wywołuje wstrząs na rynku.

ANDRZEJ KWIATKOWSKI,
prezes Lubelskiego Stowarzyszenia Agroturystycznego, właściciel gospodarstwa agroturystycznego Na Skraju Lasu w Chodlu

Zdecydowanie powinniśmy wrócić do bonu turystycznego, ponieważ poprzednia akcja okazała się ogromnym sukcesem zarówno dla kwaterodawców, jak i samych klientów. Inicjatywa ta realnie wspierała gospodarstwa agroturystyczne, które cenowo są przecież dużo tańsze niż hotele czy kurorty. Dzięki temu z wypoczynku mogą skorzystać osoby, które dotychczas w ogóle nigdzie nie wyjeżdżały. Dodatkowo ten program znakomicie uporządkował rynek i tzw. szarą strefę, ponieważ zmusił obiekty działające dotąd całkowicie pokątnie do ujawnienia się oraz oficjalnego zarejestrowania w gminach – to był warunek konieczny, aby w ogóle móc przyjmować płatności z programu. Bon w tradycyjnej formule to świetne rozwiązanie i jestem za tym, żeby je kontynuować.

Rozmawiał Maciej Belowski

FOT. WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS, ARCHIWUM

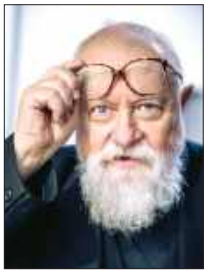
eprasa.pl 3eb4cd8e4c

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI



mleczko.pl

sklep.mleczko.pl



Jerzy Bralczyk

Zrządzenia i zrzędzenia

Wentyle i kotły

Dawniej mówiono o wentylach bezpieczeństwa. Miały to być takie zachowania ze strony władzy, które czyniły znośniejszym to, co wynikało z jej działań, a nie cieszyło się poparciem powszechnym. Dotyczyło to np. poluzowań cenzury, które można było skądinąd postrzegać jako jej nieuwagę czy słabość. Takie choćby wyglądające na ryzykowne kabaretowe żarty, takie nieco zbyt przejrzyste aluzje czy wręcz manifestacje lekkiego sprzeciwu wobec władzy niektórych dziwiły, innym nasuwały myśli o nie takiej znów silnej (lub nie tak znów nieznośnej) opresji ze strony rządzących. Taka to była wentylowa metafora, odwołująca się do prostych, łatwo wytłumaczalnych i obrazowo wyobrażalnych zjawisk fizycznych – bo jak wentyla nie ma, sprężone powietrze może coś wysadzić i szkody przyczynić. Dzisiaj choćby trudno wytłumaczalne dla wielu świadectwa mniejszego niż w obowiązującym przekonaniu okrucieństwa peerelowskiej cenzury tak się próbuje wyjaśniać czy uzasadniać.

Niektóre dzisiejsze wypowiedzi polityków, co do których nieodpowiedzialności łatwo o zgodę, próbuje się tłumaczyć tym, że w ten właśnie sposób upuszcza się pary z kotła, którą to parą mają w tym wypadku być narastające i mało wyrażalne publicznie nastroje społeczne. I dlatego np. posłowie, jak Czarnek czy Kowalski, mogą z obywatelską troską pytać o obecność w rządzie ludzi pochodzenia ukraińskiego. I ma to wcale nie być populistyczna chęć zdobycia poklasku ani przejaw zrozumienia dla antyukraińskiej pary w kotle, tylko rozsądne działanie, żeby trochę jej upuścić. Bo inaczej…

Metafory mają to do siebie, że przekonują. To, co łatwo wyobrażalne, a przy tym nieco złożone, zdaje się poświadczać prawdziwość porównania – w końcu na porównaniach tego, co nowe, do tego, co znane i logiczne, polega nasze poznanie. I dobrze wyobraziwszy sobie takie ciekawe fizyczne zjawisko, jesteśmy bardziej podatni na myślenie, że ma ono np. społeczne analogie.

I właśnie dlatego metafory bywają niebezpieczne. Usprawiedliwiają wypowiedzi i działania, często trudne do innych usprawiedliwień. Strzeżmy się metafor, nawet, a może zwłaszcza, gdy mają jakieś łatwe do wyobrażenia uzasadnienia…

■

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

Czy PiS i Konfederacje wyprowadzą nas z Unii

Robert Walenciak

Czy grozi nam polexit? Oczywiście. Jak najbardziej. Chmury się zbierają. Rośnie liczba Polaków niechętnych naszej obecności w Unii. Coraz głośniejsi są politycy i publicyści, którzy atakują i obrzydzają nam Brukselę. Okręt płynie więc przez wzburzony ocean. I nikt nie wie, jak ta podróż się skończy.

W lutym publikowaliśmy apel o ustawę, która utrudniłaby wyjście Polski z Unii. Bo dziś jest to banalnie proste – wystarczy zwykła ustawa sejmowa i podpis prezydenta. Wszystko w jeden dzień. Wtedy też cytowaliśmy wyniki sondażu pracowni OGP, która zadała pytanie: „Gdyby w najbliższą niedzielę odbyło się referendum w sprawie wyjścia Polski z Unii Europejskiej, jak by Pan/i zagłosował/a?".

I cóż, za polexitem opowiedziało się 24,5% ankietowanych. To gigantyczny wzrost, bo jeszcze w lutym 2019 r. za wyjściem z Unii było 6,7% Polaków. Podobne wyniki przyniósł majowy sondaż United Surveys by IBRiS dla Wirtualnej Polski. Mamy więc kolosalną zmianę. I nasuwa się pytanie, co takiego się stało, że Polska tak się zmieniła? I czy to trwała tendencja?

Wiele tłumaczą kolejne dane. Otóż wśród wyborców rządzącej koalicji odsetek zwolenników polexitu jest praktycznie zerowy. Natomiast jeśli chodzi o wyborców PiS, w styczniu 2026 r. tylko 46,4% chciało pozostania w Unii, natomiast 43,6% było za wyjściem. Wyborcy Konfederacji są jeszcze bardziej antyeuropejscy – 42,6% jest za Unią, 47,3% wybiera polexit.

I pytanie zasadnicze: co było pierwsze? Czy wyborcy prawicy są antyeuropejscy dlatego, że są zwolennikami partii prawicowych, czy przeciwnie – dlatego są zwolennikami PiS lub Konfederacji, że są antyeuropejscy?

Bardziej logiczna wydaje się odpowiedź numer 1. Że politycy PiS i obu Konfederacji, szukając politycznego paliwa, rozniecają nastroje antyunijne. Te działania przyniosły efekt, więc później, ponieważ walczą o tego samego wyborcę, zaczęli się licytować, kto bardziej dowali Unii. I poszło. Ich wyborcy ruszyli za tymi hasłami. Często bezrefleksyjnie. Na zasadzie, że hasła „naszych" z definicji muszą być słuszne. W ten sposób rolnicy, którzy zyskali na wejściu do Unii najwięcej, dziś są – w dużej grupie – jej przeciwnikami. Dlaczego? Przecież nie z powodów ekonomicznych.

Politycy Konfederacji i PiS nie mówią, że chcą wyjść z Unii, ale że chcą ją poprawić.

Ale w tym miejscu nasuwa się kolejne pytanie. Dlaczego teraz nastroje antyunijne udało się rozniecić, a w 2019 r. się nie udawało? Na pewno jest to efekt ciężkiej, wieloletniej pracy środowisk prawicowych. Jeżeli przez lata prowadzi się operację zohydzania Unii Europejskiej na wiele sposobów, musi to przynieść efekty. A właśnie tak ją zohydzano.

Jedni przedstawiają Unię jako wielki spisek, który ma nas wynarodowić i przerobić. Drudzy jako biurokratycznego Lewiatana, który chce nas spętać i narzucić normy zachowania. Inni z kolei jako bankruta, od którego trzeba się uwolnić. A jeszcze inni jako „rękę Niemca", projekt budowy niemieckiego panowania.

Redaktor naczelny „Do Rzeczy" Paweł Lisicki pokazuje Unię jako złowrogi projekt budowy „scentralizowanego państwa europejskiego", które ma powstać poprzez zniszczenie państw narodowych. I tak tłumaczy ten złowieszczy plan: „Potrzebne jest to, co komuniści nazywali nadbudową, a więc wspólna ideologia. Ma ona z jednej strony rozbić tożsamości i zdekonstruować pamięć poszczególnych narodów, a więc dawne obyczaje, prawa i przede wszystkim religię, z drugiej – dać wizję przyszłości i zbudować nowy, europejski naród. W przypadku Unii nadbudowa ta ma kilka najważniejszych komponentów ideologicznych".

Najważniejszym z tych komponentów jest „genderyzm", czyli – jak tłumaczy Lisicki – pogląd, że nie istnieją dwie płcie, a podział na mężczyzn i kobiety oraz na role męskie i kobiece jest konstruktem społecznym i kulturowym. Gdy to uznamy, zerwiemy ciągłość z minionym pokoleniem, z naszą tradycją.

Drugi komponent to tzw. zielona rewolucja. „Utopia zeroemisyjnej Europy ostatecznie ma doprowadzić do powszechnego zubożenia niemal wszystkich, oczywiście z wyjątkiem wąskiej grupy eurokratów i stojących za nimi korporacji", wieszczy autor. I tłumaczy, że cała ideologia klimatyczna przypomina sektę religijną. Gdyż twierdzenie, że mamy do czynienia z wywołaną aktywnością człowieka zmianą klimatu, która prowadzi do dziejowej katastrofy, jest przyjmowane jak dogmat wiary.

Trzeci na liście jest „imigracjonizm", czyli dążenie do otwarcia granic narodowych, wymieszania w Europie wszystkich ras, kultur i narodów. Oto przebiegły pomysł zniszczenia naszego świata.

eprasa.pl 3eb4cd8e4c



Marsz Konfederacji Korony Polskiej pod hasłem „Stop inwazji imigrantów". Nz. Marcin Rola (z prawej) i Karolina Pikuła. Warszawa, 25 kwietnia 2026 r.

„W ten sposób znikają ostatnie ślady chrześcijaństwa, a masowy napływ imigrantów rozbija lokalne i regionalne tożsamości", straszy autor, dodając, że gdy liczba migrantów przekroczy pewną granicę, stracimy też zdolność do „utrzymania własnej pamięci kulturowej". Dlatego że będziemy musieli ciągle brać pod uwagę wrażliwość i odczucia przybyszów i do nich się dostosowywać.

„Na naszych oczach rodzi się nowa Unia, która nie ma nic wspólnego z instytucją, do której Polska przystępowała 20 lat temu, do złudzenia zaś przypomina Związek Sowiecki, przed którym uciekaliśmy", podsumowuje Paweł Lisicki.

Oto trzej jeźdźcy Apokalipsy: Gender, Zielony Ład i Imigrant.

Odłóżmy na bok prostą konstatację, że przestrogi Lisickiego to opis Unii nieistniejącej lub istniejącej, ale w wyobraźni autora. Ważne jest coś innego – strach przed Unią Europejską, przed diabelskim planem, który ma nas wszystkich przerobić na nie wiadomo co, został zasiany i opisany. Wszystkie ideologie czy wielkie ruchy społeczne od tego zaczynają – od opisu świata, który zmierza ku zagładzie, od pokazania wroga. A gdy wróg już jest, można z nim walczyć.

•

W Polsce strach przed Unią Europejską początkowo był eksploatowany przez grupę publicystów, ludzi nauki. W polityce – przez grupki skrajnej prawicy, kolejne partie Janusza Korwin-Mikkego, później Konfederację. A potem okazało się, że antyunijną melodię da się zagrać razem z melodią ksenofobów, nacjonalistów, że to przemawia. I Jarosław Kaczyński uznał, że to się opłaca. Jego kampania w 2015 r. to pokazała. Wtedy straszył Polaków uchodźcami. I Unią, która ich przyjmuje, a potem będzie odsyłać do Polski. I Niemką, Angelą Merkel, która za tym stoi.

Droga, którą proponują Bosak, Czarnek czy Nawrocki, to droga awantur z Unią.

W 2020 r. Andrzej Duda prowadził swoją kampanię, wołając, że LGBT to nie ludzie, to ideologia, i strasząc w miastach powiatowych potworem gender oraz tym, że Unia to „wyimaginowana wspólnota".

Osiem lat rządów PiS przyniosło konkretne efekty. Do mediów związanych z PiS popłynęły ze spółek skarbu państwa miliony złotych. Media publiczne przekształcono w maszynki do prania mózgów. Narracja, którą przekazywały – nacjonalistyczna, autorytarna, antyelitarna, klerykalna, że Polska jest otoczona przez wrogów, z brukselską biurokracją na czele, że czas na egoizm narodowy – współgrała z antyunijnym przekazem.

To, co początkowo było językiem politycznego marginesu, frustratów, zaczęło być na prawicy akceptowane. Stało się normą. A wybory z 15 października 2023 r. i rząd koalicji jeszcze tę tendencję wzmocniły. W sposób naturalny.

Po pierwsze, jeżeli Koalicja 15 Października przedstawia się jako koalicja powrotu do Unii Europejskiej, to ci, którzy są przeciw, automatycznie sytuują się po drugiej stronie. Jako wrogowie Unii. Po drugie, jeżeli na prawicy wyrosły trzy ugrupowania, PiS i dwie Konfederacje, i rywalizują one o tych samych wyborców, to muszą ostrzej rysować pola konfliktu.

Widzimy to. Grzegorz Braun, lider Konfederacji Korony Polskiej, najmniejszego ugrupowania z tych trzech, jest najbardziej radykalny i najmocniej eksploatuje wszystkie strachy i emocje. Braun mówi głośno to, co pozostali myślą. Narzuca ton. Zrywa unijne flagi, depcze je, wołając: nie ma takiego państwa! Potem chwali się, że od 20 lat jest przeciwko Unii: najpierw z powodów gospodarczych, a teraz dlatego, że Unia działa jak sekta. I krzyczy: z tej sekty trzeba wyjść!

Co na to reszta? I chcieliby, i boją się. Wyborcy Konfederacji i wyborcy PiS są, jeśli chodzi o stosunek do Unii, podzieleni mniej więcej pół na pół. Dlatego politycy obu formacji też są pół na pół. Nie mówią, że chcą wyjść z Unii, mówią, że chcą ją poprawić, zmienić, bo się zmieniła na gorsze. Trzeba więc tym zmianom się przeciwstawić. Oto sposób, by być przeciw Unii i być za nią.

„Jeśli warunki naszego uczestnictwa w UE staną się dla Polski trwale niekorzystne, każdy wariant relacji z Unią musi być analizowany", mówił w RMF FM Krzysztof Bosak. A w Radiu Zet tłumaczył: „Unia nam się nie podoba w tym kształcie, w którym jest, bo staje się organizmem centralistycznym. Stoją na jej czele ludzie o poglądach progresywnie liberalnych lub lewicowych, którzy

FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

demokrację rozumieją jako dominację ich opcji ideologicznej i realizację ich programu. Unia Europejska staje się coraz bardziej antywolnościowym, poprawnym politycznie tworem centralistycznym. Z tymi tendencjami się nie zgadzamy. Uważamy, że nie należy przekazywać Unii Europejskiej żadnych dodatkowych kompetencji. Nie należy zgadzać się na żadne rzeczy, do których jesteśmy zobowiązani".

A tym trzem partiom, dodajmy, kibicuje prezydent Karol Nawrocki. On z kolei mówi, że Unię trzeba „reformować". Mówi więc Bosakiem.

Tendencja zatem rysuje się oczywista: droga, którą proponują Bosak, Czarnek czy Nawrocki, jest jednokierunkowa. To droga awantur z Unią, niestosowania się do wspólnie przyjętych reguł. Szukania pretekstów na „nie". Droga, na której końcu są drzwi z napisem „Polexit".

Jeżeli przez lata prowadzi się operację zohydzania UE, musi to przynieść efekty.

W tej lidze gra również Przemysław Czarnek, kandydat PiS na premiera, słynny OZE-sroze. Z jednej strony, mówi, że Prawo i Sprawiedliwość nie jest zwolennikiem koncepcji wychodzenia z Unii Europejskiej. A z drugiej woła: „Głupie pomysły UE nie będą w Polsce realizowane. Stajemy się płatnikiem netto, nie będziemy poddawani już szantażowi finansowemu, takiemu jak byliśmy poddawani w latach 2015-2023. Możemy twardo powiedzieć: nie! Weźcie sobie wy te ETS-y i sobie stosujcie. My, Polska, tego robić nie będziemy". A jeśli Unia zacznie nas za to karać, Polska powinna odpowiedzieć tym samym. „Będziecie nas karać – nałożymy sankcje. Nie zapłacimy naszej składki do budżetu UE. Dość tego, szanowni państwo!".

Innymi słowy, Bosak i Czarnek chcą być w Unii, tylko nie w tej, która jest. Bo jeśli chodzi o tę, która realnie jest, to im się nie podoba i albo chcą z nią walczyć, albo z nią się żegnać.

Zresztą spójrzmy na tych, którzy są za plecami liderów. Na szeregowych polityków prawicy. Niedawno, gdy Władysław Kosiniak-Kamysz zaproponował wpisanie członkostwa Polski w Unii Europejskiej do konstytucji, odpowiedziała mu europosłanka Konfederacji Ewa Zajączkowska-Hernik, że PSL to „służalcze mendy". „Coś takiego proponować może tylko osoba, która ma gdzieś polską suwerenność i przesiąknięta jest mentalnością sług obcych ośrodków. PSL Kosiniaka-Kamysza, jako dumny kontynuator komuchów z ZSL, najwyraźniej nie może żyć bez tego typu smyczy", napisała.

Janusz Kowalski opowiada z kolei, że „Unia Europejska kroczy w kierunku bankructwa, ponieważ sama niszczy swój przemysł polityką zielonego ładu". „Jeżeli w 2027 r. ten budżet UE zostanie przyjęty, to rozmowa o polexicie z perspektywy interesów narodowych jest całkowicie otwarta. Nie wyobrażam sobie, żeby Polska funkcjonowała w organizacji, która odbiera nam suwerenność i odbiera nam prawo do decydowania, jak mamy żyć we własnym kraju", dodaje.

•

Czyli wszystko przesądzone? Prawica rozbije Unię? Przestraszy nas gej-Europą, bankructwem, odebraniem niepodległości itd.? To jest już nieuchronne?

Niekoniecznie. Bo jeżeli jeszcze parę lat temu mogliśmy narzekać, że Unia straciła swoją busolę, to dziś widzimy, że ją odzyskuje. Bardzo temu sprzyja polityka Donalda Trumpa i Władimira Putina. Wroga wobec Unii, zmierzająca wprost do jej rozbicia, a potem układania się z pojedynczymi państwami, już z pozycji siły.

Mogliśmy parę lat temu narzekać, że Unia traci sens, ale to nieaktualne. Sens wspólnoty został zdefiniowany na nowo – przez geopolitykę. Za sprawą agresywnych działań USA, które zachowują się tak, jakby chciały kontynent europejski skolonizować, społeczeństwa państw europejskich na nowo czują potrzebę bycia wspólnotą.

Dziś więc jest tak, że Giorgia Meloni popiera europejską jedność. Marine Le Pen też mówi, że jest ona ważna i trzeba przeciwstawiać się Ameryce. Taki jest nowy trend – antytrumpowskie nastroje, które dominują w Europie, powodują, że partie skrajnej prawicy, te kochające Trumpa, ruch MAGA itp., przegrywają kolejne wybory. Unia znów znajduje sens. Wspólne zagrożenie nas jednoczy i mobilizuje.

Tylko polska prawica, zakochana w Trumpie, tego nie dostrzega.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl



eprasa.pl 3eb4cd8e4c

ZAKŁAMANA POLITYKA HISTORYCZNA

UPA w Ukrainie, NSZ w Polsce

Jeżeli w Polsce faszyści, zbrodniarze i hitlerowscy kolaboranci otoczeni są czcią, to nie powinniśmy mieć pretensji do Ukraińców, którzy postępują podobnie.

Andrzej Sikorski

Zbiorowa histeria i fala antyukraińskości ogarnęła polską klasę polityczną, ale też licznych komentatorów, dziennikarzy i publicystów, po tym jak Wołodymyr Zełenski nadał jednej z jednostek wojskowych imię Bohaterów UPA. Prezydent Nawrocki odebrał mu Order Orła Białego, pojawiły się też pomysły innych działań odwetowych, m.in. uznania Zełenskiego za persona non grata, deportacji uchodźców, zablokowania akcesji Ukrainy do Unii Europejskiej, a nawet wstrzymania pomocy wojskowej i humanitarnej. Co bardziej zapiekli arcypatrioci o lustracyjnym zacięciu, tacy jak Przemysław Czarnek, Janusz Kowalski i Dorota Gawryluk, zaczęli się domagać oczyszczenia polskiego rządu i administracji z banderowskiej agentury. Padło na wiceministra nauki Andrzeja Szeptyckiego, którego praprababka, jak zauważyli Jan Widacki i Stanisław Brejdygant, była wnuczką Aleksandra Fredry, „a kuzyni, dziadkowie ministra – pisał Brejdygant – to m.in. Stanisław Szeptycki, polski generał dowodzący armią w wojnie polsko-bolszewickiej, w 1920 r., i wkraczający na czele polskich wojsk na odzyskany Śląsk w 1922 r., a także uważany za »ojca narodu ukraińskiego« abp Andrzej



Kpt. Henryk Figuro-Podhorski „Step" przy drogowskazie do Pragi w czasie marszu Brygady Świętokrzyskiej NSZ przez Czechosłowację 5 maja-30 czerwca 1945 r.

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

Szeptycki oraz »Sprawiedliwy wśród narodów świata«, błogosławiony Ojciec Klemens (Kazimierz Szeptycki), zakonnik ukraiński, który uratował w klasztorze rzeszę żydowskich dzieci, wśród nich Adama Rotfelda, naszego, w swoim czasie, ministra spraw zagranicznych".

Na Szeptyckiego wylała się fala hejtu, wkrótce zapewne wskazani i napiętnowani zostaną kolejni „banderowcy". Tylko czekać, aż dojdzie do samosądów. Przeciwko narastającej antyukraińskiej fali zaprotestował PEN Club.

Rację ma Bohdan Piętka, piszący, że państwowa polityka historyczna Ukrainy została oparta na kłamstwie („Z UPA na piedestale", nr 24/2026). Jednak na kłamstwie oparta jest też polska polityka historyczna. To kłamstwo, forsowane przez krzykliwą

W 2012 r. Sejm przyjął uchwałę w 70. rocznicę powstania NSZ, w której stwierdzono, że żołnierze „dobrze zasłużyli się Ojczyźnie".

prawicę od początku lat 90., zostało oficjalnie zatwierdzone przez tzw. środowiska liberalne i lewicowe 2 lutego 2011 r., gdy Sejm (rządziła wtedy koalicja PO-PSL, a prezydentem był Bronisław Komorowski) ustanowił 1 marca Narodowym Dniem Pamięci „Żołnierzy Wyklętych", którzy, jak napisano w ustawie, walczyli o prawo do samostanowienia społeczeństwa polskiego i demokrację (sic!). Za nowym świętem państwowym głosowało 30 posłów ówczesnego SLD.

Podobieństwa i różnice

Politycy od prawicy po lewicę przekonują, że nigdy nie zgodzą się na relatywizowanie historii i tolerowanie kultu zbrodniarzy z UPA. Ale ta wrażliwość historyczna ma jednostronny wymiar, skoro państwo polskie czci żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych, partyjne wojsko przedwojennego faszystowskiego Obozu Narodowo-Radykalnego.

Oenerowcy, którzy stosowali przemoc i podważali podstawy prawne II RP, zostali zdelegalizowani, a wielu przywódców trafiło do obozu w Berezie Kartuskiej. Narodowcy chcieli stworzyć wyznaniowe państwo autorytarne – Wielką Polskę Katolicką. Najważniejsze stanowiska w państwie mogliby obejmować wyłącznie członkowie ścisłego kierownictwa partii potrafiący udowodnić czysto polskie, w sensie rasowym, pochodzenie cztery pokolenia wstecz. Oni mieli decydować o selekcji ludzi na wyższe stanowiska i tworzeniu z nich elitarnej hierarchii. W przyszłym państwie nie było mowy o uznawaniu jakiejkolwiek partii, stowarzyszenia czy organizacji społecznej.

Związana ze środowiskiem żołnierzy NSZ badaczka Lucyna Kulińska tak charakteryzuje założenia programowe tego obozu: „W przyszłej Polsce miał być stworzony ustrój gospodarczy wolny od wszelkich wpływów obcych i indywidualistycznych. Ustrój ten przewidywał miejsce zjednoczenia całego narodu wokół ideologii OW (Organizacji Wewnętrznej – przyp. A.S.). Jednym z najważniejszych punktów programu OW było wyeliminowanie i likwidacja mniejszości narodowych. Za mniejszości najbardziej niebezpieczne i wrogie uznano Niemców, Ukraińców i Żydów. Nie przewidywano dla nich żadnych praw w przyszłym państwie. Mieli być ustawowo wysiedleni poza granice, a jednostki znane z działalności na szkodę narodu miały być zlikwidowane" („Narodowcy. Z dziejów obozu narodowego w Polsce w latach 1944-1947", Warszawa – Kraków 1999).

NSZ marzyła się Polska nie tylko autorytarna, ksenofobiczna i rasistowska, ale w granicach na zachodzie od Odry i Nysy Łużyckiej, a na wschodzie sprzed 17 września 1939 r. Niektórzy narodowcy snuli wizje przyłączenia Królewca, inni szli jeszcze dalej, domagając się ziem w granicach I Rzeczypospolitej.

Celem UPA było utworzenie państwa opartego na dyktaturze Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i obejmującego tzw. ukraińskie ziemie etniczne od Chełmszczyzny i ziemi przemyskiej aż po Kaukaz. Taka Ukraina – podobnie jak Polska pod rządami NSZ – miała być państwem jednorodnym etnicznie, mniejszości narodowe uznawano za element wrogi. Żydzi natomiast mieli zostać przymusowo wysiedleni, w przypadku oporu zaś zabici. Zarówno NSZ, jak i UPA nawiązywały w swojej ideologii do faszyzmu, a choć oficjalnie hitlerowskie Niemcy były ich wrogiem, to działania zbrojne wymierzone w niemieckie wojska były pozorowane.

W 1944 r. UPA podpisała porozumienie z Niemcami, a w zamian za broń i amunicję przekazywała informacje wywiadowcze i koncentrowała się na zwalczaniu sowieckiej partyzantki oraz regularnych wojsk ZSRR. Podobnie działały NSZ, prowadząc z Niemcami ograniczoną walkę zbrojną. Dochodziło do niewielkich potyczek, a straty niemieckie nie były dotkliwe. Pojmanych hitlerowców zazwyczaj puszczano wolno, a NSZ całą siłę skupiały na likwidacji komunistów, tj. partyzantów Armii Ludowej, żołnierzy WP i wszystkich tych, których uznawano za wrogów ojczyzny. Zdarzały się także zabójstwa żołnierzy Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich.

Za to Brygada Świętokrzyska NSZ ochoczo współpracowała z hitlerowcami, a w styczniu 1945 r. pod „opieką" Wehrmachtu i SD (korzystając z transportu, zakwaterowania, prowiantu, a nawet lekarzy) wycofała się przez Śląsk do Czech. Potem z członków brygady Niemcy formowali spadochronowe grupy dywersyjno-wywiadowcze przerzucane na zaplecze frontu.

Jak wskazuje prof. Rafał Wnuk, „członkowie Brygady stali się uczestnikami ostatniego ambitnego projektu nazistów polegającego na tworzeniu pod ich skrzydłami antybolszewickiej międzynarodówki dywersyjno-wywiadowczej. Znaleźli się w towarzystwie Łotewskiej i Estońskiej Waffen SS, Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA), Żelaznej Gwardii (rumuńscy faszyści) czy Strzałokrzyżowców (węgierscy faszyści)" („Ale Historia", 25 stycznia 2016).

NSZ nie uznawały rządu polskiego w Londynie i Polskiego Państwa Podziemnego. Nie podporządkowały się

eprasa.pl 3eb4cd8e4c



Oficerowie Brygady Świętokrzyskiej prawdopodobnie w miejscu postoju jednostki na terenie Czech.



Przemarsz oddziałów Brygady Świętokrzyskiej, 1945 r.

Armii Krajowej. Były wykluczone ze wspólnoty emigracyjnej, a z powodu kolaboracji z Niemcami ich żołnierzy przez wiele lat po wojnie nie uznawano za kombatantów.

Zasadnicza różnica pomiędzy NSZ a UPA to skala mordów popełnionych przez członków obu formacji. Ukraińcy mają na sumieniu co najmniej 100 tys. zamordowanych Polaków. NSZ przypisuje się „jedynie" (według różnych szacunków) od 1 tys. do 2 tys. ofiar. Oprócz Ukraińców także żołnierzy radzieckich, Polaków i ocalałych z Holokaustu Żydów. UPA mordowała w wyniku zaplanowanych i przygotowanych akcji. Natomiast NSZ „z porywu serca".

Mordercy i kolaboranci na piedestale

Mimo niechlubnej przeszłości NSZ otoczone są w Polsce państwowym kultem. W 2012 r. Sejm przyjął uchwałę w 70. rocznicę powstania NSZ, w której stwierdzono, że ich żołnierze „dobrze zasłużyli się Ojczyźnie". „Jak można upamiętniać formację NSZ – faszyzującą, ksenofobiczną, antysemicką, antypostępową, która zwalczała zbrojnie lewicowy ruch oporu? Jak posłowie PSL mogą głosować za uczczeniem pamięci struktury, która unicestwiała chłopów biorących ziemię z reformy rolnej?", pytał poseł Tadeusz Iwiński, którego okrzyknięto „propagatorem komunistycznych kłamstw".

Kolejną uchwałę w sprawie upamiętnienia bohaterskich czynów NSZ wybrańcy narodu przyjęli w 2017 r., w 75. rocznicę powstania formacji, a patronat nad uroczystościami objął prezydent Andrzej Duda.

W 2018 r. premier Mateusz Morawiecki, będąc w Monachium, złożył kwiaty na grobie Brygady Świętokrzyskiej NSZ. „Uważam, i tak odebrałem to składanie kwiatów na grobach jakichś ludzi Brygady – nie wiem, jak oni tam zginęli, bo przecież Brygada nie prowadziła żadnych działań wojennych – że to jest skandaliczne. Już wtedy to był gest

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

skandaliczny. To się wszystko odbywało tuż obok obozu koncentracyjnego Dachau, w którym siedzieli też polscy księża i w którym – a wiem o tym, bo mój ojciec siedział wtedy w Dachau – ci więźniowie szykowali się na egzekucję. To były ostatnie dni przed wejściem Amerykanów i Niemcy chcieli wymordować więźniów. W tym samym czasie ludzie z Brygady Świętokrzyskiej pili szampana z oficerami Gestapo. To jest rzecz, która woła o pomstę do nieba – że pan Morawiecki zapomniał o więźniach Dachau, zapomniał również o księżach katolickich, którzy tam siedzieli, i złożył kwiaty na grobach sympatyków faszyzmu", mówił były członek Kolegium IPN i Rady IPN prof. Andrzej Friszke.

W 2019 r., w 75. rocznicę powstania Brygady Świętokrzyskiej NSZ, celebrowaną pod patronatem prezydenta Andrzeja Dudy, ówczesny pisowski szef Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Kasprzyk orzekł, że formacja ta nigdy nie kolaborowała z Niemcami (sic!). Kasprzyk był tak bezczelny, że do udziału w uroczystościach zaprosił naczelnego rabina Polski. „Zorganizowanie tych uroczystości znieważa pamięć wszystkich obywateli Polski poległych w walce z Niemcami. Zaproszenie mnie do wzięcia w nich udziału traktuję jako osobistą zniewagę", odpowiedział Michael Schudrich.

Zdaniem Dudy żołnierze NSZ należeli „do najwartościowszych bojowników" o wyzwolenie Polski spod władzy i terroru obu okupantów. „Uważam, że za to wszystko my, współcześni Polacy, żyjący w niepodległej Rzeczypospolitej, jesteśmy im winni cześć i pamięć", stwierdził prezydent.

Państwowe uroczystości oburzyły Andrzeja Wielowieyskiego, byłego żołnierza AK, działacza katolickiego i opozycji demokratycznej, odznaczonego Orderem Orła Białego. „Jako bardzo młody podchorąży AK spędziłem w końcu grudnia 1944 r. kilka dni w domu mojego wuja Jana Jaskłowskiego w Stobiecku pod Radomskiem, gdzie właśnie kwaterowała Brygada Świętokrzyska. Poznałem wtedy i rozmawiałem z wieloma oficerami (rtm. »Lubicz« i por. »Żbik«, znany w naszych stronach partyzant NSZ) i żołnierzami Brygady. Było oczywiste, że mieli jakieś porozumienie z Niemcami. (…) Wspomniani oficerowie i żołnierze z dumą opowiadali mi o swych wyczynach. Nie tylko o zabijaniu sowieckich partyzantów i jeńców sowieckich. Szczycili się listami setek zabitych Polaków. Nie tylko z Armii Ludowej, również z Batalionów Chłopskich i AK, a także działaczy ludowych i pepeesowskich. Ze szczególną satysfakcją odnotowywali likwidowanie ukrywających się Żydów. Brygada słynęła z rabowania zajmowanych wsi. Z naszym obwodem AK dowodzonym przez ppłk. »Korsaka« Polkowskiego stosunki były bardzo złe", wspominał Wielowieyski na łamach „Gazety Wyborczej".

NSZ nie uznawały rządu polskiego w Londynie i Polskiego Państwa Podziemnego. Nie podporządkowały się AK.

Niezwykle huczne były uroczystości w 2022 r., gdy w Warszawie obchodzono 80-lecie powstania NSZ. Zorganizowano liczne konferencje, spotkania, ceremonie wręczania odznaczeń oraz przemarsz grup rekonstrukcyjnych, pocztów sztandarowych, kombatantów i młodzieży z katedry polowej WP do Grobu Nieznanego Żołnierza, gdzie odbył się apel pamięci. W komitecie honorowym obchodów zasiedli członkowie rządu: wicepremier i minister rolnictwa Henryk Kowalczyk, ministrowie Przemysław Czarnek, Grzegorz Puda, Andrzej Adamczyk, Kamil Bortniczuk, szef BBN Paweł Soloch, prezes NBP Adam Glapiński oraz hierarchowie Kościoła, m.in. arcybiskupi Marek Jędraszewski i Józef Guzdek.

W 2023 r. Sejm podjął uchwałę, składając hołd ostatniemu komendantowi głównemu NSZ Stanisławowi Kasznicy i „działaczom związanym z Narodowymi Siłami Zbrojnymi, którzy oddali życie w walce z dwoma okupantami o niepodległość Polski". Za uchwałą oprócz PiS i Konfederacji głosowali też posłowie KO, PSL i Polski 2050.

W maju 2026 r. w beskidzkiej Kamesznicy zorganizowano uroczystą ceremonię pogrzebową szczątków żołnierzy NSZ należących do zgrupowania kpt. Henryka Flamego „Bartka". W celebrze udział wzięli prezydent Karol Nawrocki, przedstawiciele IPN, samorządowcy, dowódcy wojskowi. „Dzisiejszy pogrzeb, w którym jako prezydent RP mam zaszczyt uczestniczyć, jest powrotem pewnego porządku, prawdy, patriotyzmu, dbałości o polską niepodległość, o wolną, niepodległą Rzeczpospolitą Polską. I to nam oni dzisiaj przynoszą", mówił Nawrocki.

Do tych jubli trzeba dodać nazwy ulic, rond, pomniki, tablice i obeliski poświęcone NSZ. Za rządów PiS najpierw kilkakrotnie bezczeszczono, a potem zdemontowano tablicę upamiętniającą 70 zamordowanych przez żołnierzy NSZ partyzantów radzieckich i Armii Ludowej wziętych do niewoli pod Rząbcem. Zamiast niej postawiono pomnik ku czci bohaterskiej Brygady Świętokrzyskiej NSZ, „która stoczyła zwycięską walkę z oddziałami dywersji sowieckiej i komunistycznej". Uroczystości przemieniły się w seans nienawiści wymierzony w „komunistów", a pierwsze skrzypce w tym haniebnym i zakłamanym spektaklu grali lokalni politycy PiS, w tym Marek Szary, radny i jednocześnie dyrektor Dyrekcji Regionalnej Lasów Państwowych w Radomiu.

Napluć w twarz Litwinom

Zakłamana polityka historyczna Polski prowadzi do eskalacji konfliktu nie tylko z Ukrainą, ale też z innymi państwami. W 2006 r. w Zakopanem odsłonięto pomnik Józefa Kurasia „Ognia". W hucznej uroczystości udział wziął prezydent Lech Kaczyński. „Ogień" krótko walczył w AK, zdezerterował, za co skazano go na karę śmierci. W 1944 r. nawiązał współpracę z AL i partyzantką sowiecką. Po wojnie otrzymał rozkaz utworzenia struktur MO w Nowym Targu, a potem został szefem miejscowej bezpieki. „Ogień" i jego

eprasa.pl 3eb4cd8e4c



XI Gdyński Marsz Pamięci Żołnierzy Wyklętych, 3 marca 2024 r.

ludzie mordowali i denuncjowali UB żołnierzy AK i ich rodziny. Rząd Izraela oskarża „Ognia" o mordowanie Żydów. Ambasador Izraela w Polsce Dawid Peleg tak mówił w 2007 r.: „Pod pomnikiem Józefa »Ognia« Kurasia w Zakopanem widzieliśmy, że sam pan prezydent Kaczyński występował na odsłonięciu tego monumentu. Zwróciłem się do Pałacu Prezydenckiego w tej sprawie. Podkreśliłem, że nie oceniamy działalności antykomunistycznej »Ognia« po II wojnie światowej, tylko jego antysemickie poglądy i działalność. Są przecież dowody na to, że był zaangażowany w mordowanie Żydów. Kancelaria Prezydenta zbadała sprawę i odpowiedziała mi, że pan prezydent Kaczyński nie był świadomy tego aspektu działalności Kurasia".

Zbrodniarzem „Ogień" jest również dla Słowaków. „Na Spiszu postrzegany jest on jako bandyta. Nie ma żadnych uzasadnionych powodów, by w Polsce budować pomniki osobie, która okradała i mordowała ludność słowacką", mówił Ludomir Molitoris, sekretarz generalny Towarzystwa Słowaków w Polsce.

W 2008 r. w Nowym Targu podczas konferencji poświęconej relacjom między Polakami a Słowakami w latach 1938-1948 doszło do skandalu. Pracownicy IPN nie dopuścili Molitorisa do głosu, żądając, aby wyszedł z sali. Wszystko działo się w obecności m.in. konsula słowackiego w Krakowie, ambasadora Słowacji w Polsce i wicepremiera Republiki Słowackiej, którzy przecierali oczy ze zdumienia, widząc chamskie zachowanie funkcjonariuszy IPN.

Polski bohater narodowy Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka" na Litwie postrzegany jest jako bandzior. W 1944 r. jego oddział bestialsko zamordował 67 mieszkańców wsi Dubinki (i okolicznych osad), w większości kobiety, dzieci i starców. W 2006 r. zdominowany przez PiS Sejm podjął uchwałę uznającą „Łupaszkę" za symbol walki tzw. żołnierzy wyklętych. 11 listopada 2007 r. prezydent Lech Kaczyński pośmiertnie odznaczył go Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski za wybitne zasługi dla niepodległości kraju. Wybuchł skandal, bo tego samego dnia z oficjalną wizytą przebywał w Warszawie prezydent Litwy Valdas Adamkus. „To jakby naplucie w twarz Litwinom, dla których on był rzeźnikiem, ludobójcą", powiedział Vytautas Landsbergis, pierwszy prezydent niepodległej Litwy. W kwietniu 2016 r. z najwyższymi honorami państwowymi przy udziale prezydenta Andrzeja Dudy pochowano „Łupaszkę" na warszawskich Powązkach.

Czczony nad Wisłą Romuald Rajs „Bury", żołnierz AK i NZW, dla Białorusinów jest bandytą i mordercą, mającym na sumieniu ponad 100 cywilów, w tym kobiety, dzieci i starców, którzy zginęli podczas pacyfikacji wsi, rozstrzelani albo spaleni żywcem.

•

Gdy zapytałem Karola Nawrockiego o jego stosunek do zbrodni popełnionych przez tzw. żołnierzy wyklętych, dostałem pokrętną odpowiedź (po trzech tygodniach oczekiwania!). „Prezydent Karol Nawrocki konsekwentnie opowiada się za badaniem, dokumentowaniem i upamiętnianiem losów wszystkich ofiar II wojny światowej oraz okresu powojennego. Najważniejsza jest prawda historyczna oparta na rzetelnych badaniach i materiale źródłowym, potępienie wszelkich zbrodni popełnionych na ludności cywilnej oraz godne upamiętnienie ich ofiar – niezależnie od narodowości sprawców i poszkodowanych", napisali anonimowi urzędnicy Kancelarii Prezydenta RP. Szkoda tylko, że wspomniana prawda historyczna jest notorycznie zakłamywana, w czym znaczący udział ma Nawrocki, który wyrzucił z pracy w IPN „nieprawomyślnych" historyków, zajmujących się badaniem i dokumentowaniem zbrodni popełnionych przez NSZ.

„Przegląd" wiele uwagi poświęca ukraińskiemu ludobójstwu na Wołyniu, domagając się godnego uczczenia ofiar. Od lat opisujemy też niechlubne czyny tzw. żołnierzy wyklętych. Jednak po publikacji tekstu „Krótka pamięć apologetów NSZ" (nr 23/2026) o masakrze w Wierzchowinach na naszym profilu na Facebooku rozpętała się wściekła awantura. Redakcję obrzucono błotem, zarzucając jej proukraińskie i probanderowskie sympatie, a ja otrzymałem groźby – również pobicia i śmierci. A przecież zbrodnia w Wierzchowinach została opisana przez Instytut Pamięci Narodowej już w 2006 r., a więc za prezesury Janusza Kurtyki, którego trudno podejrzewać o antypolską działalność. Ale dla domorosłych znawców historii, wyedukowanych na TikToku i karmionych nacjonalistyczną propagandą, fakty i prawda historyczna nie mają znaczenia.

Andrzej Sikorski

FOT. IPN (3), WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

Dla nas błoto, dla nich złoto

Gigantyczny przekręt z węglem



Premier Mateusz Morawiecki w Porcie Gdańskim, do którego sprowadzano węgiel kiepskiej jakości, 5 grudnia 2022 r.

Mateusz Cieślak

Pod koniec kwietnia Centralne Biuro Antykorupcyjne poinformowało o zatrzymaniu trzech osób. Wszystkie miały usłyszeć zarzuty korupcyjne. Jedną z nich był współpracownik Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych. Kolejne dwie miały handlować węglem.

Zatrzymania wiązały się ze śledztwem prowadzonym przez oddział Prokuratury Krajowej w Katowicach. CBA podało, że jeden z zatrzymanych działał z upoważnienia prezesa RARS. Wpływał na taki przebieg transakcji zakupu węgla przez agencję, aby zamówienia miała pewna spółka. W efekcie ogromne ilości węgla rządowa agencja kupowała od firmy (z siedzibą w Warszawie), która nie miała żadnego doświadczenia w handlu tym surowcem. Na interesach prowadzonych z tą jedną tylko spółką RARS straciła ponad pół miliarda złotych.

Skutki znamy, gdyż było o nich głośno. Z całego świata do Polski zwieziono jakieś błoto. Ci, którzy mieli nieszczęście je kupić, zamieszczali w mediach społecznościowych filmiki z prób podpalenia tego, co miało być paliwem energetycznym. Pamiętam jeden z takich filmików. Na środku składu węglowego usypano górkę czegoś czarnego. Miał to być węgiel służący do ogrzewania. Zapalono palnik gazowy, przystawiono go do czarnej kupki. I nic.

Bo ludzie zamarzną

Cofnijmy się do czasu, gdy kręcono te bulwersujące filmiki. To rok rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Nad całą Europą zawisło widmo kryzysu energetycznego. Rosja straszyła wstrzymaniem dostaw gazu do Niemiec i tych krajów Unii Europejskiej, dla których surowiec ten był podstawowym paliwem energetycznym przemysłu i gwarancją, że zimą ludzie nie zamarzną w nieogrzewanych domach.

W Polsce i w innych krajach przed stacjami paliw ustawiały się kolejki kierowców, tankujących na zapas w obawie, że zabraknie oleju napędowego i benzyny. Ostatecznie tak się nie stało, ale mieliśmy jeszcze inny problem. Doprowadziliśmy do tego, że nasze górnictwo stało się kadłubkowe, więc węgiel do elektrowni i kotłowni musieliśmy sprowadzać z zagranicy. Dużo tego surowca jechało do nas ze wschodu. I to nagle się urwało. Po wybuchu wojny Unia nałożyła embargo na węgiel z Rosji. Niemal natychmiast wiadomo było, że w Polsce go zabraknie.

Rosyjska inwazja rozpoczęła się 24 lutego. Już 3 marca 2022 r.

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

minister klimatu i środowiska Anna Moskwa zwracała się do premiera Mateusza Morawieckiego o pilne podjęcie decyzji w sprawie utworzenia rezerwy strategicznej węgla kamiennego. Potem były tygodnie dziwnej zwłoki. W połowie lipca premier podjął wreszcie decyzję. Nakazał kontrolowanym przez rząd spółkom „pilny" zakup węgla. Chodziło o 4,5 mln ton dla rolników i dla gospodarstw domowych. Premier nakazał także RARS, by ta kupiła dodatkowe 600 tys. ton na potrzeby odbiorców indywidualnych. Rząd przekazał na ten cel aż 3 mld zł.

Kupować po każdej cenie

Onet dotarł wówczas do niejawnego pisma, którego autorem był wicepremier Jacek Sasin. Pod koniec czerwca 2022 r. Sasin pisał do premiera, że „RARS powinien kupować węgiel zarówno bezpośrednio na rynkach światowych, jak i za pośrednictwem krajowych importerów – w przeciwnym wypadku istnieje wysokie prawdopodobieństwo braku węgla w okresie grzewczym".

Już po tym piśmie podjęto decyzję, że do interwencyjnych zakupów węgla przystąpią kontrolowane przez rząd spółki Węglokoks i PGE Paliwa. Onet przytaczał treść jednej z notatek. Węgiel miał być kupowany „szybko i po każdej cenie". To dobrze, że takie polecenie wydano spółce Węglokos. Ta firma wiele lat temu powołana została właśnie do handlu węglem. Zna się na tym, nie dziwi więc, że wydano jej wspomniane polecenie. Dziwi natomiast co innego – dlaczego nie zwrócono się do tej spółki już w lutym, najpóźniej w marcu, gdy minister Moskwa (i pewnie inni rządzący) zauważyła, że węgla może w Polsce zabraknąć? A jeszcze bardziej dziwi, dlaczego, planując wielkie interwencyjne zakupy węgla, pomijano Węglokoks, zwracając się o to do spółek, które kompletnie się na tym nie znały?

Odbici od ściany

Bogusław Ziętek, przewodniczący Wolnego Związku Zawodowego Sierpień 80, w tamtym czasie udał się do wicepremiera Sasina. – Przekonywałem, że jedyną spółką, która może taką operację przeprowadzić, jest Węglokoks. Moi rozmówcy byli bardzo zbulwersowani tym poglądem. Powiedzieli, że oni już mają operatorów, którzy się tym zajmą – wspomina.

Ciekawe jest również, co Ziętek mówi o tym, jak do tematu podeszła RARS. Sprawy związane z koordynacją sprowadzania do Polski wielkich ilości węgla powierzono jednej pracownicy RARS. Ta kompletnie na tym się nie znała. Ciągle dzwoniła do Węglokoksu i prosiła o rady.

Jednocześnie w telewizji cały czas widzieliśmy przedstawicieli rządu, którzy mówili o tym, jak ważna to sprawa, by Polska miała pod dostatkiem węgla przed zimą. I co robią, by do naszego kraju przypłynęły statki pełne czarnego złota. Nic więc dziwnego, że tematem zainteresowali się przedstawiciele pewnej kontrolowanej przez rząd spółki, która w handlu węglem ma bardzo długie doświadczenie (i nie jest wspomnianym Węglokoksem). Jej reprezentant znalazł dużego dostawcę w Ameryce Północnej. Poleciał tam, obejrzał węgiel, poznał jego parametry. Był to bardzo dobry węgiel energetyczny.

Działo się to jeszcze za czasów prezydenta Bidena. Szefowie amerykańskiej spółki nie wiedzieli, że kolejny prezydent będzie zakochany w paliwach kopalnych. Ucieszyli się, że jest ktoś, kto chce od nich kupować to, co wydobywają ich kopalnie. Zaproponowali bardzo korzystną cenę. – Było to 150 dol. za tonę. W tym czasie w portach ARA tona węgla kosztowała ok. 200 dol. – mówi mój rozmówca.

Dodajmy, że skrót ARA oznacza trzy główne porty Europy: Amsterdam, Rotterdam i Antwerpię. ARA to także międzynarodowy wskaźnik dla cen węgla i paliw. Jeśli coś kosztuje mniej niż cena ARA, to należy kupować. Tym razem jednak tak się nie stało. Mój rozmówca spotkał się z jednym z doradców wicepremiera Sasina (znamy imię i nazwisko doradcy). Ten był wprost wniebowzięty. Być może oczami duszy widział przyszły awans. Jeśli nawet tak było, to się przeliczył. Obiecał, że temat przekaże dalej, po czym za jakiś czas odpowiedział, że rząd ma inną koncepcję. Północnoamerykański węgiel nie przypłynął do Polski.

Kto wiedział o marnotrawstwie?

W lutym tego roku RARS (już pod nowym kierownictwem) złożyła zawiadomienie do prokuratury. Na konferencji prasowej szef Kancelarii Premiera Jan Grabiec oraz Marcin Kierwiński, minister spraw wewnętrznych, potwierdzili wiele faktów, o których już wcześniej donosiła prasa. RARS w roku 2022 i 2023 kupiła 753 tys. ton węgla bardzo złej jakości. Za węgiel ten zapłaciła 1,3 mld zł. Węgiel sprowadzały firmy założone kilka miesięcy wcześniej.

– 40% tego węgla nie spełniało jakiejkolwiek normy. Wszystko wskazuje na to, że kupowano go przy pełnej wiedzy, że nie spełnia tych norm. Ktoś wiedział, że wyrzuca pieniądze w błoto, i nic z tym nie robił – mówił minister Kierwiński.

Największą w Polsce i drugą pod względem wielkości w UE spółką kolejową przewożącą towary jest PKP Cargo. Kilka dni temu podano, że jest szansa uratowania tej firmy, która ma 3 mld zł długu i niedawno musiała zwolnić 3 tys. ludzi. Warto więc przypomnieć, skąd te problemy. Błoto mające być paliwem energetycznym i grzewczym statki przywoziły do portu w Gdańsku, ale stamtąd trzeba je było rozwieźć po Polsce. To zadanie rząd powierzył PKP Cargo. Spółka została przez rząd PiS zobowiązana do zerwania umów ze swoimi kontrahentami. – Na skutek tej decyzji PKP Cargo szacuje, że straciło ponad 1,5 mld zł – poinformował minister Grabiec.

W 2022 r. zepsuł się nowiutki blok węglowy w elektrowni Jaworzno. Jego budowa kosztowała

RARS w 2022 i 2023 r. kupiła 753 tys. ton węgla bardzo złej jakości za 1,3 mld zł. Sprowadzały go firmy założone kilka miesięcy wcześniej.

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

6 mld zł. Tauron Wytwarzanie, do którego należy elektrownia, zażądał od wykonawcy, czyli spółki Rafako, 1,3 mld zł odszkodowania i kar umownych. Z kolei Rafako zażądała od Tauronu 1,4 mld zł, twierdząc, że to nie ona zawiniła, tylko ten, kto w nowym bloku kazał spalać węgiel niezgodny z normami.

Błoto nadal kosztuje

Niewykorzystane błoto trafiło na składy w całej Polsce. Nikt go nie chce. Państwo płaci za jego przechowywanie. Te koszty sięgnęły już 200 mln zł. I wciąż rosną.

To błoto sprowadzały do Polski różne firmy. Teoretycznie można przyjąć, że rozmaici spryciarze zwęszyli okazję i wykorzystali niekompetencję rządzących. Byłoby to możliwe, gdyby nie ustalenia CBA, które przekazano pod koniec kwietnia tego roku.

Zatrzymane osoby miały działać na rzecz tylko jednej firmy, nie wielu. Firma ta – jak informuje CBA – „nie miała odpowiedniego doświadczenia, zaplecza technicznego ani personelu do realizacji zamówień. Bank Gospodarstwa Krajowego odmówił spółce udzielenia akredytywy, a Centralne Biuro Antykorupcyjne wydało jej negatywną rekomendację". Pomimo to… i znów zacytujmy CBA: „Działania doprowadziły do powstania szkody interesu publicznego oraz Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych w wielkich rozmiarach, szacowanej na kwotę co najmniej 530 mln zł".

Jeden z zatrzymanych działał z upoważnienia prezesa RARS. Wpływał na taki przebieg zakupów węgla przez agencję, aby zamówienia miała pewna spółka.

Straty przekraczające pół miliarda złotych przypadły na jedną firmę. Zdaniem przewodniczącego Ziętka nie mogło się to odbywać bez błogosławieństwa kogoś usadowionego bardzo wysoko w strukturach ówczesnej władzy. Inaczej ta operacja nie byłaby po prostu możliwa. Przecież trzeba było mieć gwarancję, że węgiel ten pojedzie do konkretnych odbiorców, mniejsza o to, czy będą to wynajęte przez RARS składy węglowe, czy może elektrownie. Kupując węgiel, trzeba było mieć na zaliczki, które przy tej ilości towaru także musiały być gigantyczne.

W tym konkretnym przypadku jest jeszcze jedna okoliczność wskazująca, że ktoś wyjątkowo wpływowy rozpiął nad tą operacją parasol ochronny. Jakaś część tego węgla miała być sprowadzona z Federacji Rosyjskiej. Chociaż obowiązywało embargo.

Powtórzmy, żeby to wybrzmiało bardzo wyraźnie: w latach 2022-2023 do Polski sprowadzono interwencyjnie węgiel za 1,3 mld zł (według ministrów Grabca i Kierwińskiego). Aż 530 mln zł przypadło na jedną spółkę. Bez doświadczenia, bez zaplecza, bez personelu.

Mateusz Cieślak



eprasa.pl 3eb4cd8e4c



Z Galicji

Jan Widacki

Co się dzieje z demokracją?

Kryzys demokracji zachodniej jest widoczny gołym okiem. Demokratyczne mechanizmy tworzenia i kontroli władzy plus populizm dają efekty widoczne od Stanów Zjednoczonych aż po Europę Środkową. Skąd to się wzięło? Myślą o tym filozofowie polityki, próbują badać socjolodzy, politolodzy czy medioznawcy. Formalnie jest to proste. To, co mechanizmy demokratyczne wynoszą do władzy, zależy od jakości społeczeństwa. Wiedziano o tym od dawna. Twórcy konstytucji Stanów Zjednoczonych ostrzegali, że demokracja jest idealnym ustrojem dla społeczeństwa rozumnego i moralnego. Ale co należy zrobić, by było rozumne i moralne? To już trudniejsze. Nawet teoretycznie, nie mówiąc już o praktycznej realizacji takiego programu. Doszły do tego jeszcze inne czynniki mające niewątpliwie wpływ na stan współczesnej demokracji. Jednym z nich jest wymiana kolejnego pokolenia, a wraz z nią zatarcie w zbiorowej pamięci doświadczeń II wojny światowej. To z tych tragicznych doświadczeń wyrosła idea Karty Narodów Zjednoczonych, pojęcie i ochrona praw człowieka.

Internet zrewolucjonizował przekaz informacji i opinii. Kształtuje też opinię publiczną w stopniu o wiele większym niż przekaz telewizyjny, radiowy czy prasowy. Influencer na TikToku, Facebooku czy YouTubie ma większy wpływ na społeczeństwo niż poważny redaktor poważnego tygodnika czy publicysta prowadzący stały program w dużej stacji telewizyjnej. Nie jest łatwo zostać „poważnym redaktorem poważnego tygodnika" czy komentatorem telewizyjnym. Trzeba mieć odpowiednie wykształcenie, predyspozycje, doświadczenie. Wypowiadając się, taki redaktor musi brać pod uwagę pewien standard, obyczaj, linię pisma i opinię kolegów w redakcji. By zostać wpływowym influencerem, wystarczy być oryginalnym. Epatować oryginalnością poglądów (nie trzeba ich uzasadniać), stroju, szokować wulgarnym językiem, wygadywać straszne, ale chwytliwe idiotyzmy, pokazywać rzekomo proste rozwiązania skomplikowanych problemów. Błaznujący skandalista, o wulgarnym języku z całą pewnością dla większości odbiorców jest bardziej atrakcyjny i przekonujący niż nudny komentator telewizyjny, nie mówiąc już o komentatorze poważnego tygodnika. Zresztą, aby posłuchać influencera, wystarczy pogrzebać w laptopie czy telefonie. Nie trzeba kupować tygodnika w kiosku i męczyć się czytaniem. Jeszcze nie oswoiliśmy się z internetem i jego wpływem na przekaz informacji i kształtowanie opinii publicznej, a już zaczyna się nowa rewolucja – AI.

Jaki ona będzie miała wpływ na stan demokracji? Tego na pewno nie wiemy. Ale w samym mechanizmie demokracji są geny autodestrukcyjne. Demokracja, przynajmniej dotąd tak było, potrzebuje partii politycznych, które konkurując ze sobą, budowały jakieś programy, dawały społeczeństwu szanse dokonywania wyborów. Ale partie potrzebują aparatu. Czyli całej rzeszy ludzi, którzy sami w polityce nieobecni, stanowią konieczne zaplecze dla polityków. Praca w aparacie partyjnym sama przez się nie jest atrakcyjna. Staje się nią, gdy daje perspektywy awansu do pierwszego szeregu. Liderzy muszą dbać o ten aparat i takie perspektywy mu stwarzać. Upycha się więc aparat w spółkach skarbu państwa, w ministerstwach, jako doradców nie wiadomo od czego, bo na ogół na niczym się nie znają. Niestety, ostatnio coraz częściej na stanowiskach posłów, wiceministrów i ministrów. Te ostatnie stanowiska zarezerwowane są dla aparatczyków najwyższego szczebla. Jak ktoś ma ochotę, niech policzy, ilu ministrów i wiceministrów jest równocześnie posłami. Czy monteskiuszowy podział władz, o który niby wszyscy, się troszczą, zwłaszcza gdy są w opozycji, przypadkiem na tym nie cierpi?

Samorząd, ostatni bodaj bastion demokracji, też się upartyjnia.

W pewnym zakresie dorównaliśmy do standardu z czasów PRL: „zawód minister". Raz od tego, raz od tamtego. Ministrów fachowców (iluż ich było w latach 90.!), wypierają ministrowie politycy, wychowani w aparacie swojej partii. To partyjnictwo, ewidentna choroba demokracji, zaczyna już trawić samorządy. Weźmy Kraków. Spójrzmy na poczet prezydentów tego miasta. Nie mówię już o czasach prezydentów profesorów, takich jak Dietl czy Leo, ale o czasach III RP. Mamy tu powszechnie znanych i szanowanych w Krakowie: prof. Jacka Woźniakowskiego, mec. Krzysztofa Bachmińskiego, prof. Andrzeja Gołasia czy prof. Jacka Majchrowskiego. Czy osoba odwołanego ostatnio w referendum nikomu wcześniej w Krakowie nieznanego prezydenta Aleksandra Miszalskiego, szefa małopolskich struktur Platformy Obywatelskiej, pasowała do tego grona? Nawiasem mówiąc, na zwolnione miejsce prezydenta Krakowa kandydują znów tylko partyjni nominaci. Samorząd, ostatni bodaj bastion demokracji, też się upartyjnia. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

Marek Czarkowski

Polskie marki, które wróciły

Cudze chwalicie, swego nie znacie – czyli zadziwiające losy kilku polskich marek

Motocykl Junak – nazwany „polskim Harleyem", rowery Wigry 3, Gazela i Jubilat z bydgoskiego Rometu, niezawodne maszyny do szycia Łucznik z Radomia, pralki i lodówki Polar z Wrocławia, perfumy Pani Walewska z krakowskiej Polleny Miraculum, płyn do mycia naczyń Ludwik, który nadal jest liderem z prawie 36-procentowym udziałem w polskim rynku. Dodajmy piwa Żywiec i Okocim, kawę zbożową Inka, herbaty ziołowe z Herbapolu, przyprawy Winiary, mydło Biały Jeleń i wiele, wiele innych, z których większość przetrwała zmianę ustroju, prywatyzację i zawieruchę lat 90. XX w. Jak się okazuje, część z nich ma się całkiem dobrze. Ale mamy też przykłady firm, które zostały bezmyślnie sprzedane. Najsmutniejszy los spotkał rzeszowski Zelmer.

Jak pozbyto się polskiej legendy

Zelmer jako przedsiębiorstwo państwowe działał w Rzeszowie od 1951 r. Zdarzało się, że odkurzacze produkowane od marką Predom Zelmer przetrwały dekady. Na Allegro można znaleźć ofertę sprzedaży działającego modelu Meteor z roku 2000, za 899 zł.

O rzeszowskich mikserach mawiano, że „ukręciłyby zaprawę murarską", do tego w Zelmerze produkowano niezawodne krajalnice, żelazka, suszarki do włosów i legendarnej jakości czajniki elektryczne Crystal.

W latach 90. spółka z 25-procentowym udziałem w polskim rynku AGD była czempionem w kraju i skutecznie rywalizowała z bardziej znanymi w świecie zachodnimi markami. Dla polskiego konsumenta rzeszowski Zelmer oznaczał coś więcej niż sprzęt – był dowodem, że rodzimy przemysł potrafi konkurować jakością z najlepszymi. W czasach, gdy rynek zalewały tańsze zagraniczne produkty, Zelmer utrzymywał lojalność klientów dzięki reputacji budowanej przez dziesięciolecia. Tajemnica sukcesu kryła się w słowie trwałość. Produkty Zelmera były wręcz niezniszczalne. Do dzisiaj w tysiącach polskich domów urządzenia sprzed kilkudziesięciu lat „chodzą jak nowe". Rzeszowska firma bez wątpienia była jednym z naszych „rodowych sreber", których pod żadnym pozorem nie należało sprzedawać, a jeśli już, to w taki sposób, by zostały w polskich rękach. Stało się inaczej.

Pierwszy krok w stronę prywatyzacji wykonano w lipcu 2001 r., gdy państwowe przedsiębiorstwo przekształcono w spółkę akcyjną, choć jej jedynym właścicielem pozostał skarb państwa. Właściwa sprzedaż nastąpiła w styczniu 2005 r. Ówczesny minister skarbu Jacek Socha sprzedał 85% wszystkich akcji Zelmera będących w rękach państwa po cenie 13,20 zł za akcję, za co uzyskano ok. 170 mln zł. Konstrukcja oferty była nietypowa: fundusze inwestycyjne kupowały akcje po tej samej cenie co drobni gracze. Dzięki temu fundusz Enterprise Investors (poprzez spółkę celową) bez problemu skupił na giełdzie pakiet kontrolny akcji.

Jak ustaliła później Najwyższa Izba Kontroli, realna wartość jednej akcji wynosiła wówczas ponad 30 zł. Oznacza to, że cały sprzedany pakiet wart był ponad 390 mln zł.

Absurdalność tej transakcji najlepiej oddaje fakt, że spółka Enterprise Investors zapłaciła za akcje Zelmera ok. 48 mln zł. W tym samym czasie tylko na rachunkach Zelmera było ok. 70 mln zł gotówki! Innymi słowy, kupujący nabył firmę za kwotę niższą niż wartość pieniędzy, którymi dysponowała prywatyzowana spółka. Fabryki, maszyny, marka, 25% udziału w rynku i sieć dystrybucji w trzech krajach zostały de facto oddane gratisowo. W 2007 r. Najwyższa Izba Kontroli opublikowała raport, w którym nie zostawiła suchej nitki na tej prywatyzacji. Straty miały sięgnąć ponad 220 mln zł.

Złożono doniesienie do prokuratury. W jego efekcie zarzuty niedopełnienia obowiązków i działania na szkodę skarbu państwa usłyszało sześć osób – dwaj wiceministrowie oraz podlegli im urzędnicy departamentu prywatyzacji. Co znamienne, minister Socha, który firmował tę prywatyzację swoim nazwiskiem, zarzutów nie usłyszał. W mediach mówiono i pisano o „ustawionej prywatyzacji Zelmera", lecz ostatecznie sprawa została umorzona.

W latach 90. Zelmer z 25% udziału w polskim rynku AGD był czempionem w kraju i skutecznie rywalizował z bardziej znanymi w świecie zachodnimi markami.

W 2012 r. posiadacz 49% akcji rzeszowskiej spółki, fundusz Enterprise Investors, podjął decyzję o wyjściu z inwestycji. Tym razem szukano inwestora branżowego. Chętnych było wielu, w tym firmy z Chin i Korei. Najwyżej oceniono

eprasa.pl 3eb4cd8e4c



Produkowane przez Zelmotor miksery, sprzedawane pod marką SMAPP, nadal „mogą ukręcić zaprawę murarską", bo konstrukcyjnie nawiązują do dawnych wyrobów Zelmera.

ofertę niemieckiego koncernu BSH Hausgeräte GmbH, czyli spółki joint venture Boscha i Siemensa. Tym razem wycena Zelmera była znacznie wyższa i wyniosła 500-608 mln zł. Oficjalnie Niemcy kierowali się motywami strategicznymi. Mówiono o wzmocnieniu pozycji w Europie Środkowo-Wschodniej, gdzie Zelmer był liderem. O przejęciu zdolności produkcyjnych: fabryka w Rogoźnicy koło Rzeszowa miała produkować sprzęt AGD na potrzeby całej europejskiej sieci BSH. I oczywiście miała to być obrona przed rosnącą konkurencją ze strony firm azjatyckich.

Jak później się okazało w mniej oficjalnych przekazach, Niemcom mogło chodzić o wygaszenie marki Zelmer. W 2019 r. – zaledwie sześć lat po zakupie – koncern zza Odry ogłosił zakończenie produkcji małego AGD pod tym szyldem. Odkurzacze, miksery i roboty kuchenne miały odtąd nosić wyłącznie nazwę globalnych brandów: Boscha i Siemensa.

Przypadek Zelmera wyglądał jak klasyczne wrogie przejęcie – kupiono lidera rynku nie po to, by go rozwijać, lecz by go wyeliminować i zastąpić własnymi markami. W ten sposób polska firma, której przez dekady w uczciwej rywalizacji rynkowej nie potrafił pokonać żaden zachodni gigant, została wygaszona w wyniku prywatyzacji.

To nie jest koniec historii. W 2020 r. prawa do nazwy Zelmer odkupiła hiszpańska firma B&B Trends, a oficjalnym i głównym dystrybutorem sprzętu w Polsce została spółka Eurogama z siedzibą w Warszawie. W sklepach internetowych i sieciach handlowych wciąż można kupić nowe odkurzacze oraz drobne AGD z logo Zelmer: miksery, czajniki, suszarki, wentylatory. Dostępne są też części zamienne i serwis. Oficjalnie są one także produkowane w Polsce.

Jak Feniks z popiołów

Przejęcie Zelmera przez niemiecki koncern BSH Hausgeräte GmbH nie dotyczyło spółki Zelmotor, wywodzącej się z dawnego Zakładu Produkcji Silników Zelmer, która przed prywatyzacją została wyłączona z grupy kapitałowej Zelmer. Produkowała silniki oraz podzespoły do sprzętu AGD. Spółka miała pracowników, park maszynowy, know-how w zakresie silników oraz małych urządzeń gospodarstwa domowego. Gdy z rynku zniknęły sprzęty marki Zelmer, Zelmotor zaczął produkować miksery, czajniki, maszynki do mielenia mięsa, odkurzacze i krajalnice pod własnym logo, nawiązując konstrukcyjnie do dawnego lidera rynku.

Nowemu właścicielowi marki Zelmer, hiszpańskiej grupie B&B Trends, było to nie w smak. Zarzucił polskiej spółce, że podobieństwo produktów i nazwy Zelmotor do Zelmer wprowadza konsumentów w błąd. Spór sądowy zakończył się przegraną Zelmotoru – firma ogłosiła, że wszystkie nowe artykuły będzie odtąd wprowadzać pod marką SMAPP.

Nowa marka szybko zyskała znakomitą reputację. Źródła branżowe i konsumenci opisują SMAPP jako kontynuację „starego, dobrego Zelmera". Ten sam producent, ci sami ludzie i podobna filozofia produkcji „sprzętu na lata". Czajniki elektryczne tej marki bardzo przypominają słynący z trwałości i produkowany w Zelmerze model Crystal. Podobnie ich krajalnice – przypominają kultową krajalnicę Zelmer Doris. Warto wiedzieć, że za starą, oryginalną krajalnicę Doris w dobrym stanie trzeba zapłacić na Allegro nawet 500 zł, a najstarsze działające egzemplarze pochodzą z 1994 r. To trwałość nieosiągalna dla produktów AGD z Azji.

Produkowane dziś przez Zelmotor miksery ręczne nadal „mogą ukręcić zaprawę murarską", a odkurzacze workowe słyną z niezawodności. Najważniejsze, że te urządzenia powstają z części produkowanych w Polsce, w zakładach w Jarosławiu – znak made in Poland jest w pełni uzasadniony.

Kto dziś kupuje produkty AGD marki SMAPP, mimo że są droższe od tych importowanych z Azji? Ci, którym zależy na wysokiej jakości i niezawodności, oraz ci, którzy pamiętają, że babciny mikser marki

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

Predom Zelmer nadal działał „jak nowy” nawet po 30 latach.

Czy powrót okaże się sukcesem?

Tą samą drogą co Zelmotor poszła spółka DEZAL-Pro będąca w przeszłości częścią Zakładów Metalowych Dezamet, które są firmą zbrojeniową należącą do Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Ostatnio jest o nich głośno w związku z programem SAFE. W zakładach tych mają być produkowane pociski artyleryjskie kal. 155 mm.

W czasach PRL w Zakładach Metalowych Dezamet w Nowej Dębie produkowano kultowe żelazka Predom Dezamet C28. Była to prosta, bardzo trwała konstrukcja z ergonomicznym uchwytem, regulacją temperatury i charakterystyczną czerwoną lampką sygnalizującą pracę termostatu. Można je czasem kupić na Allegro. Lata 90. XX w. nie były łaskawe dla Dezametu. Produkcję urządzeń AGD trzeba było przenieść do nowej spółki, która dziś nazywa się DEZAL-Pro.

Żelazek już nie produkuje, skupiła się na opiekaczach i gofrownicach i – podobnie jak Zelmotor – postawiła na jakość. Jej wyroby nie są tanie, ale – można powiedzieć – niezniszczalne. Dlatego kupują je głównie właściciele barów i punktów, w których sprzedawane są gofry. Co jest zrozumiałe, gdyż w takich miejscach urządzenia AGD muszą przetrwać wszystko. Kupują też ci, którym zależy na wysokiej jakości urządzeń.

Identyczną filozofią kierował się Jacek Rutkowski, założyciel i główny akcjonariusz spółki Amica. Przedsiębiorca poprzez Amica Holding w 1994 r. we współpracy z Bankiem Handlowym przejął 80% udziałów państwowej Fabryki Kuchni Wromet we Wronkach i przekształcił ją w spółkę Amica Wronki. W roku 1997 r. Rutkowski wprowadził spółkę na Giełdę Papierów Wartościowych.

Pod jego kierownictwem w pierwszej dekadzie XXI w. Amica urosła z obrotów rzędu ok. 100 mln zł do ponad 1 mld zł rocznie. Dziś sprzedaje ok. 4 mln sztuk sprzętu w niemal 70 krajach i jest największym producentem sprzętu AGD w Polsce oraz znaczącym graczem na rynku europejskim.

Szczególnie dobrą opinią cieszą się jej piekarniki elektryczne. Dlaczego? Ponieważ są produkowane w zakładzie we Wronkach. W tym samym zakładzie produkowane są też kuchnie wolnostojące i płyty grzejne. Nie ma czemu się dziwić. Klienci coraz częściej sprawdzają, skąd pochodzą interesujące ich produkty. Okazuje się, że produkcja sprzętu AGD nad Wisłą to gwarancja wysokiej jakości. Zarząd spółki Amica to wie i dlatego zakład opuszcza 1,4-1,6 mln kuchni i piekarników rocznie.

Przykład Jacka Rutkowskiego i zbudowanej przez niego spółki mocno kontrastuje z historią Zelmera. Nowi niemieccy właściciele wygasili znakomitą polską firmę, a Rutkowski, który pierwszych większych pieniędzy dorobił się w Niemczech, dokonał czegoś odwrotnego. Stworzył nie tylko wielką polską firmę, ale także tysiące nowych miejsc pracy.

Inne przykłady? Zakładów Rowerowych Romet w Bydgoszczy już nie ma, 25 maja 1998 r. sąd ogłosił upadłość spółki. Bydgoska fabryka została praktycznie zlikwidowana. Na jej terenie działają dziś inne podmioty. W 1999 r. prywatna firma Arkus należąca do Wiesława Grzyba przejęła zakład w Jastrowiu, a rok później w Kowalewie Wielkopolskim, razem z prawami do marki Romet i takich modeli jak Jubilat czy Wigry. Po roku 2000 połączono je w spółkę Arkus & Romet Group, która nadal produkuje rowery i jednoślady pod marką Romet, a jej właścicielem jest polski kapitał, z większościową kontrolą Wiesława Grzyba.

Jakiś czas temu na półki sklepowe wróciła słynna niegdyś marka Pollena 2000. W latach 80. XX w. proszek do prania Pollena 2000 produkowany był m.in. w Bydgoskich Zakładach Chemii Gospodarczej Pollena. Po przejęciu zakładu przez koncern Unilever produkcję i sprzedaż proszku Pollena 2000 prowadziła spółka Lever Polska. Wtedy też powstały kultowe reklamy z hasłem „Ojciec prać!”. Mimo dużej rozpoznawalności Unilever wycofał markę z rynku. Po latach trafiła ona do producenta i dystrybutora chemii gospodarczej, spółki Euduco KBC Group z Przemyśla kontrolowanej przez Krzysztofa Czernickiego. A w sklepach można ostatnio znaleźć proszki, żele i kapsułki Pollena 2000. Czas pokaże, czy ich powrót będzie sukcesem.

Legendarne marki przetrwały w domach i pamięci milionów Polaków.

Trudno o lepszą metaforę: niektóre marki okazały się trwalsze niż firmy, które je stworzyły. Często wbrew decyzjom polityków, którzy przesądzali o ich losach. Legendarne marki przetrwały w domach i pamięci milionów Polaków. I to jest być może najbardziej krzepiący wniosek płynący z tych historii.

Marek Czarkowski



eprasa.pl 3eb4cd8e4c

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Stulecie niespełnione

Niespełnione – bo Marian Turski nie dożył dnia 26 czerwca br.: obchodziłby wówczas setne urodziny. A nie tylko ja byłem pewien, że tego dnia doczeka. Gdy w lipcu 2023 r. odbierał w Krakowie medal „Za mądrość obywatelską", rozmawiałem krótko z naczelnym „Polityki", red. Jerzym Baczyńskim. „Co pięć lat urządzamy jubileusz Mariana – mówił – a on z każdym jubileuszem jakby młodszy, wciąż wspanialszy!".

Wtedy wszyscy byliśmy pod wrażeniem przemówienia Turskiego. Mieliśmy na karku wybory: PiS trzymało się mocno i rosła w siłę Konfederacja. A 97-letni Turski, odwołując się do własnych obozowych wspomnień, apelował o nieopuszczanie rąk. Słuchaliśmy jak skamieniali. Gdy umilkła owacja i gdy mogłem już podejść do niego ze zwykłą w naszych spotkaniach czerwoną różą, mówiłem z trudem: miałem łzy w oczach i ściśnięte gardło.

„Jedenaste: Nie bądź obojętny". W roku 2015 sformułował to przykazanie ocalały z Zagłady Roman Kent. Ale rozgłos nadał mu Turski w pamiętnym przemówieniu wygłoszonym w Auschwitz pięć lat później. „Auschwitz nie spadł z nieba" – te z kolei słowa powiedział mu kiedyś prezydent Austrii Alexander Van der Bellen. Ale i one uzyskały rozgłos dzięki temu wystąpieniu Turskiego. Zatem, przy zachowaniu wszelkich proporcji: w roku 2023 nie mogliśmy być obojętni, jaka Polska wyłoni się z wyborów. I wiedzieliśmy, że żaden nacjonalizm nigdy nie spada z nieba.

Mieliśmy na karku wybory: PiS trzymało się mocno i rosła w siłę Konfederacja. A 97-letni Marian Turski apelował o nieopuszczanie rąk.

Czyli była to prawda: autorytet Pana Mariana rósł z każdym rokiem. A zwłaszcza z każdym rokiem ostatnich dwóch dekad jego życia. Turski znajdował się już wtedy w kilkuosobowej, wciąż topniejącej, grupce Ocalałych. Wspomnieniami dzielił się chętnie. Najszczęśliwszy dzień w jego życiu? Toż to dzień przybycia do Auschwitz! Bo ludzka kolejka, do której go wtedy zagnano, nie okazała się – czego tak się obawiał – kolejką do gazu. Tak, był strażnikiem pamięci. Ale też człowiekiem zaangażowanym w sprawy dzisiejszego świata. Wysuwano już jego kandydaturę do Pokojowej Nagrody Nobla.

Znałem go właśnie z tych dwóch ostatnich dekad. Zatelefonował po którymś z mych artykułów wymierzonych w lustrację i – choć wprost tego nie powiedział – zrozumiałem, że moje poglądy z grubsza podziela. W każdym razie pozostawaliśmy odtąd w kontakcie, a kontakt ten nabierał stopniowo częstotliwości. Nieraz do niego dzwoniłem, mejlowałem lub esemesowałem, a i on pisał lub dzwonił – w końcu nawet na moje imieniny. Był moim dobrym duchem w „Polityce": to także na jego ręce wysłałem tam parę mych artykułów. Ale był też niezawodnym oparciem.

Kiedyś syn bohatera życiorysu publikowanego w Polskim Słowniku Biograficznym zażądał ode mnie usunięcia informacji o żydowskim pochodzeniu rodziców. „Jak pan profesor to sobie wyobraża? Idel! I Małka!", w słuchawce rozbrzmiał krótki szloch. Nie ustąpiłem rozmówcy, ale że rozumiałem, czemu Żydzi nie chcą czasem eksponować swego pochodzenia, pozostał we mnie cień wątpliwości. O sprawie dowiedział się Turski. Zadzwonił: „Nie wolno się wstydzić rodziców!". Moje skrupuły natychmiast przestały istnieć.

W roku 2014 podszedłem do niego po jego wykładzie w krakowskiej „Kuźnicy". Powiedziałem, że przymierzam się do zrobienia wywiadu rzeki z córką Jakuba Bermana. Drgnął. „Z Lucyną?", spytał ściszonym nagle głosem. Potwierdziłem skinieniem głowy. Chwilę patrzył w milczeniu. „Niech pan to zrobi – powiedział – koniecznie". I tak narodziła się moja z Lucyną Tychową książka „Tak, jestem córką Jakuba Bermana". Czy mogłaby powstać bez zachęty Turskiego? Po tej rozmowie uznałem, że to mój obowiązek.

A moja z nim więź stała się odtąd szczególna. Turski czytywał moje przeglądowe felietony i po jednym, poświęconym rocznicy Komuny Paryskiej, przysłał mi esemesa, z którego wywnioskowałem, jak wciąż są mu bliskie dawne ideały lewicowe. Zawsze pamiętał, by osobiście mnie zaprosić na uroczystości, które urządzano mu w Krakowie. A kiedyś napisał, że najbardziej mu do mnie pasuje rosyjskie słowo „nieżnyj".

Ostatni raz widziałem go w czerwcu 2024 r., na imprezie „Świat Turowicza" w krakowskiej Mangdze. Otworzył ramiona na mój widok, a potem ten sam gest ponowił na pożegnanie. A ja jakoś nie mogłem z nim się rozstać! Krążyłem po sali i gdy tylko na niego się natknąłem, widziałem znów jego otwarte ramiona i w te ramiona natychmiast wpadałem. „Ostrożnie! – szeptano z boku – jego to boli". Mimo to nasz uścisk – delikatny, nieledwie symboliczny – powtórzył się jeszcze kilkakrotnie. Jakbyśmy obaj wiedzieli, że nie zobaczymy się już więcej.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3eb4cd8e4c



CYFROWA PUŁAPKA UWAGI

Naukowcy wyjaśnili, dlaczego nie możemy przestać scrollować. Tak, dotyczy to również dorosłych

Kornel Wawrzyniak

„Jeszcze tylko chwilę" – to jedno ze zdań najczęściej powtarzanych przez użytkowników smartfonów. Z pozoru niewinne sięgnięcie po telefon potrafi zamienić się w kilkadziesiąt minut bezrefleksyjnego przeglądania treści. W debacie publicznej wciąż jednak dominuje uproszczone pytanie: ile czasu spędzamy przed ekranem? Tymczasem – jak pokazują badania – dużo ważniejsze jest, co robimy i w jakich okolicznościach.

Mit czasu przed ekranem

Przez lata wszystkie aktywności cyfrowe traktowano jako zjawisko jednorodne. Ale godzina wideorozmowy, nauki języka czy pracy znacząco różni się od bezmyślnego scrollowania. Liczenie, ile czasu spędziliśmy przed ekranem, jest więc bezcelowe. Dziwnym trafem producenci telefonów komórkowych ostatnio promują właśnie tę funkcję, niby dla zdrowia użytkowników. Badacze z Uniwersytetu Stanowego w Pensylwanii przekonują, że kluczowe jest zestawienie kilku czynników: co dokładnie robimy, w jakiej porze dnia, jaka jest struktura treści i jaki poziom naszego zaangażowania w nie oraz nasz stan po odłożeniu komórki. Dopiero analiza tych wszystkich czynników pozwala ocenić, czy technologia jest dla nas wsparciem, czy stała się problemem.

Współczesne technologie stworzone są po to, abyśmy nieustannie do nich wracali lub nie mogli się od nich oderwać. Naukowcy zauważyli, że przeciętny dorosły użytkownik smartfona potrafi w ciągu dnia sprawdzać aplikację e-mail bez wyraźnej potrzeby – robi to mimo braku powiadomień o nowych wiadomościach. Kompulsywne sprawdzanie poczty to jednak tylko echo strategii projektowania współczesnych aplikacji. To przez media społecznościowe nauczyliśmy się ciągłego sprawdzania powiadomień i aktualności.

Jednym z najważniejszych elementów współczesnych platform jest tzw. nieskończone przewijanie treści. To mechanizm, który eliminuje moment zatrzymania – kolejne treści pojawiają się automatycznie, a użytkownik zatraca się w potoku filmików. Oglądający tracą „punkt odniesienia". Mamy złudzenie, że następny materiał będzie ciekawszy, co wydłuża czas spędzany w aplikacji bez świadomej kontroli. Rozwiązania te nie są przypadkowe – wpisują się w koncepcję tzw. Dark UX, czyli projektowania ukierunkowanego na maksymalne zatrzymanie uwagi użytkownika. Robią to wszyscy: platformy, projektanci aplikacji i mobilnych gier oraz twórcy sprzętu elektronicznego.

„Cyberpunk" lepszy niż „shortsy"

To stwierdzenie może wydawać się kontrowersyjne, podejdźmy jednak do tematu na zimno. Zauważmy, że krótkie filmiki, tzw. shortsy, mają po 15-30 sekund. W ciągu godziny użytkownik jest w stanie obejrzeć ich ponad 200. Nie niosą żadnej treści i nie ma między nimi wyraźnej ciągłości. To przeciąża mózg i wpływa na spadek skupienia. Neurolożka dr hab. Olga Milczarek w rozmowie z portalem Medonet przestrzega przed epidemią tzw. popcornowych

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

mózgów, czyli stanu, w którym myśli i uwaga szybko przeskakują z jednego tematu na drugi, nie mogąc się zatrzymać na żadnym na dłużej.

„Ciągłe zalewanie mózgu nowymi informacjami, dźwiękami, obrazami i innymi bodźcami sprawia, że jest on nie tylko ciągle pobudzony, ale też w pewnym sensie dochodzi do ściany – jest tak przeciążony, że więcej już przyjąć nie może i po prostu się »zawiesza«. Przestajemy rozumieć, co czytamy, albo w ogóle się nad tym nie zastanawiamy, zaczynają się pojawiać trudności z koncentracją, z wypełnianiem codziennych zadań i kończeniem ich (bo szybko przestają nas interesować). Coraz gorzej idzie nam zapamiętywanie i uczenie się. To z kolei prowadzi do innych zaburzeń, jak np. bóle głowy, problemy z zasypianiem, bezsenność, nawet do spadku odporności czy ADHD", tłumaczy dr Milczarek.

To istotna wskazówka dla rodziców, którzy często gubią się w cyfrowym natłoku treści. Suche statystyki i sama informacja o tym, ile dokładnie czasu dziecko spędziło wpatrzone w ekran, nie mówią nam o tym, jak pochłaniane treści wpływają na jego rozwój. Smartfon może służyć jako narzędzie do nauki i kontaktu z przyjaciółmi, jednak najczęściej jest zagrożeniem – może wciągać w bezrefleksyjne przewijanie treści i stopniowo zabierać koncentrację, czas na sen czy inne aktywności. Według raportu „Internet dzieci 2026" ponad połowa polskich dzieci w wieku 7-14 lat sięga po smartfon między godz. 6 a 8 rano, zanim jeszcze wyjdzie do szkoły. Jedna trzecia otwiera w tym czasie TikToka. Co czwarte dziecko spędza czas ze smartfonem w ręku po godz. 22.

A co wspólnego ma z tym „Cyberpunk"? Paradoksalnie gry okazują się lepszym wyborem niż media społecznościowe. Celowo wymieniłem jednak tytuł, który ma wciągający scenariusz. W przeciwieństwie do gier online taka rozgrywka wymaga większego skupienia. Gry sieciowe z reguły bowiem polegają na krótkich potyczkach, które dzieją się tu i teraz. Właśnie dlatego wasze dzieci czy wnuki nie przychodzą, kiedy wołacie je na obiad – muszą skończyć rundę, aby nie stracić punktów i miejsca w tabeli.

Podobnie jak w przypadku „shortsów" rozmawiamy o problemie związanym ze strukturą treści. Długi film, artykuł czy rozmowa mają określoną narrację, z którą płyniemy, porządkując informacje. Tymczasem krótkie formy wideo, choć atrakcyjne, wymagają od mózgu ciągłego przełączania się między bodźcami. W przeciwieństwie do dłuższych treści nie budują narracji ani kontekstu. To skutkuje przeciążeniem pamięci roboczej, odpowiedzialnej za krótkotrwałe przechowywanie i przetwarzanie informacji potrzebnych tu i teraz. Mózg w kółko ładuje nowe dane, po czym natychmiast je wyrzuca. Spędzając tak choćby 40 minut, można mieć uczucie zmęczenia. Jednocześnie trudno powiedzieć, co się oglądało.

Raport „Internet dzieci 2026" pokazuje też, jakie są proporcje konsumowanych treści. Te edukacyjne online – 6 minut dziennie, a na TikToku prawie 2,5 godziny oraz 1,5 godziny na YouTubie.

Prawdziwą pułapką na młodszych użytkowników jest Roblox – platforma, na której można grać w przeróżne mniejsze gry.

Wróćmy jeszcze na moment do gier. Nie każda ma scenariusz. Prawdziwą pułapką na młodszych użytkowników jest Roblox – platforma, na której można grać w przeróżne mniejsze gry. Część wygląda jak zabawy na podwórku, tyle że przez komputer. Przykuwają jednak dziecko do ekranu na wiele godzin, ponieważ w trakcie rozgrywki nie można włączyć pauzy.

Dobrym przykładem jest dostępna na Robloksie gra, w której trzeba przetrwać jak najwięcej dni w lesie. Każdej nocy trzeba odpierać ataki potworów, a w dzień rozbudowywać obóz. Jeśli nie gra się z kolegą, z którym można się umówić, że przypilnuje postaci, to zaczyna się mieć problem nawet z pójściem do toalety, bo zawsze coś może nas zabić. Wynik przepada i trzeba zaczynać wszystko od początku.

Oczekiwanie na apokalipsę

Nie tylko dzieci są zagrożone, dotyczy to również dorosłych – na deser zostaje nam zjawisko kompulsywnego przeglądania negatywnych wiadomości, nazywane doomscrollingiem. To mechanizm psychologiczny związany z potrzebą kontroli i redukcji niepewności, przypadek dość paradoksalny, ponieważ im więcej negatywnych informacji konsumujemy, tym większy odczuwamy lęk. To zaś zwiększa potrzebę dalszego sprawdzania wiadomości. Szukając poczucia bezpieczeństwa, stale więc pogłębiamy nasz niepokój, a to prowadzi do katastroficznych myśli. Dlatego właśnie zjawisko ma w nazwie angielskie słowo doom, czyli zagłada.

W dłuższej perspektywie popadanie w doomscrolling prowadzi do obniżenia nastroju, problemów ze snem i trudności z koncentracją. Zjawisko szczególnie nasila się w czasach kryzysu – pandemii, konfliktów zbrojnych czy problemów gospodarczych. W takich momentach media zalewają użytkowników strumieniem informacji, wzmacnianym często przez dezinformację. Dodajmy, że coraz więcej osób sprawdza informacje w mediach społecznościowych. Z raportu „Między scrollowaniem a poszukiwaniem równowagi. Dobrostan cyfrowy Polaków w czasach social mediów i AI" wynika, że co druga osoba w grupie wiekowej 50+ sprawdza informacje właśnie w social mediach, ale tylko 8% weryfikuje ich prawdziwość. Przez algorytmy można zaś wpaść w sidła błędnych informacji.

Technologia sama w sobie nie stanowi zagrożenia – może wspierać wiedzę, relacje i rozwój. Problem ukryty jest w sposobie jej projektowania i naszych cyfrowych nawykach. Dlatego chodzi nie o bezwzględne ograniczanie czasu online, lecz o rozwijanie uważności i świadomości wyborów. Big techy zarabiają na tym, że boimy się coś przegapić. Prawda jest jednak brutalna: większość z tych rzeczy nie ma żadnego znaczenia, a to, co ma, i tak prędzej czy później do nas dotrze.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

SZTAFETA DOBRA

W Bartoszycach realizowano eksperyment pedagogiczny, którego celem było stworzenie nowego człowieka



Prof. dr hab. BERNADETTA DARSKA – krytyczka literacka, literaturoznawczyni. Pracuje w Instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. Autorka 13 książek, najnowsza to „Republika ludzi młodych. Opowieść o nowym człowieku" (Wydawnictwo Iskry, 2026). Autorka bloga „Nowości książkowe": **www.bernadettadarska.blogspot.com.**

Bernadetta Darska – za autorką budynki, w których była szkoła w Bartoszycach.

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

Rozmawia Beata Dżon-Ozimek

Chyba każde miasto ma swoją ważną, szczególną ulicę. Wydaje się, że w Bartoszycach to ulica Bolesława Limanowskiego.

– To ulica szczególna, bo stanowi fundament dla polskiej społeczności, która po wojnie przybyła do tego poniemieckiego miasta. Tutaj, kiedy Bartoszyce są właściwie wyludnione, w 1947 r. powstaje Centralny Ośrodek Wychowawczo-Szkoleniowy im. Janusza Korczaka. Jego podstawą był dom dziecka, ale i inne instytucje edukacyjne, jak chociażby liceum pedagogiczne. Ulica Limanowskiego była pełna młodych – potrzebujących pomocy i niosących pomoc. Udowodnili, że można uwierzyć w człowieka i w przyszłość. Realizowano w tym miejscu eksperyment pedagogiczny, którego celem było stworzenie nowego człowieka.

Pisze pani, że małym powstańcom, „szwabom", „rusom", „niemczętom" koniec ich świata zamieniano w początek. Polska Kronika Filmowa już w 1948 r. z dumą pokazywała, jak „rośnie i uczy się nowy człowiek".

– Niezależnie od historii dzieci i ich pochodzenia ważna była praktyka propagowana przez Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, które było patronem tego ośrodka, że nie ma dzieci trudnych. Nie ma dzieci złych, niedobrych, gorszych, każde zasługuje na uwagę. Co nie znaczy, że nie było trudnych chwil. Ważna jest kategoria młodości, którą akcentuję w tytule książki. Młodość łączyła wychowawców, dzieci i młodzież. Szanowali swoje role, jednocześnie była między nimi więź, rodzaj bliskości, zaangażowanie we współodpowiedzialność za grupę.

W Bartoszycach rodził się nowy typ pedagogiki pod okiem Aleksandra Lewina, który wcześniej pracował z Korczakiem. Przyjechał ze swoimi podopiecznymi aż z Uralu.

– Lewin, który uczestniczył w tworzeniu bartoszyckiego ośrodka, zaprosił do tego miejsca część swoich wychowanków z Monetnej na Uralu. Kiedy znajdujący się pod jego opieką młodzi ludzie wrócili do kraju, znaleźli się w domu dziecka w Sławięcicach. Do Bartoszyc przyjechały osoby, które Lewin uznawał za dojrzałe, pracowite, odpowiedzialne. Widział w nich nie tylko wychowanków domu dziecka, ale i tych, którzy pomogą w budowaniu wspólnoty bartoszyckiej. Tak się faktycznie stało. Młodzi znali reguły wzorowane na pedagogice Janusza Korczaka oraz radzieckiego pedagoga Antona Makarenki. Żyli według nich. Lewin umiał zbudować przyjazną atmosferę i dzieci nie tylko czuły się zaopiekowane, ale też były ważnymi podmiotami w tej instytucji. Co ciekawe, pedagog pozostał przyjacielem swoich wychowanków na całe życie. Monetniacy przez kilkadziesiąt lat od powrotu do kraju organizowali zjazdy. Lewin, opiekun spuścizny Korczaka, miał też epizod mroczny – odpowiadał za szkolenie wychowawców pracujących w Więzieniu dla Młodocianych Przestępców w Jaworznie, gdzie nie tyle ratowano młodych, ile raczej katorżniczą pracą i ideologią próbowano ich zniszczyć.

Kto znalazł się w tym „mieście dzieci"?

– To była grupa bardzo zróżnicowana, od początku narażona na konflikty. Przyjechały dzieci z ośrodka Boduena z Warszawy, miały różnego rodzaju dysfunkcje, potrzebowały szczególnej opieki. Jako jedne z pierwszych pojawiły się dzieci autochtonów, które nazywano konsekwentnie „Mazurami", unikano nazwy „Niemcy". A to dlatego, że prowadzono też szeroką akcję repolonizacyjną, która z założenia miała być wzorcowa dla całej Polski, podobnie jak idea tworzenia nowego człowieka. Przyjechali młodzi z powstania warszawskiego, którzy mieli bardzo trudne przeżycia, uczestniczyli w dramatycznych sytuacjach. Dzieci, które mówiły po niemiecku, były dla nich dziećmi wroga. Jednak młodzi wychowawcy umieli jakoś dotrzeć do tej ogromnej, podzielonej grupy ludzi – to była sztuka i prawdziwy talent pedagogiczny.

W Bartoszycach, skąd bliżej do Królewca niż do Olsztyna, które nie leżą ani na Warmii, ani na Mazurach, choć blisko, kreowano po wojnie „nowego człowieka". Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci powołało eksperymentalny ośrodek, „miasto dzieci" dla wojennych sierot, które realizowało pedagogikę inspirowaną koncepcjami m.in. Janusza Korczaka. Niewiele brakowało, by dawne Bartenstein w Prusach Wschodnich, potem polskie Bartoszyce, przemianowano na Korczakowo.

Docelowo ośrodek dla dzieci miał liczyć 3 tys. wychowanków. Skończyło się na mniejszej liczbie.

– Tak, tę liczbę wpisano w dokumentach założycielskich i pojawiała się w omawianych i upublicznianych planach. Ale już kilkaset dzieci to była ogromna grupa do opanowania pod względem edukacji, wychowania i opieki. Dom dziecka w Bartoszycach przez kilkadziesiąt lat był zresztą największym w Polsce. Młodość okazała się tutaj fundamentem codzienności. Niejednokrotnie ktoś uczył się w liceum pedagogicznym, które funkcjonowało w ramach ośrodka, a po lekcjach ten młody człowiek opiekował się dziećmi w domu dziecka; dopiero kiedy poszły spać, mógł odrabiać swoje lekcje. Ileż to wymagało od niego pracy i zaangażowania, poczucia, że warto! Bo w większości przypadków ci młodzi nie czuli, że się przepracowują czy może są wykorzystywani, a raczej, że uczestniczą w czymś ważnym.

Uderza wielojęzyczność tego miejsca, która mogła być źródłem trudności, ale i poszerzania horyzontów nowego człowieka. „Mazurzy", przybysze z Francji, ZSRR, Ukraińcy po akcji „Wisła", Grecy, nawet Koreańczycy. Przystań wielu rozbitków.

– Ta wielojęzyczność jest niezwykła, jest poświadczeniem otwartości, która leżała u podstaw idei tego „nowego człowieka". Miał to być człowiek socjalistyczny, ale dobrze wyedukowany, chętnie i często korzystający z oferty kulturalnej i taki, który widzi coś pozytywnego w drugim człowieku. Myślę, że z tego wynikało to udane współegzystowanie, czy to byli reemigranci z Francji, którzy przyjechali jako nauczyciele, dzieci, które mówiły po ukraińsku, czy te, które na początku mówiły wyłącznie

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

po niemiecku, potem repolonizowane. Trzeba powiedzieć, że akcja repolonizacyjna była nastawiona na pozytywne zmiany, nie była przemocowa, raczej zakładała, że skoro te dzieci mają tu pozostać, bo nie miały rodzin, a niektóre żadnych śladów po swojej tożsamości, to powinny mówić po polsku, zostać Polakami. Zmieniono im imiona i nazwiska, ale, co ważne, zachowywano w dokumentach nazwiska niemieckie. To pozwalało na późniejszą identyfikację, jeśli odnajdywali się członkowie rodzin w Niemczech.

Taki stosunek do Niemców, także dzieci, nie był wtedy oczywisty.

– Nie, jeśli przyjrzymy się różnym historiom, w tym obozom, w których zamykano Niemców albo tych, których uznano za Niemców – tam również dzieci były ofiarami. Odmawiano im edukacji, spotykały się z przemocą różnego rodzaju. W Bartoszycach nie traktowano ich jako gorszych, więc to było bardzo szczególne. Takim postępowaniem pokazywano, że najważniejszy jest drugi człowiek, a nie to, jakim mówi językiem. Jeśli dzieciom nie przeszkadzamy, nie podszeptujemy, że ktoś jest gorszy, że trzeba go wykluczyć, to dogadują się ze sobą.

Inwestowano w edukację kulturalną, w sport, a przecież trudno było o podstawową aprowizację.

– Mikołaj Beynar, ojciec Pawła Jasienicy, prowadził orkiestrę dziecięcą. Dzieci w liceum uczyły się gry na skrzypcach w ramach przygotowań pedagogicznych. Żartowano, że jedni grali, drudzy rzępolili, ale w ich życie wprowadzono kulturę jako coś oczywistego. Koncertowali filharmonicy z Warszawy, z Olsztyna, przyjeżdżali wybitni pisarze: Wańkowicz, Centkiewicz, Dąbrowska czy Broniewski, piosenkarze, aktorzy, teatry. Kultura była codziennością, uczono dyskutowania na jej temat. To też powodowało, że podopieczni aspirowali do czegoś większego, chcieli czegoś więcej. Ważne było, żeby to wzbudzić w młodym człowieku, kiedy miał trudne przeżycia wojenne i zapewne poczucie niedowartościowania, wynikające z osamotnienia. Ofiarowano wychowankom pewność, że zasługują na rzeczy najlepsze. Dzieci pierwszych pracowników wspominają, że wręcz zazdrościły tego, co się działo w ośrodku, były np. filmy wcześniej niż w kinie, dostęp do basenu, który był na miejscu.

Pisze pani o chłopie, który po wielokroć żegnał się znakiem krzyża, nim wjechał na teren „miasteczka radości, pracy i nauki”.

– Anegdota, którą przytaczam, wiązała się ze świeckim wychowaniem propagowanym w ośrodku. Dla wielu mieszkańców Bartoszyc było to początkowo trochę podejrzane. Z czasem przekonali się, że w ramach ośrodka funkcjonują bardzo dobre, na wysokim poziomie instytucje edukacyjne – liceum pedagogiczne, także drugie liceum z klasami ukraińskimi, ćwiczeniówka, czyli szkoła podstawowa. Zachwycało też położenie ośrodka. Dawne pruskie koszary Ludendorffa były nie tylko oddzielone od miasta przez nasyp kolejowy, z drugiej strony była Łyna, a z jeszcze kolejnej las. W domach pooficerskich zamieszkali pracownicy. Do każdego mieszkania był przypisany ogródek. To bardzo się podobało tym, którzy związali życie z ośrodkiem.

Bartoszycki dom dziecka przez kilkadziesiąt lat był największy w Polsce.

Ten największy zakład wychowawczy, „miasto w mieście”, stawiał też na samowystarczalność.

– Były warsztaty krawieckie, szewskie, stolarskie, a rzeźnia i trzy gospodarstwa rolne wspierały kuchnię owocami, warzywami, mięsem, mlekiem. Oczywiście pieniądze były potrzebne cały czas. Przy tak dużej grupie ludzi to normalne. Stawiano też na samorządność. Dzieci dokonywały oceny swojego zaangażowania, wydawały gazetkę, którą wspólnie czytano, organizowano dyżury sprzątania sal i najbliższego otoczenia. Starsi pomagali młodszym w odrabianiu lekcji, ale i w najprostszych pracach codziennych.

Zdarzyło się, że źle przechowywany pasztet spowodował zatrucie części wychowanków. Dobrze, że nie poczęstowano nim prezydenta Bieruta, bo przecież i on do Bartoszyc zajrzał.

– Historia masowego zatrucia pokarmowego w ośrodku skończyła się faktycznie sprawami sądowymi dla dwóch odpowiedzialnych za tę sytuację kobiet. Choć stała się również okazją do zaistnienia całkiem zabawnej sytuacji, ale odsyłam do książki. Bolesław Bierut odwiedził ośrodek. Była to wizyta niezapowiedziana, której efektem stały się późniejsze transporty z wyposażeniem klas lekcyjnych oraz meblami do sypialni. Nawet po latach wspominano ten gest i te odwiedziny. Ale nie tylko prezydent interesował się ośrodkiem, zdjęcia robił tam David Seymour, współzałożyciel legendarnej agencji fotograficznej Magnum.

Czuję, że pani cały czas przeżywa tę „republikę ludzi młodych”, jakby ona trwała.

– To jest taki typ historii, której nie da się tak po prostu porzucić. Zainteresowałam się tym projektem, a poszukiwania faktów momentami przypominały działania śledcze, bo zdarzały się też informacje wprowadzające w błąd. Mam poczucie działania na rzecz pamięci. Chciałam tę zapomnianą i fascynującą historię ocalić. Jednocześnie, choć jest to historia, można powiedzieć, że i teraźniejszość. Dzieci zawsze są największymi ofiarami konfliktów dorosłych, zwłaszcza podczas wojny. Bartoszycka historia daje nadzieję, że po katastrofie można odzyskać przyszłość.

Lektura pani książki pokazuje właśnie podobieństwo losów dzieci bez względu na moment w historii i miejsce na mapie.

– Po II wojnie światowej w Polsce było 1,7 mln sierot. To liczba niewyobrażalna. Zwłaszcza kiedy rozbijemy ją na konkretne jednostki – młodych ludzi, którzy widzieli i przeżyli rzeczy straszne, często byli świadkami śmierci rodziców, zdarzało się, że sami doświadczyli przemocy, tracili punkty zaczepienia związane z poczuciem bezpieczeństwa. Bartoszycki ośrodek oferował im opiekę, wychowanie i naukę. Mieli gdzie mieszkać, byli ubrani, mieli opiekę lekarską. Czuwano nad ich

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

rozwojem. Tworzenie nowego człowieka było budowaniem lepszego jutra dla tych niewinnych ofiar wojny. Takie myślenie było potrzebne wtedy, 80 lat temu, ale jest i teraz. Bo przecież dzieci, chociażby w Ukrainie, nadal są ofiarami zła ze strony dorosłych. I też potrzebują dobra.

A jakie znaczenie ma „miasto dzieci" dla samych Bartoszyc?

– Ludzie, którzy przyjechali tworzyć ośrodek, stali się później ważną częścią społeczności miasta. Zdecydowanie można powiedzieć, że stworzenie Centralnego Ośrodka Wychowawczo-Szkoleniowego to kluczowy fakt dla polskiej i powojennej historii miasta. Wychowankowie domu dziecka, uczniowie znajdujących się tam liceów i szkoły podstawowej, a także wychowawcy i nauczyciele stali się później istotnymi postaciami dla Bartoszyc i regionu. Pracowali w innych placówkach edukacyjnych, również w szkolnictwie wyższym, byli artystami, animatorami kultury. Do dzisiaj teren ośrodka nie tylko wygląda podobnie jak kilkadziesiąt lat temu, ale też pełni podobne funkcje – znajdują się tu instytucje edukacyjno-wychowawcze, także dom dziecka.

Później, w latach 80., zrealizowano tu jeszcze inną, awangardową wizję, tym razem ekologiczną.

– Nauczyciel o nazwisku Gotard postanowił stworzyć leśny amfiteatr. Miał wielkie marzenia, dalekosiężne wizje i udało mu się stworzyć arcyciekawe miejsce, wpisane w przyrodę. Wykorzystał ukształtowanie terenu, rzekę; w budowę zaangażowali się uczniowie, mieszkańcy, nawet mój wujek był w tym amfiteatrze konferansjerem podczas koncertów. To był nowoczesny projekt także w sensie myślenia ekologicznego. Niestety, już nie istnieje.

Wychowankom ofiarowano pewność, że zasługują na rzeczy najlepsze.

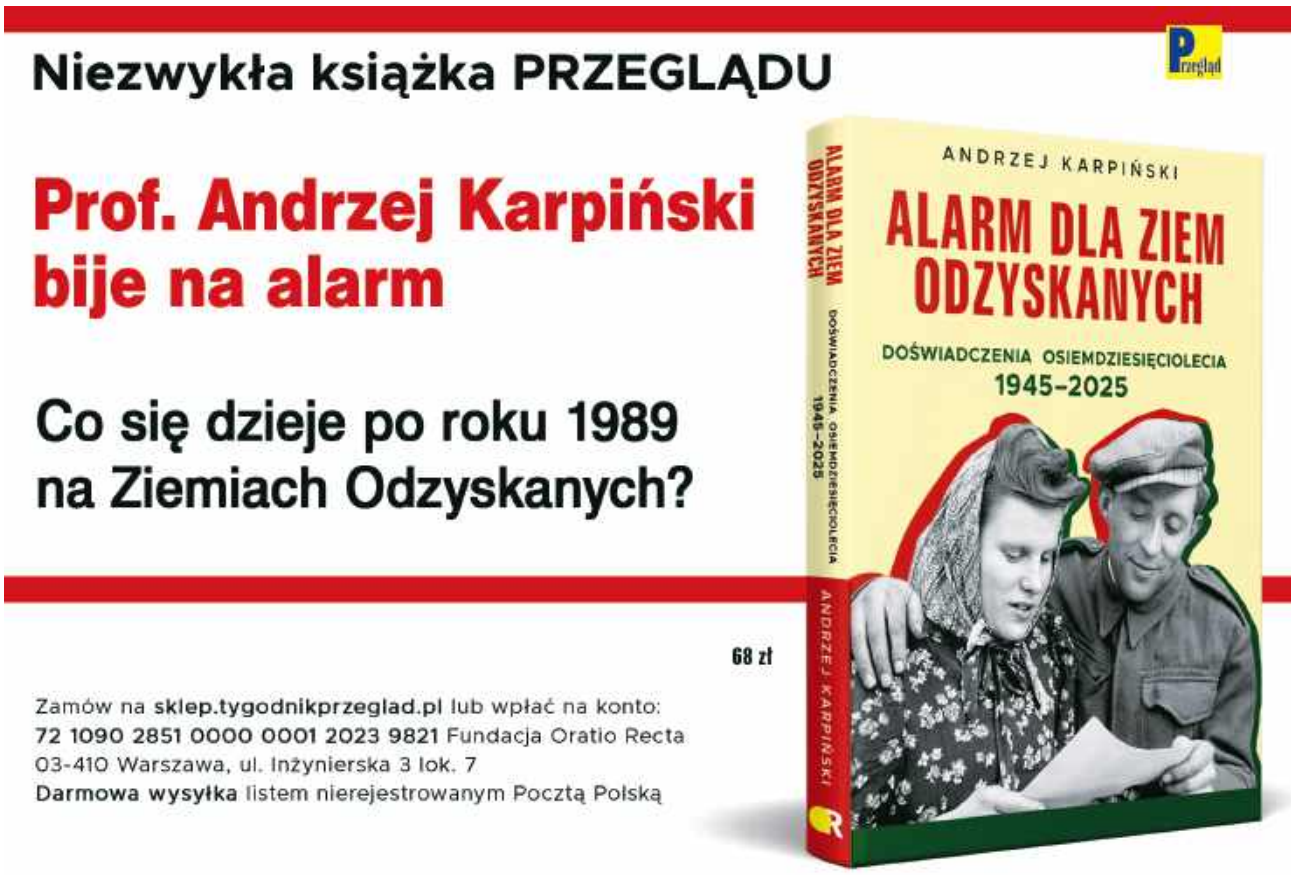
Co dla pani jest ważne w tej historii?

– Dla mnie jest bardzo ważne, że postacie związane z ośrodkiem są pamiętane jako osoby po prostu dobre. Mamy grupę osób, które były wychowankami domu dziecka i pomagały w opiece nad najmłodszymi dziećmi. Potem zostały wychowawcami, wychowawczyniami i przez całe życie pracowały z dziećmi i dla tych dzieci, choć same przeżyły dużo trudnych chwil. Widziały śmierć swoich rodziców, straciły wiele lub wszystko, ale uwierzyły, że warto stanąć po stronie dziecka, po stronie najsłabszego, inwestować w życie. Dzieci nie są nigdy winne wojny. Dzieci nie są wrogami, zła uczą zawsze dorośli.

Co przetrwało po tych ośmiu dekadach?

– Z tych szczątków wspomnień widać, że to dobro zostaje przekazane, troszeczkę jak znicz olimpijski, od wychowanka do wychowawcy i dalej, do wychowanka. Taka sztafeta dobra. To jest chyba najważniejsze. Historia ośrodka, którą staram się teraz przypomnieć, żyje w biografiach wielu konkretnych ludzi, którzy tego dobra doświadczyli.

Beata Dżon-Ozimek



eprasa.pl 3eb4cd8e4c

Polska sięga gwiazd

Sieć Badawcza Łukasiewicz widzi przyszłość bezpieczeństwa i gospodarki Polski w technologiach kosmicznych

Kornel Wawrzyniak



Dr Hubert Cichocki, prezes Sieci Badawczej Łukasiewicz

Projekty kosmiczne prowadzone przez polskie instytucje jeszcze niedawno mogły się wydawać tylko ciekawostką albo wyrazem megalomanii. Dziś, w obliczu zmian w globalnych układach, mogą zdecydować nie tylko o naszym miejscu w gospodarczych łańcuchach wartości, ale też o bezpieczeństwie.

– Mimo trwałych sojuszy Siły Zbrojne RP potrzebują dziś rozwiązań opartych na suwerenności technologicznej, która zapewnia odporność i niezależność – ocenia były szef Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych RP **gen. Mieczysław Cieniuch**. Jak podkreśla generał, satelity dają przewagę w rozpoznaniu i łączności: – Wzmacniają zdolność szybkiego reagowania i koordynacji działań. Dążenie do suwerenności technologicznej w tym obszarze staje się jednym z fundamentów bezpieczeństwa państwa – zauważa dowódca.

Jednocześnie analizy Europejskiej Agencji Kosmicznej pokazują, że jedno euro zainwestowane w sektor kosmiczny generuje od trzech do ośmiu euro zwrotu. Według prognoz McKinsey & Company wartość globalnego rynku kosmicznego do 2035 r. może osiągnąć nawet 1,8 bln dol. Dla Polski oznacza to możliwość budowy silnej pozycji w wyspecjalizowanych niszach technologicznych, takich jak serwisowanie satelitów czy rozwój ekologicznych napędów.

Program Badań Kosmicznych Sieci Badawczej Łukasiewicz to kompleksowa inicjatywa obejmująca kilkadziesiąt projektów badawczych zaplanowanych do 2035 r.

Kosmiczny program na miarę XXI wieku

Ogłoszony w tym roku Program Badań Kosmicznych Sieci Badawczej Łukasiewicz to kompleksowa inicjatywa obejmująca kilkadziesiąt projektów badawczych zaplanowanych do 2035 r. Jego celem jest rozwój pełnego łańcucha technologii kosmicznych – od projektowania satelitów, przez ich wynoszenie na orbitę, aż po zaawansowane systemy badawcze i komunikacyjne.

Szacunkowa wartość programu to ok. 2,4 mld zł rozłożone na dekadę. Środki finansowe mają pochodzić zarówno z zasobów własnych Sieci, jak i z funduszy przeznaczonych na obronność oraz rozwój technologii kosmicznych, a także ze współpracy z podmiotami prywatnymi. Inicjatywa będzie kierowana do odbiorców krajowych i zagranicznych, oferując usługi oparte na koncepcji dualuse, umożliwiającej zastosowanie rozwiązań cywilnych w sektorze obronnym. Projekt może istotnie wzmocnić niezależność Polski w dostępie do kluczowych technologii kosmicznych.

Jak podkreśla minister nauki i szkolnictwa wyższego **dr inż. Marcin Kulasek**: – Dzięki konsolidacji zasobów aż 22 instytutów Sieci mamy historyczną szansę stać się europejskim liderem w technologiach przemysłu kosmicznego, także w tak wyspecjalizowanych obszarach

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

jak serwisowanie satelitów czy rozwój ekologicznych napędów. Nie możemy pozwolić sobie na niewykorzystanie takiej okazji ani na przeciętność. Tym bardziej że nie startujemy od zera. Już ubiegłoroczna misja Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego wyniosła Polskę na orbitę kosmicznych ambicji. Teraz program Sieci Badawczej Łukasiewicz ma sprawić, że będziemy jeszcze silniej zakotwiczeni w europejskim sektorze kosmicznym.

– Łukasiewicz jest partnerem strategicznym dużych spółek, specjalizujących się m.in. w obszarze łączności. Nie chcemy, by ominęła nas ta szansa. Program Badań Kosmicznych to inwestycja w przyszłość: w polską gospodarkę, polski przemysł i w bezpieczeństwo państwa – mówił podczas inauguracji **prezes Centrum Łukasiewicz dr Hubert Cichocki**.

Szacunkowa wartość programu to ok. 2,4 mld zł rozłożone na dekadę.

W trakcie inauguracji przedstawiono kierunki rozwoju obejmujące m.in. systemy wynoszenia satelitów na niską orbitę z użyciem mobilnej infrastruktury i platform lotniczych, a także prace nad specjalistycznymi zastosowaniami sztucznej inteligencji oraz innowacyjnymi materiałami, takimi jak ultraczarne powłoki redukujące wykrywalność obiektów.

Od Bursztyna do autonomii orbitalnej

Program integruje potencjał 22 instytutów Sieci Badawczej Łukasiewicz, a jego koordynację powierzono Instytutowi Lotnictwa (Łukasiewicz – ILOT). Inżynierowie Sieci mają szerokie doświadczenie w realizacji projektów kosmicznych, zwłaszcza we współpracy z Europejską Agencją Kosmiczną, w ramach której prowadzą obecnie ponad 50 inicjatyw. W perspektywie najbliższych dwóch lat na orbitę ma trafić satelita SPARK, opracowywany wspólnie przez zespoły kilku instytutów pod kierunkiem Łukasiewicz – ILOT.

– Osiągnięcia naszych inżynierów możemy wykorzystać w praktyce: nie tylko wynosząc satelity, ale również je serwisując. Polska ma szansę stać się europejskim liderem w serwisowaniu satelitów, rozwijaniu technologii cyfrowych oraz ekologicznych napędów i to z własnym satelitą na orbicie – mówi **dyrektor Łukasiewicz – ILOT dr hab. inż. Cezary Szczepański, profesor ILOT**.

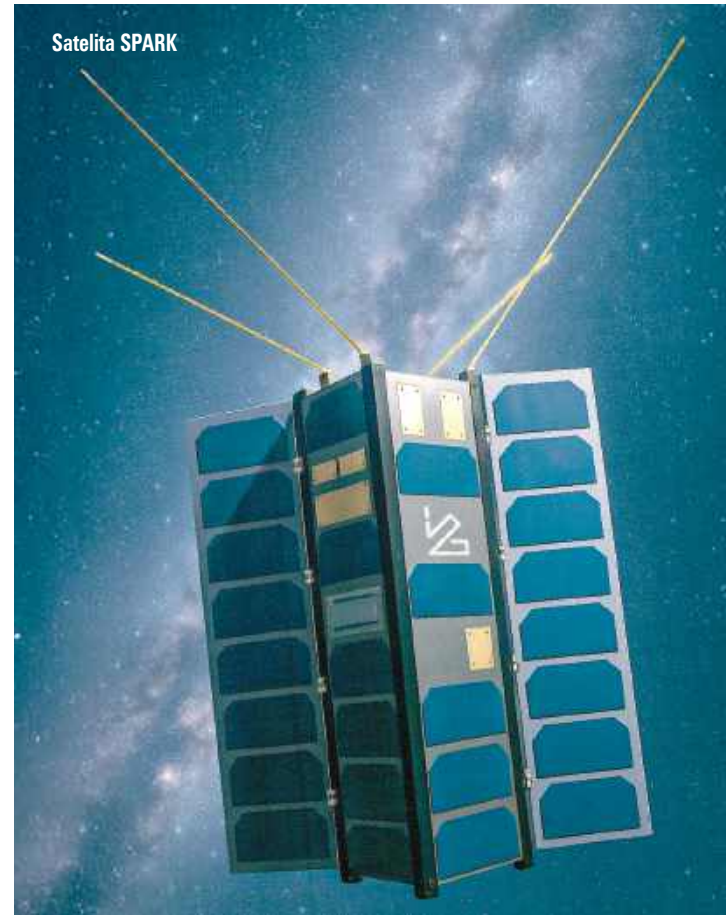
Jednym z najbardziej spektakularnych osiągnięć Sieci Badawczej Łukasiewicz jest rakieta suborbitalna ILR33 Bursztyn 2K. Wykorzystująca wysoko stężony nadtlenek wodoru jako utleniacz. Konstrukcja osiągnęła pułap 101 km, przekraczając umowną granicę kosmosu. To osiągnięcie nie ma wyłącznie znaczenia symbolicznego. Stanowi ono technologiczny fundament pod rozwój własnych systemów wynoszenia satelitów, które mają umożliwić Polsce uniezależnienie się od zagranicznych dostawców usług kosmicznych.

Dr Hubert Cichocki wskazuje, dlaczego Sieć Badawcza Łukasiewicz zdecydowała się na uruchomienie programu: – Dostęp Polski do orbity nie może się opierać wyłącznie na zagranicznych korporacjach i ich podwykonawcach, od których jesteśmy obecnie uzależnieni. I dodaje, że kluczowym elementem programu jest budowa krajowego systemu wynoszenia małych satelitów na niską orbitę okołoziemską. W tym obszarze dominującą rolę ma obecnie spółka SpaceX należąca do Elona Muska.

SPARK – impuls dla sektora nowoczesnych technologii

Centralnym projektem satelitarnym programu jest platforma SPARK (Spacecraft Platform Architecture for Research and Keyenabling missions). System ten ma umożliwić testowanie polskich technologii bezpośrednio w warunkach kosmicznych. Demonstracyjny lot rakiety, która wyniesie satelitę SPARK na orbitę, planowany jest na 2034 r.

Na pokładzie satelitów z tej rodziny znajdą się m.in.: systemy awioniczne i komputery pokładowe; źródła zasilania; zaawansowane systemy komunikacyjne; eksperymentalne ładunki badawcze. Rozwój kolejnych generacji (SPARK 2 i SPARK 3) umożliwi operacje


Satelita SPARK

eprasa.pl 3eb4cd8e4c


Rakieta Bursztyn

w bliskim kontakcie satelitów, manewrowanie nimi oraz pozyskiwanie danych wykorzystywanych do trenowania algorytmów sztucznej inteligencji. – To wejście w nowy segment rynku kosmicznego o ogromnym potencjale wzrostu i komercjalizacji – podkreśla **dr hab. inż. Cezary Szczepański**.

Technologie kosmiczne jako laboratorium przyszłości

Program Łukasiewicza obejmuje rozwój szerokiego spektrum technologii, które wykraczają poza klasyczne zastosowania kosmiczne. To m.in. optyczne systemy transmisji między satelitami, odbiorniki odporne na zakłócenia czy system detekcji i identyfikację obiektów. Fundusze zostaną też przeznaczone na nową infrastrukturę badawczą, odpowiadającą na potrzeby przedsiębiorców branży kosmicznej, z którymi współpracuje Łukasiewicz.

> Mamy historyczną szansę stać się europejskim liderem w technologiach przemysłu kosmicznego.

Dr inż. Adam Okniński, koordynator Programu Badań Kosmicznych w Sieci i wieloletni ekspert Państwowej Akademii Nauk, wskazuje szanse dla rozwoju technologii kwantowych, big data czy sztucznej inteligencji: – W ciągu ostatniej dekady polski sektor kosmiczny wypracował istotne kompetencje, pojawiły się nisze specjalizacji i potrzeb. Niezbędna będzie jeszcze bliższa współpraca z administracją publiczną i krajowymi partnerami przemysłowymi.

Dodatkowy zwrot inwestycji spodziewany jest z racji osiągnięcia autonomii i bezpieczeństwa w kosmosie – zapowiada **dr Okniński**. Zakres programu jest zgodny zarówno z krajowymi priorytetami badań i rozwoju, w szczególności związanymi z obronnością kraju, jak i z wizją UE, zwłaszcza Europejskiej Agencji Kosmicznej.

Kosmos jako inwestycja o wysokiej stopie zwrotu

Program może stać się istotnym impulsem do rozwoju polskiej gospodarki, szczególnie w obszarach wysokich technologii i innowacji. Wzmocnienie krajowych kompetencji w sektorze kosmicznym przełoży się na rozwój wyspecjalizowanych przedsiębiorstw, zwiększenie udziału polskich firm w międzynarodowych projektach oraz tworzenie nowych miejsc pracy wymagających zaawansowanych kwalifikacji. Dodatkowo technologie rozwijane w ramach programu znajdą zastosowanie również poza sektorem kosmicznym, m.in. w telekomunikacji, analizie danych czy systemach bezpieczeństwa, co przyczyni się do szerszego transferu wiedzy i podniesienia konkurencyjności całej gospodarki.

Znaczenie programu wykracza jednak daleko poza rozwój naukowy i gospodarczy. Technologie kosmiczne odgrywają kluczową rolę w nowoczesnych systemach obronnych, zapewniając przewagę informacyjną i operacyjną.

Polska na trajektorii wzrostu

Program Badań Kosmicznych Sieci Badawczej Łukasiewicz to strategiczna inwestycja, która może zmienić pozycję Polski w europejskim i globalnym układzie technologicznym. Jeśli cele programu zostaną zrealizowane, Polska może się stać jednym z liderów europejskiego sektora kosmicznego – z własnymi rakietami, satelitami i rozwiniętym zapleczem technologicznym.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl 3eb4cd8e4c



Oko w oko Tomasz Jastrun

Inne racje

Antyimigranckie zamieszki w Belfaście przejęły mnie trwogą, palono samochody, z domów wywlekano ludzi o innym kolorze skóry. Powód: ciemnoskóry próbował zamordować białego na ulicy, co nagrano, a film powielono setki tysięcy razy i potoczyła się lawina. Nie mam wątpliwości, że zachodnia Europa przesadziła w gościnności wobec ludzi z odległych kultur. Gościnność – złe słowo, to był też interes, potrzebne są ręce do pracy. Jak widać, konieczny tu był jednak jakiś balans i myślenie o konsekwencjach, gdy wlewa się do narodowego zbiornika fala ludzi z innych kultur. Nasi nacjonaliści zachwyceni tym Belfastem, wołają: proszę, co będzie, jak Tusk wpuści do Polski obcych! Tusk nie zamierza, ale co szkodzi kłamać, wybory za rok. Inna sprawa, że teraz jako wrogów mamy Ukraińców. Do tej pory było zadowolenie, że to nie kolorowi, tylko sąsiedzi nawiedzili tak licznie Polskę. I ciężko u nas dla nas pracują. Teraz rozniecane są wątpliwości. Budowanie niechęci do Ukraińców przez prawicę, szczucie na nich ma być paliwem wyborczym. Gra na najniższych instynktach. A Ukraińcy giną na wojnie, której nie przegrywają, co jest niezwykłe. Musimy stać murem za Ukrainą, to jest nasza racja stanu. Prezes i Konfederacja mają inne racje.

•

W poprzednim felietonie pisałem o „zabytkowym" wielkim sumie, którego złowił podły Ukrainiec w gocławskim jeziorku i go zamordował, za co wydalono go z Polski (czy nie za łatwo, na pokaz rządzący wydalają?). Było powszechne oburzenie, a tu okazuje się, że sum przeżył. I już sobie pływa na powrót w jeziorku. Przeżyły też, i mają się coraz lepiej, nastroje antyukraińskie. Czasami sobie myślę, że nieszczęściem naszej cywilizacji jest to, że idioci zaczęli myśleć i te swoje przemyślenia upubliczniać z równą mocą, jak czynią to ludzie, którzy zajmują się zawodowo lub z powołania myśleniem. Najbardziej narażeni są młodzi, źródła informacji młodych są w sieci i są zatrute. Gdy przegląda się komentarze w internecie, widać jak na dłoni, że za przykładem Brauna dziesiątki tysięcy Polaków nie wierzą w komory gazowe i popierają brunatnego świra w jego faszyzujących bajdurzeniach.

•

Czytam po latach dzienniki Mariana Brandysa. To też pisarz zapomniany, autor świetnych esejów historycznych, jak choćby wielotomowego „Końca świata szwoleżerów". Miał brata Kazimierza, słynnego prozaika, jego też już przysypał piasek zapomnienia. Marian Brandys był niezwykle podobny fizycznie do mojego ojca, zawsze serdeczny i życzliwy mojemu pisaniu. Świetne są też jego dzienniki z lat 70. W roku 1972 znajduję zacytowane przez niego bardzo zabawne zdanie dziewczyny namawianej przez matkę, by została pisarką: „Co to za zawód literat – tylko się czeka na pochwały". Zamiast „literat" można by śmiało wstawić „artysta".

•

Wojtek Badowski jest w Wiedniu, przesyła mi fotografię plakatu, na nim obraz Erny Rosenstein, informacja o jej wystawie, która będzie w słynnym wiedeńskim Belwederze. Poruszyło mnie to. Wojtek jest synem dozorcy domu pisarzy na Iwickiej, gdzie mieszkaliśmy. Dozorca był prostym człowiekiem, by nie powiedzieć prymitywnym, z chłopów pańszczyźnianych, a jego syn, chemik, mieszkający w Niemczech, na emeryturze zwiedza muzea Europy. Powiedział mi kiedyś: mam świadomość awansu społecznego. To jest lawinowy postęp kulturowy w nowych pokoleniach. Jego córka, wnuczka dozorcy, jest teraz ważnym bankierem w Niemczech. Badowscy mieli jeszcze córkę Hankę, gnieździli się we czwórkę w jednym pokoiku, drzwi w drzwi z mieszkaniem Artura Sandauera i jego żony, malarki Erny Rosenstein. Niezwykła jest jej artystyczna kariera. A to przecież Sandauer był słynnym krytykiem, Erna malowała w jego cieniu. W dzieciństwie sporo czasu spędzałem w ich mieszkaniu, pamiętam zapach farb i to, jak szpetny kundel Wrona, mała, czarna, pokraczna suka, wyskakiwał nagle jak diabeł z pudełka, ujadając na gościa. A szafę Erna pomalowała w swoje esy-floresy, bo była byle jaka. Ową szafę zobaczyłem po latach w Królikarni już jako dzieło sztuki. Przyjaźniłem się od małego z ich synem Adamem.

Budowanie niechęci do Ukraińców przez prawicę, szczucie na nich ma być paliwem wyborczym.

Byłem potem z Erną w bliskich stosunkach, ładna, miła, gdy jej mąż, chociaż genialny, był dziwolągiem, trochę krokodylem, a trochę żyrafą. Bardzo by się zdziwił, że został teraz zapomniany, a jego żona robi światową karierę, pokazywano jej obrazy też w Nowym Jorku. Mam jej dwie prace. Będąc kiedyś z wizytą, wykrzyknąłem: jakie piękne! Instalacja i rysunek wisiały na ścianie. Zdjęła je i mi podarowała. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

POLITYKA STRACHU

Wiele szkód, które robi Trump 2.0, jeszcze przez wiele lat będzie się kładło cieniem na świecie

Grzegorz W. Kołodko

Europejscy członkowie NATO powinni nie tylko zdecydowanie potępiać Rosję za jej napaść na Ukrainę, lecz także dystansować się od szaleństw USA pod prezydenturą Trumpa. Co ciekawe, niektórzy obserwatorzy zauważają jakby prawidłowość, że krytycyzm względem USA rośnie wprost proporcjonalnie do odległości od granicy z Rosją. No ale ani Władimir Putin, ani Donald Trump to nie geografia, która się nie zmienia. To historia, która przemija. Dlatego też politykę – w tym tę odnoszącą się do bezpieczeństwa – trzeba prowadzić, mając na uwadze upływ czasu. Wiele szkód, które robi Trump 2.0, będzie kładło się na świecie, w tym w Polsce, długim cieniem jeszcze przez wiele lat, kiedy to w Białym Domu po nim zostanie już tylko swąd, ale nie można bieżącej polityki podporządkowywać jego choremu widzimisię.

Dyplomatyczny chłód zamiast militarnej gorączki

Z Putinem i Trumpem albo i bez nich militarna gorączka trwa. Najwyższy czas zastąpić ją dyplomatycznym chłodem, jak proponuje to premier Belgii Bart De Wever. USA potrafią rozmawiać z Iranem, Syria z Turcją, Izrael z Libanem, Kongo z Rwandą, Indie z Pakistanem, a Unia Europejska nie potrafi rozmawiać z sąsiednią Rosją? Czy zaiste oczekiwanie czegoś podobnego także od polskich przywódców jest mrzonką? Nawet jeśli ktoś uważa, że jakiekolwiek rozmowy ze zbrodniarzem wojennym Putinem nie mają sensu, bo jego nieustępliwość wobec Ukrainy i wojenne inklinacje są nieprzezwyciężalne, to na Kremlu są jeszcze politycy, którzy nie utracili poczucia przyzwoitości. Nadejdzie przecież czas, kiedy z Rosją znowu będziemy rozmawiać, więc warto skracać okres oczekiwania na ten moment i już zawczasu wypatrywać interlokutorów oraz się z nimi kontaktować.

Radosław Sikorski, kiedy po raz pierwszy był ministrem spraw zagranicznych w rządzie premiera Donalda Tuska w latach 2007-2014, chociaż było to trudne, potrafił rozmawiać z Moskwą, spotykając się niejednokrotnie z Siergiejem Ławrowem, ministrem spraw zagranicznych Rosji, podobnie zresztą jak jego pryncypał, który kilka razy spotykał się z Władimirem Putinem, w latach 2008-2012 będącego premierem (prezydentem w tym czasie był Dmitrij Miedwiediew). Teraz natomiast powiada, że jedyny język, jaki rozumieją na Kremlu, to język siły, jak to ostro sformułował podczas szeroko komentowanego wystąpienia na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa ONZ w dniu 24 lutego 2025 r., w trzecią rocznicę rosyjskiej agresji na Ukrainę. Fakt, że ta napaść wiele zmieniła, ale czy zaiste dyplomację może zastąpić język siły? Na czym ma on polegać? Właśnie na tym, że my, zbrojąc się coraz bardziej, wystraszymy Rosję i ona spotulnieje?

No bo teraz ponoć, jak tylko upora się z Ukrainą, szykuje się do agresji na nas? A czegóż to ona tu będzie szukać? Jakież to cenne minerały mamy, których jej brakuje, chociaż pod swoim największym terytorium na świecie ma całą tablicę Mendelejewa, w tym obfite złoża złota i surowców energetycznych, jak również zasoby metali ziem rzadkich, szczególnie pożądanych w obecnej fazie rewolucji technologicznej? Jakież to wysokie technologie my mamy, a oni nie? A może potrzebują naszego Krakowskiego Przedmieścia, bo nie starcza im najpiękniejsza ulica świata, petersburski Newski Prospekt? A może Peterhof, dawny carski zespół pałacowo-parkowy ze wspaniałymi fontannami to za mało i znowu chcieliby mieć onegdajszy Pałac Namiestnikowski z wodotryskami w ogródku na jego zapleczu?

UE nie potrafi rozmawiać z Rosją? Czy oczekiwanie czegoś podobnego także od polskich przywódców jest mrzonką?

Naprawdę, choć to bardzo trudne w zaistniałej sytuacji, trzeba rozmawiać. Po to właśnie jest dyplomacja. Język siły godny jest imperialistów i militarystów, ale nam nie przystoi. Nam właściwy musi być język przyzwoitości i argumentów.

Teoria szaleńca

Język siły to język Trumpa 2.0, w którego chaotycznych wypowiedziach coraz częściej można dopatrzeć się nie tylko akcentów nacjonalistycznych, populistycznych i imperialistycznych, lecz nawet rasistowskich, autokratycznych czy wręcz faszystowskich. Zupełnie oszalał czy tylko ucieka się do teorii szaleńca? W języku politologii i dyplomacji można napotkać takie określenie, które pojawiło się po raz pierwszy pół millenium temu, kiedy to w 1517 r. Niccolò Machiavelli w „Księciu" napisał, że „bardzo

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

mądrze jest symulować szaleństwo". Wcale nie mądrze, ale bywa, że skutecznie. Adresaci czyichś skrajnych pogróżek mogą je uważać za szalone, ale nie mogą ich zlekceważyć. Na tym przecież polega istota szaleństwa, że szaleniec może postąpić zgodnie ze swoimi szalonymi zapowiedziami. Ale może też zachować się wbrew nim. W przypadku Trumpa takie wpierw stwierdzenia, a potem zaprzeczenia niektórzy określają jako mgłę informacyjną. Trzeba uważać, bo we mgle łatwiej można się zgubić.

W praktyce niekiedy trzeba też ustąpić, aby nie testować realności zachowań, którymi się grozi, bo koszty ich ziszczenia byłyby katastrofalne. Tak jest w sytuacji, gdy grozi się ewentualnością użycia broni atomowej, co czynił w czasie wojny wietnamskiej prezydent Richard Nixon, próbując w ten sposób zmusić Vietcong do uległości. Tak było nieco bliżej teraźniejszości, kiedy to Trump 1.0 licytował się z północnokoreańskim dyktatorem Kim Dzong Unem, który z nich ma na swoim biurku większy czerwony guzik.

W sondażu opinii publicznej przeprowadzonym przez portal Politico.eu w pięciu najludniejszych krajach Unii Europejskiej oraz w Belgii w połowie marca 2026 r., a więc już po zaatakowaniu Iranu przez USA, ponad połowa respondentów w Hiszpanii uznała USA za zagrożenie dla Europy, podczas gdy zaledwie 13% uznało je za wiarygodnego partnera. W przypadku Włoch odsetki te wynosiły odpowiednio 46% i 22%, w Belgii 42% i 20%, we Francji 37% i 20%, w Niemczech 30% i 26%, a jedynie w Polsce wciąż ufamy naszemu nowemu wielkiemu bratu. Tylko co ósmy z nas, 13%, uważa USA za zagrożenie, podczas gdy co trzeci, 33%, traktuje je wciąż jako godne zaufania. Stany Zjednoczone są w Hiszpanii, Włoszech, Belgii i Niemczech postrzegane są jako większe zagrożenie niż Chiny. Cóż, zawsze musimy być wyjątkowi…

Teoria szaleńca sprowadza się do tego, że pozornie niewiarygodne groźby stają się wiarygodne. Dlatego sięgał do nich prezydent Putin, gdy ogłaszał publicznie, że rosyjskie władze w określonych przez siebie okolicznościach mogłyby rozważać użycie broni nuklearnej. Zgodnie z nową rosyjską doktryną podjętą w listopadzie 2024 r. „Odstraszanie nuklearne ma na celu zapewnienie, że potencjalny przeciwnik zdaje sobie sprawę z nieuchronności odwetu w przypadku agresji na Federację Rosyjską i (lub) jej sojuszników". Co więcej i co niezwykle ważne, atak „przez jakiekolwiek państwo nieposiadające broni jądrowej z udziałem lub wsparciem państwa nuklearnego jest uważany za ich wspólny atak". Taka doktryna, nawet jeśli uzna się ją za szaleńczą, nie może nie być brana pod uwagę.

Zbrojeniowe marnotrawstwo czy pomoc humanitarna?

Szalejąc z gigantycznym rozrostem budżetu wojskowego, USA mocno okroiły budżet pomocy zagranicznej, w tym drastycznie zredukowały pomoc humanitarną, co spowoduje śmierć setek tysięcy ludzi cierpiących z powodu rozmaitych nieszczęść, zwłaszcza w krajach najbiedniejszych. Niestety, asystę humanitarną ograniczają również inne państwa, w tym Polska, tak dumna z powodu awansowania na 20. miejsce w światowym rankingu największych gospodarek świata. To wstyd, że w zeszłym roku uplasowaliśmy się dopiero na 28. miejscu pod względem zagranicznej pomocy okazywanej biednym tego ziemskiego padołu. Jeszcze większy wstyd jest gdzie indziej. Największe bogate kraje – Stany Zjednoczone, Japonia, Niemcy, Wielka Brytania i Francja – odpowiadają za 95,7% całkowitego spadku oficjalnej pomocy rozwojowej (*official development assistance, ODA*). Stany Zjednoczone przyczyniły się do tego w trzech czwartych, ich pomoc bowiem w następstwie decyzji administracji prezydenta Trumpa skurczyła się aż o 56,9% w porównaniu z rokiem 2024. To największa redukcja wolumenu ODA w historii. W rezultacie pomoc płynąca z bogatych państw należących do OECD spadła w 2025 r. aż o 23,1% w porównaniu z rokiem poprzednim.

O ile jesteśmy tacy gorliwi w realizacji ze znaczną nawiązką i bardzo szybko wytycznej NATO z ubiegłego roku sugerującej zwiększenie budżetów stricte wojskowych do 3,5% PKB do roku 2035, o tyle wcale nie przejmujemy się dużo wcześniejszą, uchwaloną przez Zgromadzenie Ogólne ONZ w październiku 1970 r. dyrektywą, aby na pomoc zagraniczną przeznaczać niewygórowane 0,7% dochodu narodowego (w tym przypadku mierzonego nie kategorią PKB, lecz DNB, który w przypadku Polski jest o ok. 4% mniejszy od PKB – różnica bierze się głównie z zysków firm zagranicznych działających w Polsce, które są transferowane do ich macierzystych krajów). W 2025 r. pod względem ODA zaledwie cztery małe państwa – w kolejności Norwegia, Luksemburg, Szwecja i Dania (wszystkie są członkami NATO) transferowały więcej niż wymagane 0,7% DNB (odpowiednio 1,03%, 0,99%, 0,85% i 0,72%), Polska natomiast z mizernym wskaźnikiem 0,16% lokowała się poniżej średniej OECD wynoszącej 0,26%. Dodam, że zwiększenie tego wskaźnika o każde drugie miejsce po przecinku kosztowałoby każdego z nas, mieszkańców Polski, sto kilka złotych rocznie. Czy tysiąc złotych rocznie, aby podnieść ten wskaźnik przynajmniej do ćwierci procenta DNB, co mogłoby pomóc w uratowaniu wielu istnień ludzkich, to tak dużo?



Fragment książki Grzegorza W. Kołodki *Niebezpieczne bezpieczeństwo*, Polskie Wydawnictwo Ekonomiczne, Warszawa 2026

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

CHAOS W POLSKIEJ DIAGNOSTYCE GENETYCZNEJ

Badania genetyczne dają duże możliwości diagnostyczne, a nawet ratują życie

Rozmawia Beata Igielska

Ostatnio z kilkoma profesorami genetykami bywa pani w Ministerstwie Zdrowia i innych centralnych jednostkach. O co walczycie?

– O poprawę sytuacji genetyki klinicznej i medycznej, by była bardziej dostępna dla pacjentów z chorobami rzadkimi lub z nowotworami, bo ciągle napotykają różne ograniczenia. Z ust niektórych decydentów, na szczęście nie w Ministerstwie Zdrowia, padają co jakiś czas stwierdzenia, że należy robić badania genetyczne tylko u pacjentów chorujących na choroby, które dają się wyleczyć. Bo te badania są drogie, a przecież i tak nikt nie gwarantuje terapii. To jest krzywdzące dla pacjentów genetycznych. Wprawdzie w przypadku większości chorób rzadkich w tej chwili nie ma jeszcze leczenia, zwłaszcza przyczynowego, ale ustalenie podłoża molekularnego choroby jest potrzebne, bo to leczenie w każdej chwili może się pojawić. Poza tym mamy leczenie objawowe, a lepiej leczy się różne zaburzenia u chorego, jeśli wiadomo, jaka jest podstawowa przyczyna choroby. Wynik badania jest także niezbędny, by można było udzielić rodzinie porady genetycznej, informacji o ryzyku powtórzenia się choroby itp. Polskie Towarzystwo Genetyki Człowieka (PTGC) protestuje przeciw ograniczaniu badań genetycznych w chorobach rzadkich do chorób, dla których mamy profilaktykę lub leczenie.

W Polsce nie jest najlepiej z dostępem do badań genetycznych.



Prof. OLGA HAUS
– lekarz, specjalista genetyki klinicznej, internista oraz specjalista laboratoryjnej genetyki medycznej

– To prawda, jest dużo genetycznych laboratoriów diagnostycznych, niektóre bardzo dobre, ale w stosunku do szybkiego wzrostu zapotrzebowania na diagnostykę genetyczną kadra specjalistów wykonujących badania jest za mała. Aktualnie są dwie specjalizacje w diagnostyce genetycznej: laboratoryjna genetyka medyczna (LGM), dostępna tylko dla diagnostów laboratoryjnych, oraz nowa specjalizacja – medyczna genetyka molekularna (MGM), dostępna dla biotechnologów, biologów, genetyków i biomedyków. Problem w tym, że niewielu absolwentów analityki medycznej chce się zająć badaniami genetycznymi, które potrafią być długie, żmudne i wymagające. Z kolei analitycy nie chcą dopuszczać do uzyskania tytułu zawodowego diagnosty laboratoryjnego biotechnologów, którzy bardzo dobrze się nadają do pracy w genetyce. Analitycy blokują zapis w Ustawie o medycynie laboratoryjnej z 2022 r. zobowiązujący uczelnie do kontynuowania systematycznego organizowania dwuletnich studiów podyplomowych z analityki medycznej. Uczelnie państwowe nie chcą konfliktu i nie organizują tych studiów. Zyskuje na tym jedyna uczelnia w Polsce, która odważyła się sprzeciwić lobby analitycznemu. Niestety, prywatna i pobierająca za studia olbrzymie opłaty. A diagnostów laboratoryjnych ciągle w genetyce brakuje…

Do poradni genetycznych są długie kolejki, w niektórych przypadkach trzeba czekać nawet pięć lat. Pełnych etatów genetyków klinicznych w całym kraju jest ok. 140, a genetyków klinicznych czynnych zawodowo ok. 180. Z powodu niskiej wyceny porad genetycznych, braku w koszyku świadczeń gwarantowanych nowoczesnych, wielogenowych badań genetycznych (panele celowane

Prof. Olga Haus – przewodnicząca Polskiego Towarzystwa Genetyki Człowieka, pracuje na Wydziale Lekarskim Collegium Medicum w Bydgoszczy (Uniwersytet im. Mikołaja Kopernika w Toruniu), gdzie w 1997 r. zorganizowała od podstaw Katedrę i Zakład Genetyki Klinicznej.

eprasa.pl 3eb4cd8e4c



rozsyłamy próbek materiału biologicznego do laboratoriów w celu obiektywnego sprawdzenia rzetelności wykonywanych badań, bo nie mamy na to pieniędzy. To wymaga organizacji, logistyki, a nie ma nikogo, kto by tym się zajął. Powinna istnieć centralna jednostka, która kontrolowałaby co jakiś czas laboratoria. Między innymi o tym mówiliśmy w ministerstwie. Ponadto ciągle nie mamy ustawy o badaniach genetycznych lub ustawy o genetyce medycznej, które ustalałyby zasady takiej kontroli. Obecny projekt niecałkowicie spełnia kryteria i powinien być poddany ocenie oraz uzupełnieniu przez PTGC, które skupia i integruje środowisko genetyków – zarówno laboratoryjnych, jak i klinicznych. W ministerstwie projekt właśnie jest dopracowywany.

NGS i sekwencjonowanie całego eksomu, czyli części kodującej genomu – WES) oraz trudnej ścieżki specjalizacyjnej młodzi lekarze nie decydują się na wybranie tej specjalności. Od lat rozmawiamy z przedstawicielami ministerstwa, żeby ta specjalizacja stała się dziedziną priorytetową, a praca w poradni genetycznej była właściwie wyceniana, by stanowiło to jakąś zachętę.

Tymczasem badania genetyczne dla wielu pacjentów z chorobami rzadkimi stają się końcem odysei diagnostycznej.

– I dlatego powinny być dostępne dla wszystkich pacjentów, którzy diagnostyki genetycznej potrzebują, bo przecież chorób rzadkich jest mnóstwo, w 80% o podłożu genetycznym. Każda choroba rzadka jest rzadka, ale łącznie są one częste, choruje na nie w Polsce kilka milionów osób. Jednym z ważnych elementów diagnozy genetycznej u dziecka jest ocena występowania u rodziców znalezionej u niego zmiany genetycznej. Istotne jest, czy to mutacja de novo – zupełnie nowa zmiana w rodzinie, czy została odziedziczona po którymś z rodziców, a jeśli tak, to po którym. Tymczasem ostatnio wyszło zarządzenie wskazujące na to, że rodzice dziecka leczonego w dziecięcej poradni genetycznej będą trafiać – jako zupełnie nowi pacjenci – na koniec kolejki do poradni genetycznej, w której trzeba czekać np. trzy lata. Badanie rodziców jest potrzebne od razu, żeby można było u dziecka postawić pewną diagnozę i jeśli jest terapia, zacząć chorobę leczyć.

Pełnych etatów genetyków klinicznych w całym kraju jest ok. 140, genetyków klinicznych czynnych zawodowo mamy ok. 180.

PTGC wydaje laboratoriom certyfikaty. Raczej nie warto korzystać z usług wszystkich jednostek, a jest ich w Polsce sporo.

– Zdecydowanie rekomenduję laboratoria, które mają certyfikat PTGC. Niestety, nie wszystkie spełniają kryteria dobrej praktyki laboratoryjnej. Dlatego od 2011 r. wprowadziliśmy certyfikację przez PTGC. Udział laboratorium w procesie certyfikacji jest dobrowolny, więc nie wszystkie mu się poddają. Ale już znaczna część szpitali bierze nasze certyfikaty pod uwagę przy konkursach. Wydajemy je na podstawie formularzy wypełnianych przez laboratoria, które przesyłają nam wyniki swoich badań diagnostycznych. Oceniamy, czy badania są właściwie wykonywane, czy wynik jest adekwatny, właściwie wypisany, zinterpretowany itd. Ale nie

Tyle że dopracowywanie trwa od dwudziestu kilku lat, niezależnie od tego, kto aktualnie rządzi. W związku z tym panuje wolna amerykanka.

– To prawda. Wiele laboratoriów wykonuje badania nie według zasad. Robią u siebie tylko niewielkie fragmenty pracy laboratoryjnej albo wysyłają materiał za granicę, żeby ją zrobiono, a u siebie ewentualnie przeprowadzają analizę bioinformatyczną i interpretują wyniki. Istnieje co prawda zakaz wysyłania materiału genetycznego poza Europę, ale nie jest on przestrzegany przez laboratoria, które nie podlegają żadnej certyfikacji ani kontroli. Panuje w tym wielki chaos. Brak regulacji sprawia, że laboratorium może sobie założyć każdy, byle miał otwartą działalność gospodarczą i zatrudnił specjalistę laboratoryjnej genetyki medycznej jako kierownika.

A jak jest na świecie?

– We Francji np. nie można legalnie wykonać na własne życzenie badań genetycznych. Zgodnie z francuskim prawem bioetycznym testy DNA są dozwolone wyłącznie w celach medycznych, naukowych lub sądowych, a ich wykonanie

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

wymaga zlecenia (recepty) od lekarza. Dotyczy to również testów na ojcostwo. W Polsce można sprawdzić, jaką dietę powinno się stosować, czy jest się uzdolnionym do sportu itd. To nie jest takie złe, jeśli badania są robione rzetelnie. Każdy może chcieć się dowiedzieć, co ma w genach. Ale kto pacjentowi udzieli porady, jeżeli przypadkowo zostanie znaleziona jakaś mutacja patogenna o znaczeniu medycznym? Przecież te laboratoria nie dysponują poradniami genetycznymi, nie mają kontraktu z genetykami klinicznymi. Najbardziej niebezpieczny jest brak ustawy. Dopóki się jej nie wprowadzi, nadal będzie wolna amerykanka.

Tymczasem współczesna genetyka jest szansą na medycynę spersonalizowaną, czyli szycie garnituru lekowego dla konkretnego pacjenta, terapie celowane, genowe, farmakogenomikę...

– Współczesna genetyka daje pacjentowi bardzo duże szanse, bo teoretycznie dla każdego można uszyć lek na miarę, jeżeli zidentyfikuje się cel molekularny, np. mutację genową, i jeśli skonstruowano już lek optymalny dla danego pacjenta. Takie postępowanie powinno być w wielu chorobach rzadkich, a ciągle jest stosowane w zbyt ograniczonym stopniu. A przecież są techniki molekularne, które pozwalają na takie dopasowywanie lekarstwa do defektu molekularnego, jak klucz pasuje do zamka.

W hematoonkologii wiele leków celowanych już się stosuje w rutynowym leczeniu lub programach lekowych, bardzo wiele jest w fazie badań klinicznych. Celowane leczenie w hematoonkologii dostępne jest od końca ubiegłego wieku. Pierwszą chorobą, w której je zastosowano, była przewlekła białaczka szpikowa. Dopasowane inhibitory kinazy tyrozynowej przedłużają ludziom życie o co najmniej kilkanaście lat, a niektórych mogą całkowicie wyleczyć. A jeszcze w latach 80. chory na tę chorobę przeżywał maksymalnie od trzech do pięciu lat.

Zdecydowanym utrudnieniem diagnostyki genetycznej w hematoonkologii i onkologii jest konieczność hospitalizacji chorego, aby można było rozliczyć diagnostyczne badania genetyczne. Badania te można przecież wykonać jako świadczenia odrębnie kontraktowane (tzw. SOK), z poziomu ambulatorium, bez utrudniania życia chorym i lekarzom i zabierania im cennego czasu. Wystarczy mała zmiana w zasadach zlecania badań i umożliwienie ich sumowania na poziomie poradni, czyli możliwość jednoczesnego zlecania kilku badań niezbędnych do postawienia diagnozy.

A jak jest w leczeniu guzów litych?

– Postęp podobny jak w hematoonkologii zaczął się 10-15 lat temu. Co prawda, zidentyfikowanych mutacji nie jest tak dużo, ale mają konkretne znaczenie predykcyjne, czyli przepowiadają skuteczność leku. Terapie celowane zrewolucjonizowały leczenie m.in. raka piersi i jajnika i znacznie poprawiły czas przeżycia w raku płuca.

Oprócz terapii celowanych są terapie genowe.

– W onkologii i hematoonkologii terapia genowa nie przyniosła dotychczas tak spektakularnych efektów, jak oczekiwano. Ale od kilku lat coś zaczyna się dziać.

Jednak dzieci chorujące na rdzeniowy zanik mięśni (SMA) są stawiane na nogi.

– Jeśli chodzi o SMA, to Polska jest na jednym z pierwszych miejsc w Europie pod względem rozwoju noworodkowej diagnostyki przesiewowej. U dzieci zdiagnozowanych w tych badaniach jak najszybciej włącza się leczenie celowane. Jeżeli noworodkowe sito nie wyłapie wszystkich chorych, to po rozpoznaniu w późniejszym wieku i tak u każdego pacjenta włącza się leczenie taką lub inną metodą genetyczną, dobieraną w zależności od wieku. Wszyscy zdiagnozowani pacjenci z SMA są więc leczeni, mają dostęp do skutecznej terapii. Im wcześniej się ją zacznie, tym większe szanse powodzenia.

Od kilku lat obserwujemy renesans terapii genowej dzięki zastosowaniu rewolucyjnej technologii edycji genów CRISPR-Cas9 – wycinania fragmentów genów, które są zmutowane, i wstawiania w ich miejsce prawidłowych albo wyciszania tych nieprawidłowych. Za opracowanie tej technologii dwie badaczki, dr Emmanuelle Charpentier i dr Jennifer Doudna, otrzymały w 2020 r. Nagrodę Nobla. Technika ta daje szansę na wyleczenie wielu chorób spowodowanych mutacjami pojedynczych genów lub innymi zaburzeniami bardzo niewielkich fragmentów genomu.

Co nam daje farmakogenomika?

– Pozwala na ocenę, które leki będą skuteczne u danej osoby, jakiej wielkości dawki należy stosować, jakie objawy uboczne mogą wystąpić itp., w zależności od unikatowych cech genomu danego organizmu. Dostarcza wiedzy, czy dane leki są metabolizowane szybciej przez organizm, a tym samym są mniej skuteczne, gdy są to aktywne ich postaci, czy bardziej, gdy są to proleki. Gdyby takie badania robiono każdemu z nas, byłoby wiadomo, czym można nas leczyć, a czym nie. Wiadomo byłoby, że dany lek nie poskutkuje, bo np. jest szybko rozkładany w organizmie, ale inny lek będzie skuteczny, bo jest wolno rozkładany, więc ma dłuższy czas działania. Może chodzić o lek specyficzny dla danej zmiany genetycznej albo o lek powszechnie stosowany, przeciwbólowy lub antybiotyk – czy u danego człowieka zadziała, czy nie albo czy wywoła niepożądane skutki.

Bywa, że pacjenci płacą grube pieniądze za bardzo szczegółowe oceny, z których nic nie wynika dla leczenia atakującego ich nowotworu.

Leczenie celowane oczywiście też podlega pod farmakogenomikę. Według niektórych uczonych i lekarzy od razu po urodzeniu każdy człowiek powinien mieć zbadany cały genom. Może kiedyś tego doczekamy – byle nie było to wykorzystywane do złych celów. Nosilibyśmy przy sobie paszport z określeniem, które leki na nas działają, a których nie należy stosować.

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

Czy w przypadku podejrzenia nowotworu dostęp do diagnostyki genetycznej jest szybki?

– W hematoonkologii jest szybki. Jeżeli jest coś podejrzanego w obrazie krwi, pacjent powinien być skierowany od razu do ośrodka hematologicznego i wtedy nie czeka na badania genetyczne, które są podstawowym elementem w diagnostyce nowotworów układu krwiotwórczego. W onkologii też powinno tak być, ale nie obejmuje to niestety wszystkich ośrodków leczących choroby nowotworowe.

Często wygląda to tak: lekarz pisze prośbę o użyczenie bloczka z preparatem (standardowa procedura wypożyczania materiału tkankowego w celu np. konsultacji – przyp. red.). Wynik jedzie do lekarza, bloczek później do zakładu patomorfologii, a czas upływa... Niekiedy materiał genetyczny stoi na parapecie i zaczyna gnić. A czasem pobrana jest zbyt mała jego ilość i trudno na podstawie próbki wykonać badanie.

– Niestety, czasem w onkologii szwankuje logistyka. Poza tym jest mnóstwo małych laboratoriów, które wykonują badania genetyczne. To powinno być scalone lub skoordynowane. W większości laboratoria wykonujące badania nabytych, powstałych w ciągu życia zmian genetycznych w nowotworach nie zgłaszają się do PTGC, które przeprowadza certyfikację. A nawet jeśli się zgłaszają, to przysyłają nam wyselekcjonowane wyniki, a nie takie, jakie na co dzień wydają. Widzimy tylko papier, nie widzimy, jak laboratorium robi badanie. W ocenie genetycznej nowotworów litych niezbędna jest certyfikacja. Chodzi o rzetelną kontrolę, aby laboratoria, które nie wykonują codziennie analiz genetycznych, rzeczywiście zaczęły robić te badania na większą skalę, bo wtedy nabywa się doświadczenia, a nie zamawiać je nie wiadomo gdzie. Słabe laboratoria – jeśli nie podporządkują się temu wymogowi – należałoby zamykać. W onkologii nie można sobie pozwolić na wydawanie fałszywie dodatniego czy fałszywie ujemnego wyniku badania genetycznego, bo decyduje on o zdrowiu i życiu pacjenta, o tym, jakim lekiem będzie leczony.

Znaczna część laboratoriów, które wykonują badania dla ośrodków onkologicznych, robi to rzetelnie i ma rozpracowaną logistykę. W innych, jak pani mówiła, wycinek wędruje albo interpretacja wyniku badania jest nie taka, jak być powinna. Wszystko zależy od człowieka, od jego umiejętności i rzetelności w pracy.

Czasem pacjenci wydają ogromne pieniądze na kwitek, który nie ma znaczenia.

– To jest zupełnie bezsensowne, powinien być jeden jasny wynik, że stwierdzono określoną rearanżację lub mutację i nowotwór będzie reagował na dane leczenie celowane. To jest najważniejsze. W raku płuca jest kilka mutacji genowych, w raku jelita grubego tak samo i powinny być badane tylko one, a nie komercyjnie cały genom. Bywa, że pacjenci płacą grube pieniądze za bardzo szczegółowe oceny, z których nic nie wynika dla leczenia atakującego ich nowotworu.

Polscy onkolodzy i genetycy onkologiczni walczą obecnie o wprowadzenie kompleksowego profilowania genomowego, które daje wgląd w całokształt nieprawidłowych procesów genetycznych zachodzących w nowotworze, w tym mutacji, niestabilności materiału genetycznego, zaburzeń naprawy DNA i innych. Refundacja tego badania pozwoliłaby na leczenie celowane u bardzo wielu chorych z rakiem jajnika, płuca, mięsakami lub nowotworami o nieznanym punkcie wyjścia.

Na koniec powiew optymizmu: James D. Watson, noblista, odkrywca struktury DNA, jako jeden z pierwszych miał zsekwencjonowany genom. Okazało się, że ma gen podatności na chorobę Alzheimera. W wieku ponad 80 lat prowadził seminarium na poziomie intelektualnego Olimpu.

– Tak jest, trzeba odróżnić predyspozycje od rzeczywistej choroby. Czasami mutacja mówi, że już chorujemy na coś albo że wkrótce na pewno zachorujemy. Ale są inne mutacje, które nie powodują bezpośrednio choroby, lecz w sprzyjających warunkach, np. gdy dołączą się w ciągu życia inne zmiany genetyczne albo środowiskowe czynniki wyzwalające, mogą ją spowodować. To są tzw. mutacje predysponujące do danych chorób. Tak może być z chorobą Alzheimera czy nowotworami. W przypadku noblisty predyspozycja była, ale nie oznaczała pewności zachorowania. Nawet gdy jest duże ryzyko późnego zachorowania, tyle jeszcze może się wydarzyć…

Beata Igielska



eprasa.pl 3eb4cd8e4c

Dekada pustki po brexicie

Miał przywrócić Wielkiej Brytanii status potęgi. Nic z tego nie wyszło, ale wciąż ma zwolenników

Mateusz Mazzini

Z dzisiejszej perspektywy tamte wydarzenia są jak opowieści z innego świata. Kiedy nad ranem 23 czerwca 2016 r. Nigel Farage na antenie BBC wyciągnął butelkę szampana i triumfalnie ogłosił, że oto trwa „brytyjski dzień niepodległości", większość obserwatorów światowej polityki i zwykłych wyborców była zdezorientowana. Człowiek z politycznego marginesu, przez dekady walczący o zaistnienie w głównym nurcie, wyszydzany nie tylko przez elity, ale i dużą część konserwatywnego elektoratu, przypisał sobie doprowadzenie do najbardziej przełomowego momentu w najnowszej historii Wielkiej Brytanii.

Mało kto wtedy rozumiał, jak mogło dojść do zwycięstwa obozu zwolenników wyjścia z Unii Europejskiej. Sondaże aż do czwartku 23 czerwca pokazywały kilka punktów procentowych poparcia więcej dla pozostania we Wspólnocie, zresztą większość mediów i zespołów eksperckich uważała brexit za pomysł absurdalny. Tak absurdalny, że niewart nawet poważnej analizy, co okazało się jednym z grzechów głównych liberalnej części opinii publicznej. To nie miało prawa się wydarzyć, a jednak się wydarzyło. I rozpoczęło epokę chaosu.

Gdyby referendum odbyło się w 2026 r., nawet gdyby wynik był taki sam, niewielu pewnie by się dziwiło. Tempo zmian społecznych, technologicznych i gospodarczych ostatniej dekady było tak ogromne, że mogłoby obsłużyć półwiecze, a nie 10 lat. Wtedy strona liberalna próbowała jeszcze walczyć na fakty, nie rozumiała roli emocji jako paliwa dla populizmu i komunikacyjnych dysfunkcji Unii Europejskiej. Po sześciu latach od zakończenia epoki New Labour (Nowej Partii Pracy) Tony'ego Blaira i Gordona Browna, ostatniego wielkiego europejskiego eksperymentu progresywnej polityki, Wielka Brytania trwała w stagnacji.

Właśnie stagnacja, a nie kryzys jest najlepszym słowem do opisania problemów państwa brytyjskiego. Brexit miał ją zakończyć, dać nowy impuls, rozruszać skostniałe, pogrążające się w marazmie instytucje. Dzisiaj, 10 lat później, jest tylko gorzej.

Cool Britannia i utracony blask

Żeby dobrze zrozumieć, gdzie wtedy były Wielka Brytania i jej społeczeństwo, trzeba się cofnąć do epoki Cool Britannia, optymistycznych czasów Trzeciej Drogi – doktryny zaprojektowanej przez socjologa Anthony'ego Giddensa, mającej być nową ideologią środka. Giddens, rektor London School of Economics and Political Science, gigant brytyjskich nauk politycznych, trafnie przeczuwał, że ideologie osiowe XX w. porządkujące i wyjaśniające świat na poziomie masowym, czyli dbająca o robotników socjaldemokracja oraz paternalistyczna, odpowiedzialna, konserwatywna prawica, swój potencjał już wyczerpały. Zaproponował więc hybrydę, liberalną gospodarczo doktrynę, która miała jednocześnie sprawiedliwiej dystrybuować owoce wzrostu gospodarczego w erze ekonomii informacji. Na poziomie anegdotycznym symbolem tamtej polityki był słynny cytat z Petera Mandelsona, wtedy głównego spin doktora Partii Pracy, dzisiaj ostatecznie skompromitowanego lobbysty na rzecz amerykańskiej firmy technologicznej Palantir i przyjaciela Jeffreya Epsteina. Mandelson, później kilkakrotnie obejmujący stanowiska rządowe i zmuszany do odejścia, powiedział dziennikarzom, że laburzyści „nie mają nic przeciwko obrzydliwie bogatym ludziom – tak długo, jak ci płacą swoje podatki".

13 lat rządów Partii Pracy trwale zmieniło właściwie wszystko, co dotyczyło Wielkiej Brytanii. Nowy był wizerunek na arenie międzynarodowej, kraj ponownie stał się atrakcyjny, modny, a naród – pewny siebie. Produkcja kulturowa była równa amerykańskiej, a Londyn, Manchester i Liverpool wypuszczały w świat globalne hity. Britpop, festiwal w Glastonbury, obsesja na punkcie Davida Beckhama i Victorii Adams, najlepsza liga piłkarska na świecie, otwarcie systemu edukacyjnego i topowych uniwersytetów na studentów z Europy kontynentalnej, udzielenie im nisko oprocentowanych pożyczek, zakończenie konfliktu pomiędzy Irlandią a Irlandią Północną, przerzucenie gospodarki z produkcji i pracy fizycznej na branże kreatywne, usługi finansowe i przetwarzanie informacji. Prężny przemysł filmowy, wzrost znaczenia londyńskiego City, skuteczna częściowa prywatyzacja systemu opieki zdrowotnej. A na koniec – to już akurat pod rządami Davida Camerona – igrzyska olimpijskie w 2012 r. w Londynie. Wielki triumf

Stagnacja to słowo najlepiej opisujące problemy państwa brytyjskiego. Brexit miał mu dać nowy impuls, lecz 10 lat później jest tylko gorzej.

eprasa.pl 3eb4cd8e4c



Nigel Farage przypisał sobie doprowadzenie do najbardziej przełomowego wydarzenia w najnowszej historii Wielkiej Brytanii. Bexleyheath w hrabstwie Kent, czerwiec 2016 r.

sportowy, trzecie miejsce w klasyfikacji medalowej, festiwal pozytywnie rozumianego patriotyzmu i doskonała promocja brytyjskiej tożsamości narodowej.

Problem w tym, że te triumfy wizerunkowe przysłoniły masę społecznych i politycznych problemów, które po cichu zaczynały się kumulować w społeczeństwie. Stopniowo rosło rozwarstwienie, młodzi absolwenci uniwersytetów, powstających nadmiarowo i oferujących programy akademickie w coraz bardziej absurdalnych, często niewymagających wyższego wykształcenia obszarach, nie mogli znaleźć satysfakcjonującej ich pracy.

Nie oznacza to, że byli bezrobotni – stopa bezrobocia w Wielkiej Brytanii, jak wynika z danych parlamentarnych, w ostatnich latach podskoczyła tylko raz, w następstwie kryzysu finansowego sprzed dwóch dekad. W 2011 r. doszła do 8% i utrzymała się na takim poziomie przez rok. Nawet w czasie pandemii dzięki elastycznym zasadom zwolnień i bezpłatnym urlopom oraz zawieszeniu obowiązku wykonywania pracy krzywa nie poszła mocno w górę. 4,7% w następstwie największego szoku dla rynku pracy we współczesnej historii – to naprawdę niewiele. Gorzej, że od tamtej pory bezrobocie powoli, ale wciąż rośnie, a rząd nie ma pojęcia, co z tym zrobić.

Wzrost gospodarczy, co pokazują dane Banku Anglii, był raczej iluzoryczny. Załamał się dwa razy – przez kryzys finansowy i pandemię. Wtedy gospodarka mocno się skurczyła. Odbicie było tylko jedno – 8,5% w 2021 r. – ale trzeba to wpisać w szerszy kontekst, bo tak dobry wynik był możliwy głównie dzięki stymulantom rządowym i znacznemu rozszerzeniu wsparcia socjalnego.

Dzisiaj gospodarka brytyjska nie rośnie. Badania przeprowadzone przez Office for National Statistics, tamtejszy GUS, pokazują obraz wręcz tragiczny. Produktywność jest o ponad jedną trzecią (36%) niższa od trendu, który dominował w latach przed kryzysem z 2008 r. Jest też o 18% niższa od obecnych tendencji w USA i najniższa w grupie G7, plasuje Wielką Brytanię tuż obok Włoch. Firma doradcza Ernst & Young obliczyła nawet, że produktywność na Wyspach rośnie czterokrotnie wolniej niż w 2007 r., a w ostatnich latach wręcz spada, dane są ujemne.

To wszystko było widoczne jeszcze w złotej erze laburzystów. Wybuchać politykom w rękach zaczęło w okolicach referendum brexitowego. Nie mówiąc już o rzeczach, których statystyki makroekonomiczne czy socjologiczne nie uwzględniają.

O brexicie często mówi się wyłącznie w kategoriach geopolitycznych. Wyjście z Unii Europejskiej, próba odbudowania globalnej projekcji wpływu, kac po imperium, nowe porozumienia handlowe, utrzymanie specjalnej relacji z USA. Problem w tym, że geopolityka to pojęcie z jednej strony bardzo nieprecyzyjne, a z drugiej – niejako z definicji ignorujące jednostkę w społeczeństwie. Scena polityczna na Wyspach zdawała się tradycyjnie stabilna, ale pod powierzchnią zaczynało wrzeć, bo pękała wspólnota społeczna.

Dokąd ta droga?

Doskonale to opisał David Goodhart, dziennikarz, analityk, założyciel „Prospect Magazine". Autor kluczowej dla zrozumienia tych zjawisk książki „The Road to Somewhere" („Droga dokądś"). Postawił w niej tezę, że społeczeństwa ery zaawansowanej globalizacji i późnego kapitalizmu pękają, dzielą się na dwie części, których skleić już nie sposób. Jedna grupa to ci, którzy nie mają potrzeby trwałej identyfikacji z żadnym miejscem na ziemi – bo wszędzie czują się tak samo dobrze. A jest to możliwe, bo wygrali na globalizacyjnej loterii. Doskonale orientują się w ekonomii informacji, są

Powrót Wielkiej Brytanii do UE odbyłby się na zasadach gorszych niż obowiązujące przed rozwodem.

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

mobilni, rozumieją homogeniczne, czyli najczęściej zamerykanizowane kody kulturowe. Nie widzą w swoim życiu miejsca dla tradycji, nacjonalizmu czy nawet patriotyzmu, koncepcję narodu uważają za wtórną. Po drugiej stronie są ci, którzy może nawet chcieliby tak żyć, ale nie mają do tego zasobów materialnych. Są przywiązani do konkretnej przestrzeni, nie mogą albo nie chcą się od niej oderwać. I bardzo się irytują, kiedy ktoś im tę przestrzeń zaczyna zmieniać, zwłaszcza poprzez imigrację.

Ten podział przez ostatnie kilkanaście lat zaczął być w Wielkiej Brytanii bardzo widoczny. Populacja w dużym stopniu zmieniła się rasowo i etnicznie, co nie jest rzeczą ani koniecznie dobrą, ani koniecznie złą. Jest faktem społecznym. Problem w tym, że dla wielu osób fakt ten pozostał nieakceptowalny, bez względu na to, co imigranci robią, jak się zachowują i jak egzekwują swoje prawa. Z praktycznego punktu widzenia nie ma oczywiście od tego procesu odwrotu, imigranci w Wielkiej Brytanii odnoszą sukcesy nawet w bastionach tamtejszej konserwatywnej tożsamości. Wystarczy popatrzeć na polityków, którzy w ostatnich latach odgrywali kluczowe role w Partii Konserwatywnej. Rishi Sunak, Priti Patel czy Suella Braverman nie wyglądają jak potomkowie arystokratów.

Brexit stał się możliwy również dzięki tym wszystkim procesom. Na usprawiedliwienie lewicowego czy liberalnego establishmentu można powiedzieć, że jego przedstawiciele nie mogli tych zmian dostrzec,



W Wielkiej Brytanii satyryczne przeróbki banknotów mają długą tradycję. Tym razem uczestnik antybrexitowego protestu na londyńskim Parliament Square uderza w Nigela Farage'a. 17 czerwca 2026 r.

a na pewno nie wszystkie – bo często zachodziły w rozproszeniu, niewidoczne. Co oczywiście nie zmienia faktu, że całkowite zignorowanie w kampanii za członkostwem w Unii emocji społecznych i komunikowanie się wyłącznie przy użyciu faktów było samobójstwem. Kiedy ówczesny minister sprawiedliwości Michael Gove w słynnym już wywiadzie dla Sky News oświadczył: „Mamy już dość tych wszystkich ekspertów mówiących nam, co mamy robić", występował w imieniu milionów Brytyjczyków. Naprawdę można było posłuchać i wziąć ich słowa na poważnie.

Kiedy opadł kurz

Wyjście z Unii Europejskiej miało być rozwiązaniem tych problemów. Kiedy Boris Johnson objeżdżał kraj z hasłem „Take Back Control" (Odzyskajmy kontrolę), podobno chodziło mu o uwolnienie Westminsteru od brukselskich regulacji. Należy jednak w to wątpić – Londyn i tak od bardzo wielu zasad, w tym od sporej części składek do budżetu UE, dużo wcześniej otrzymał wyłączenia. Ale to dyskusja drugorzędna, ważniejsze, co z tego przekazu zrozumieli Brytyjczycy. A dla nich przejęcie na powrót kontroli oznaczało nadzieję na autentyczny powrót do przeszłości. Obóz na rzecz wyjścia z Unii przekonał ich, że w polityce powrót do przeszłości jest możliwy. Dekadę później widać gołym okiem, że tym ludziom po prostu sprzedano kłamstwo.

Brexit nie przyniósł żadnego pobudzenia gospodarczego. Nie nadeszła fala nowych bilateralnych umów handlowych, nie było nowego wcielenia imperium. Nie odzyskano też kontroli nad granicami, co w przypadku kraju wyspiarskiego powinno być relatywnie łatwe.

Początkowo liczba imigrantów z krajów Unii zaczęła spadać: od 180 tys. rocznie do obecnych ujemnych danych. Po raz pierwszy ten stan osiągnięto w 2020 r., kiedy to więcej osób z krajów członkowskich UE wyjechało z Wysp, niż się tam osiedliło. Było to logiczną konsekwencją dwóch rzeczy. Po pierwsze, Europejczycy wiedzieli, że przy nowym reżimie wizowym trudniej będzie im zalegalizować pobyt i dostać pracę, często więc po latach emigracji wracali do swoich państw. Po drugie, studenci z kontynentu stracili dostęp do rządowych pożyczek na

Brytyjska polityka będzie szła coraz dalej na prawo, aż dojdzie do ściany.

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

czesne, przez co radykalnie zmniejszyła się liczba nowych kandydatów na brytyjskie uczelnie wywodzących się z Unii Europejskiej. Bardzo odczuła to zresztą polska społeczność akademicka – w badaniach Federacji Polskich Stowarzyszeń Studenckich z 2021 r. znalazła się informacja, że dla prawie 80% Polaków studiujących w Wielkiej Brytanii pożyczki były warunkiem rozpoczęcia studiów. Bez nich nie byłoby ich stać na studiowanie na Wyspach.

Co innego imigracja, która miała konserwatywnym Brytyjczykom przeszkadzać najbardziej, czyli pozaeuropejska. Dane Migration Observatory, państwowej instytucji monitorującej, nie pozostawiają złudzeń. Wzrosła ona znacząco: w 2023 r. saldo imigracji z krajów innych niż unijne było dodatnie i wyniosło 872 tys. osób. W tym samym czasie z ojczyzny zaczęli wyjeżdżać Brytyjczycy – tu saldo wynosi minus 132 tys. w 2025 r. Krótko mówiąc, jeśli ktoś głosował za brexitem, by poczuć się w swoim kraju jak u siebie w domu – musi być bardzo rozczarowany.

Dziedzictwo brexitu

Nie będzie przesady w stwierdzeniu, że brexit okazał się z jednej strony niewykorzystaną szansą, z drugiej – polityczną i gospodarczą katastrofą. Za część tych negatywnych skutków winić można brak partnera po drugiej stronie, co w felietonie dla magazynu „Time" w ciekawy sposób opisał prof. Anand Menon z King's College London. To jeden z najważniejszych brytyjskich politologów zajmujących się brexitem i relacjami z Unią, szef uczelnianego think tanku UK in a Changing Europe. Menon wskazuje, że architekci brexitu swoje plany sukcesu gospodarczego zbudowali na jednym kluczowym założeniu, czyli utrzymaniu się porządku globalizacyjnego. Gdyby inne państwa pozostały otwarte na handel międzynarodowy w takim samym stopniu jak za czasów Blaira, pewnie o ekonomicznego kopa w górę byłoby łatwiej. Niestety, pandemia koronawirusa, wojna w Ukrainie, załamanie się łańcucha dostaw w wielu branżach, a wreszcie wybór Trumpa na drugą kadencję sprawiły, że potencjalni partnerzy stali się znacznie bardziej skłonni do gospodarczego protekcjonizmu. Ponadto Amerykanie zwijają parasol bezpieczeństwa, z którego korzystała Europa, co zmusza Wielką Brytanię do ponownego zainwestowania ogromnych pieniędzy we własną obronność. Problem w tym, że pieniędzy w budżecie nie ma, a przynajmniej premier Keir Starmer nie chce ich tam znaleźć. Z tego powodu minister obrony John Healey kilkanaście dni temu zrezygnował ze stanowiska, wywołując olbrzymi chaos w Partii Pracy.

W tak nieprzychylnym otoczeniu międzynarodowym plan brexitowców nie mógł się powieść. Dzisiaj zresztą według różnych badań opinii ok. 55% Brytyjczyków poparłoby w hipotetycznym referendum ideę powrotu na łono Unii Europejskiej.

Problem w tym, że to taka sama iluzja, jaką było hasło o odzyskaniu kontroli w 2016 r. Były przewodniczący Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker przy okazji 10. rocznicy referendum powiedział w rozmowie z „Financial Timesem", że Wspólnota „wciąż liże rany" po brexicie i niekoniecznie chciałaby Brytyjczyków z powrotem. Nie mówiąc już o tym, że Londyn nie mógłby liczyć na wyłączenia i ulgi, z których korzystał poprzednio. Innymi słowy, powrót odbyłby się na zasadach gorszych niż obowiązujące przed rozwodem. W bardzo podobnym tonie na łamach „Guardiana" wypowiedział się oksfordzki historyk prof. Timothy Garton Ash, podkreślając, że Wielka Brytania musi „najpierw zrozumieć Unię, żeby móc do niej wrócić". Wypunktował w swoim eseju arogancję Brytyjczyków, którym wydaje się, że wystarczy zapukać do unijnych drzwi, a Bruksela z radością je otworzy. „Wielka Brytania prawie w ogóle nie istnieje w europejskich dyskusjach o przyszłości kontynentu, a nawet anglofilski szef polskiego MSZ Radek Sikorski uważa nasz kraj za dostarczyciela bezpieczeństwa i nic więcej", pisze Garton Ash.

Dodaje, że Unia może wybierać spośród całej masy kandydatów, od Ukrainy, przez państwa bałkańskie, po Islandię i Norwegię. Brytyjczycy musieliby mieć naprawdę coś wyjątkowego do zaoferowania, żeby wzbudzić unijne zainteresowanie. Nic takiego jednak na horyzoncie się nie jawi.

Największa katastrofa brytyjskiego społeczeństwa rozgrywa się jednak gdzie indziej. Na dalekiej prawicy obok torysów wyrosła partia Reform UK, a zaraz za nią Restore Britain, ugrupowanie już jawnie rasistowskie. Ci pierwsi szorują po dnie, ci drudzy mają nawet szanse na samodzielną większość po następnych wyborach, ci ostatni zaczynają budzić strach politycznego centrum.

Na dalekiej prawicy wyrosły partie Reform UK i Restore Britain. Ta pierwsza ma szanse na samodzielną większość po następnych wyborach, ta druga, jawnie rasistowska, zaczyna budzić strach.

Jak to możliwe, że partie, które doprowadziły do katastrofy wynikającej z brexitu, są teraz na fali wznoszącej? Odpowiedź znaleźć można w retoryce Farage'a, która jest niestety doskonałą ilustracją dzisiejszej prawicowej polityki na całym świecie.

Otóż Farage, a za nim miliony wyborców, uważa, że brexit był świetnym pomysłem. Po prostu Partia Konserwatywna nie poradziła sobie z realizacją planu. Było za mało radykalnie, zbyt ostrożnie. Reform UK zrobiłaby to lepiej i na pewno spróbuje jeszcze mocniej uderzyć w imigrantów, ekspertów czy beneficjentów globalizacji. Tym samym brytyjska polityka będzie szła coraz dalej na prawo, aż dojdzie do ściany. A to oznacza niezdolność do prowadzenia polityki w ramach wyborów i po prostu powszechną przemoc. To jest właśnie dziedzictwo brexitu dekadę po referendum.

Mateusz Mazzini

FOT. GRANT FALVEY/ZUMA PRESS/FORUM, VUK VALCIC/ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

Draka na Morawach

Pierwszy kongres Niemców sudeckich w Republice Czeskiej

Robert Karsznia

Stosunki czesko-niemieckie nigdy nie należały do najłatwiejszych. Ostatnio przeżyły kolejny test. W Brnie w drugiej połowie maja odbył się Zjazd Ziomkostwa Sudetoniemieckiego, który był częścią festiwalu kulturalnego Meeting Brno. Przygotowaniom do imprezy towarzyszyły protesty polityków i mieszkańców głównego miasta Moraw.

Stosunki na nowo

W ostatnich latach relacje Pragi z Berlinem poprawiły się. Przyczyniła się do tego strona czeska, gdy w 2013 r. premier Petr Nečas wyraził ubolewanie z powodu cierpienia Niemców sudeckich wysiedlanych po II wojnie światowej z ówczesnej Czechosłowacji. Druga strona także zrobiła gest: wykreśliła ze statutu Ziomkostwa Sudetoniemieckiego fragment poświęcony dążeniom do odzyskania majątku odebranego Niemcom, obywatelom przedwojennej Czechosłowacji.

Niemcy sudeccy po 1945 r. znaleźli się głównie w Republice Federalnej Niemiec, w Bawarii, gdzie skoncentrowana jest działalność ziomkostwa. Od ponad 12 lat liderem organizacji pozostaje Bernd Posselt. W 2003 r. ten były dziennikarz głosował jako europoseł przeciwko przyjęciu Czech do Unii Europejskiej. Jako przyczynę podał dekrety Beneša, które jego zdaniem powinny trafić na „śmietnik historii". Później jednak zawiał wiatr historii albo Posselt to i owo przemyślał. Będąc już szefem ziomkostwa, polityk CSU dokonał w 2015 r. zmiany statutu stowarzyszenia przez wykreślenie sformułowań o potrzebie odzyskania ojczyzny i sensie roszczeń odszkodowawczych.

Festiwal Meeting Brno wziął początek z Inicjatywy Roku Pojednania ogłoszonej w 2015 r. przez ówczesne władze morawskiej stolicy. Częścią corocznej imprezy stał się Marsz Pojednania organizowany jako wspomnienie ofiar tzw. brneńskiego marszu śmierci z 30 maja 1945 r., w którym zginęło kilka tysięcy czeskich Niemców. Po 10 latach od pierwszej edycji festiwalu jego organizatorzy zostali uhonorowani przez Ziomkostwo Sudetoniemieckie złotym medalem za zasługi na rzecz dialogu czesko-niemieckiego. W odpowiedzi zaprosili władze ziomkostwa do udziału w wydarzeniu i zorganizowania ich zjazdu na czeskim terytorium, pierwszy raz w historii.

Co myślą obywatele i posłowie

Zaproszenie podzieliło społeczeństwo. Według sondażu przeprowadzonego dla Czeskiego Radia ponad połowa badanych potępiła pomysł. Nieco inne zdanie mieli respondenci w wieku do 24 lat, z których prawie 70% nie dostrzegło w zjeździe niczego niestosownego. Na opinię ankietowanych miały wpływ preferencje polityczne. Prawie połowa wyborców Wolności i Demokracji Bezpośredniej (SPD) – ksenofobicznej partii stanowiącej część koalicji rządzącej – uznała, że brneński zjazd odbije się negatywnie na przyszłości relacji czesko-niemieckich. Zaprotestowała także Izba Poselska, w uchwale z maja br. zainicjowanej przez przedstawicieli SPD, wspartej przez koalicjantów skupionych w rządzie Andreja Babiša.

Premier Babiš zadeklarował, że nie zamierza szkodzić relacjom dwóch krajów. Ostrzej zareagowali jego koalicjanci. Z kolei wielu polityków antyrządowych z życzliwością odniosło się do inicjatywy wspieranej przez władze Brna i kraju południowomorawskiego. Bliski opozycji prezydent Petr Pavel kilka dni przed Meeting Brno potwierdził, że wydarzenie, a co za tym idzie, zjazd ziomków, odbędzie się pod jego patronatem.



„Stop reinkarnacji faszyzmu i rewanżyzmu" – Czesi protestowali podczas zjazdu ziomkostwa w Brnie, 22 maja 2026 r.

Do inicjatywy odniósł się szef niemieckiego Związku Wypędzonych Stephan Mayer, przyznając, że „dla Europy znaczącym krokiem na rzecz pokoju i partnerstwa jest możliwość zorganizowania w Czechach zjazdu Niemców". Tego było już za wiele. Oskarżenia o relatywizowanie historii sąsiadowały w mediach ze świadectwami osób przekonanych o słuszności powojennych rozliczeń. Już w połowie kwietnia na posiedzeniu rady Brna wyrażono sprzeciw wobec wydarzenia. Towarzyszyły temu protesty wokół magistratu. W projektach uchwały zgłaszano żądanie zdecydowanego odcięcia się od festiwalu Meeting Brno, wpisania zakazu jego finansowania i uniemożliwienia zjazdu Sudecian.

W dniu posiedzenia rady niemiecki kongres wsparła jednak Markéta Vaňková, od 2018 r. burmistrzyni miasta. „Naszym zadaniem jest patrzeć w przyszłość i znaleźć porozumienie", powiedziała w wystąpieniu poprzedzającym głosowanie nad uchwałą.

eprasa.pl 3eb4cd8e4c



Radykalizmowi części opinii publicznej sprzyjały rozgrzane do czerwoności media społecznościowe, wzywające do stawiania oporu i udziału w protestach przeciwko obecności Niemców w Brnie. Jiří Leschtina w felietonie Czeskiego Radia opisał atmosferę wokół festiwalu i groźby pod adresem jego uczestników. Uznany dramaturg Milan Uhde – 90-letni były minister kultury, polityk i jeden z symboli odrodzonej Republiki Czeskiej – stał się celem ataku lokalnych aktywistów. Jego sąsiedzi otrzymywali listy z ostrzeżeniem, że mieszkają obok „faszysty i zdrajcy", który zaprosił Niemców do odebrania czeskiego majątku. Tymczasem Uhde stracił podczas wojny połowę rodziny.

Jesienią odbędą się w Czechach wybory samorządowe. Miloš Zeman zaproponował, by nie głosować na tych, którzy dopuścili do zorganizowania zjazdu ziomkostwa.

Przygrywka do wyborów?

Do Brna przyjechał także eksprezydent Miloš Zeman, który wcześniej nazwał sudeckich Niemców „piątą kolumną Adolfa Hitlera". 24 maja przemawiał do zgromadzonych na Rynku Dominikańskim, przypominając, że „sudeccy Niemcy stanowili fanatyczną część ruchu narodowosocjalistycznego".

Do potyczki między stronami sporu doszło 22 maja w okolicach międzynarodowej hali targowej, gdzie odbywał się zjazd ziomkostwa. Niemal 200 manifestantów śpiewających husycką pieśń „Ktož jsú boží bojovníci" wzniosło symboliczną barykadę z transparentów i fotografii z czasów II wojny światowej. Do nieporozumień doszło również w trakcie marszu pojednania, który rozpoczął się w Pohořelicach pod Brnem – symbolicznym miejscu cierpienia niemieckich wysiedleńców z 1945 r. Oburzenie jednego z demonstrantów wywołała próba sfilmowania go przez uczestników marszu.

W majowym zjeździe sudeckich ziomków wzięli udział minister spraw wewnętrznych RFN Alexander Dobrindt (CSU) oraz premier Bawarii Markus Söder (także CSU). Nieobecność równych rangą polityków znad Wełtawy została dostrzeżona przez czeskich komentatorów. Premier Babiš zadeklarował, że przedstawiciele rządu nie wezmą udziału w Meeting Brno. Z kolei w portalu X pojawił się wpis kancelarii prezydenta: „Prezydenci Czech i Niemiec wyrazili nadzieję, że impreza odzwierciedli ducha wzajemnego zrozumienia i partnerstwa".

Tegoroczną edycję Meeting Brno ze względu na zjazd ziomków społeczeństwo przyjęło z dużymi emocjami. Znaczeniu wydarzenia dla rozwoju relacji czesko-niemieckich poświęcono wiele miejsca w komentarzach czy wpisach w mediach społecznościowych. Z kolei reakcje polityków dyktowane były jak zwykle przez ich własny kalendarz – jesienią odbędą się w Czechach wybory samorządowe. Miloš Zeman zaproponował niegłosowanie na tych, którzy dopuścili do zorganizowania zjazdu w Brnie. Wezwanie byłej głowy państwa zostało odczytane jako wsparcie dla struktur SPD, niegdysiejszej partii prezydenta.

O przyszłości relacji między Republiką Federalną Niemiec i Republiką Czeską oraz oficjalnym rozprawieniu się z bolesnym dziedzictwem przeszłości mówiła Deklaracja czesko-niemiecka podpisana w 1997 r. przez premiera Václava Klausa oraz kanclerza Helmuta Kohla. Strona niemiecka przyznała w niej, że jest świadoma odpowiedzialności za działania, które doprowadziły do podpisania układu monachijskiego w 1938 r., ucieczek i wygnania ludzi z czesko-niemieckiego pogranicza oraz rozpadu Czechosłowacji. Natomiast strona czeska oświadczyła, że ubolewa nad cierpieniem i krzywdą niewinnych ludzi oraz nad przypisywaniem im winy zbiorowej.

Po ośmiu dekadach od zakończenia wojny zjazd ziomkostwa w Brnie stał się źródłem emocji rozgrzanych ponad miarę, nie wiadomo czy słusznie. Do Brna dotarło bowiem około tysiąca potomków sudeckich Niemców, w kluczowych protestach zaś wzięło udział tylko kilka tysięcy osób. Z dużej chmury mały deszcz. Aż do następnego zjazdu, który odbędzie się być może częściowo w Niemczech, częściowo w Czechach. Może już emocji będzie mniej? ■

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 3eb4cd8e4c



MELONI W IMPASIE

Między Trumpem, Europą i kryzysami

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Rzymu

Jeszcze dwa lata temu Giorgia Meloni wydawała się politycznym fenomenem Europy. Liderka włoskiej prawicy, wyrosła z tradycji postfaszystowskiej, dokonała czegoś, co wielu uznawało za niemożliwe: zachowała wiarygodność w oczach własnego elektoratu, a jednocześnie zdobyła zaufanie Brukseli, rynków finansowych i zachodnich partnerów. A była przy tym wierną sojuszniczką Donalda Trumpa i koniem trojańskim ruchu MAGA w Europie. Mówiła, że buduje most między UE a USA. Pokazała, że radykalna prawica może przejść drogę od protestu do odpowiedzialnego rządzenia.

Dziś, niespełna rok przed wyborami, premier Włoch wchodzi w najtrudniejszą fazę rządów. Nie dlatego, że opozycja się zjednoczyła i odzyskała siłę. Dlatego, że skończyły się okoliczności, które sprzyjały Meloni. Teraz stoi ona w obliczu kryzysu gospodarczego, geopolitycznego i finansowego, a kumulacja tych problemów może się okazać trudniejsza niż jakakolwiek kampania wyborcza. Choć premier może się pochwalić znaczącymi osiągnięciami – jest pierwszą kobietą w historii Włoch, która zasiadła w Pałacu Chigi, a jeśli dotrwa do końca kadencji, jej rząd pobije rekord długowieczności – to za mało, by spokojnie myśleć o drugiej kadencji.

Pierwsze sygnały ostrzegawcze pojawiły się w polityce wewnętrznej. Ogólnokrajowe referendum konstytucyjne z 22 i 23 marca 2026 r. okazało się dla rządu bolesnym ciosem. Włosi odrzucili forsowaną przez gabinet reformę wymiaru sprawiedliwości. Przeciwko zmianom opowiedziało się 53,6% głosujących, a frekwencja sięgnęła niemal 59%, co nadało wynikowi szczególną wagę. Przeciw reformie głosowali masowo młodzi Włosi z pokolenia Z, a także ok. 15% wyborców prawicy.

Porażka referendalna zachwiała wizerunkiem pani premier jako niepokonanej i wywołała napięcia w obozie rządzącym. Bezpośrednio po referendum doszło do serii wstrząsów politycznych. W ministerstwie sprawiedliwości ze stanowisk odeszli wiceminister Andrea Delmastro oraz szefowa gabinetu ministra Carla Nordia Giusi Bartolozzi, oboje zamieszani w poważne skandale. Do dymisji, wymuszonej przez Meloni, podała się również minister turystyki Daniela Santanchè, wobec której trwa proces dotyczący defraudacji i oszustw podatkowych. Jeszcze niedawno cała trójka, należąca do najbliższego kręgu Meloni, wydawała się politycznie nietykalna. Choć oficjalnie decyzje te wiązano z prowadzonymi postępowaniami, komentatorzy wskazywali, że były przede wszystkim rachunkiem za przegrane referendum i próbą ratowania wizerunku rządu.

Giorgia Meloni odrzuciła wezwania do ustąpienia ze stanowiska i zapowiedziała, że rząd będzie kontynuował pracę do końca kadencji. Referendum stało się jednak

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

pierwszym tak wyraźnym znakiem, że jej polityczna dominacja zaczyna słabnąć.

Odłożony upadek

Choć wynik referendum dodał energii rozproszonej wcześniej opozycji, a liderzy ugrupowań centrolewicowych uznali go za dowód malejącego poparcia dla Meloni, nie przełożyło się to na wyniki wyborów administracyjnych 25 i 26 maja. Głosowanie na burmistrzów i radnych odbyło się w niemal 900 gminach, w tym w 20 stolicach prowincji, m.in. w Wenecji, Reggio Calabria, Salerno i Arezzo. Opozycja nie odniosła spektakularnego sukcesu, ale obóz rządzący również nie potwierdził swojego prymatu. Bilans można określić jako polityczny remis.

Najbardziej znamienne było głosowanie w Wenecji, która pozostaje bastionem prawicy mimo kontrowersji wokół najważniejszych instytucji kulturalnych miasta. Spory wewnątrzrządowe związane z decyzją o otwarciu pawilonu rosyjskiego podczas Biennale Sztuki, którą podjął prezes Pietrangelo Buttafuoco, wywołały międzynarodową krytykę, sprzeciw części polityków europejskich oraz protesty aktywistów. Dodatkowo głośnym echem odbiła się sprawa odwołania dyrygentki Beatrice Venezi z teatru La Fenice. Wydarzenia te ujawniły napięcia w obozie Meloni. Lewica była przekonana, że to wystarczy, aby przejąć władzę w jednym z najważniejszych miast włoskiej kultury. Tymczasem prawicowy kandydat Simone Venturini zwyciężył już w pierwszej turze, zapewniając ciągłość rządów byłego burmistrza Luigiego Brugnara.

„Dziś również odkładamy nasz rzekomy upadek na jutro", skomentowała ironicznie Meloni po wyborach samorządowych, podkreślając stabilność i dobry wynik koalicji rządzącej.

Na prawicy trzeszczy

Tyle że jeszcze niedawno Meloni narzucała tempo debaty publicznej. Dziś coraz częściej zmuszona jest reagować na wydarzenia i próbować powstrzymywać ich lawinę. Dziennik „Il Foglio" nazwał obecną sytuację stanem oblężenia, co dobrze oddaje klimat wokół pani premier.

Najbardziej widoczne pęknięcia pojawiły się w samej większości rządzącej. Bracia Włosi pozostają najsilniejszą partią, jednak napięcia w koalicji nie są już ukrywane. Ugrupowanie Naprzód Włochy podkreśla proeuropejską tożsamość i zakotwiczenie w liberalnym centrum. Formacja pod przywództwem Antonia Tajaniego, wicepremiera i ministra spraw zagranicznych, zmaga się z problemami kadrowymi, a z tylnego siedzenia coraz wyraźniej kierują nią Marina i Pier Silvio Berlusconi, zarządzający imperium medialnym odziedziczonym po ojcu.

Jeszcze większym problemem dla koalicji stała się Liga Mattea Salviniego. Partię opuścił eurodeputowany i były generał Roberto Vannacci, który założył własny ruch polityczny Narodowa Przyszłość. To on jest dziś jednym z najpoważniejszych zagrożeń dla prawicy. Jego ugrupowanie ma już ok. 4,5% poparcia i odbiera głosy mogące przesądzić o zwycięstwie koalicji w kolejnych wyborach. Według założycieli ruch liczy ponad 94 tys. członków. Dynamicznie rośnie także jego reprezentacja parlamentarna – w Izbie Deputowanych Narodowa Przyszłość dysponuje ośmioma posłami, pozyskanymi głównie z Ligi i Naprzód Włochy.

Program Vannacciego opiera się na hasłach obrony suwerenności narodowej, sprzeciwu wobec unijnego Zielonego Ładu oraz zaostrzenia polityki migracyjnej. Najbardziej kontrowersyjnym postulatem jest „remigracja", czyli odsyłanie nie tylko nielegalnych migrantów, ale i cudzoziemców uznanych za niezintegrowanych ze społeczeństwem lub skazanych za przestępstwa. Polityk domaga się też uszczelnienia granic, rozszerzenia prawa do obrony koniecznej, ograniczenia wsparcia wojskowego dla Ukrainy i przywrócenia systemu wyborczego umożliwiającego bezpośredni wybór kandydatów do parlamentu. Były generał jest poza tym wyraźnie prokremlowski.

Vannacci znany jest również z konserwatywnego podejścia do kwestii społecznych. Występuje przeciwko gender oraz postulatom środowisk LGBTQ+, wspiera tradycyjny model rodziny. Część komentatorów uważa, że jego celem jest stworzenie we Włoszech ugrupowania przypominającego niemiecką AfD, zdolnego zagospodarować najbardziej radykalny elektorat prawicy.

Vannacci, sympatyzujący z tradycją Decima MAS – elitarnej jednostki włoskich komandosów z okresu II wojny światowej, która po 1943 r. przekształciła się w formację walczącą po stronie faszystowskiej Republiki Salò i III Rzeszy – pod wieloma względami jest bardziej radykalny od postfaszystowskiej Meloni. To on dziś ekstremizuje włoską prawicę i przyczynia się do radykalizacji debaty publicznej.

Niespełna rok przed wyborami premier Włoch wchodzi w najtrudniejszą fazę rządów.

Naprzód Włochy już zapowiedziały, że nigdy nie wejdą z nim w koalicję. Bracia Włosi i Liga znajdują się w trudniejszym położeniu. To właśnie Salvini zaprosił Vannacciego do partii, dał mu polityczną widoczność i otworzył drogę do Parlamentu Europejskiego. Skutki tej decyzji wracają do niego teraz niczym bumerang. Pozycja wieloletniego lidera Ligi coraz wyraźniej słabnie, a samo ugrupowanie podzieliło się na dwa obozy: radykałów popierających projekt „remigracji" oraz bardziej umiarkowanych działaczy, którzy chcieliby powrotu do korzeni partii regionalnej, skoncentrowanej na obronie interesów północnych Włoch.

Porzucona przez Trumpa

Meloni znalazła się też pod rosnącą presją międzynarodową. Długo próbowała budować pozycję politycznej zdolnej do dialogu z konserwatywną prawicą amerykańską

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

i z europejskim establishmentem. Strategia wydawała się skuteczna. W praktyce pogodzenie tych dwóch światów okazało się niemożliwe.

Coraz częściej pojawiały się sygnały, że interesy Waszyngtonu nie pokrywają się z interesami Rzymu: amerykańskie cła handlowe, naciski na zwiększenie wydatków obronnych państw NATO do 5% PKB, ograniczenie pomocy wojskowej dla Ukrainy czy zapowiedzi redukcji amerykańskiej obecności wojskowej w Europie. Dla Trumpa Stary Kontynent to przede wszystkim konkurent gospodarczy, a uprzywilejowane relacje z Włochami nie stanowią priorytetu.

Mimo tych ostrzeżeń Meloni nadal próbowała robić polityczny szpagat. Włochy przyłączyły się jako obserwator do Rady Pokoju – organizacji utworzonej z inicjatywy Donalda Trumpa w celu odbudowy Gazy. Premier poparła także amerykańską interwencję w Wenezueli i porwanie prezydenta Nicolása Madura. Po ataku Izraela i Stanów Zjednoczonych na Iran zajęła natomiast niejednoznaczne stanowisko, stwierdzając: „Nie popieram i nie krytykuję".

W końcu nadszedł moment, gdy Trump zaatakował papieża Leona XIV. Meloni milczała długo, ale to oznaczało poparcie, natomiast jakakolwiek reakcja potwierdzałaby dystans wobec Trumpa. Premier zareagowała z opóźnieniem, broniąc papieża, co wywołało krytykę opozycji i własnego elektoratu.

Wkrótce Trump uderzył bezpośrednio w dotychczasową sojuszniczkę. W wywiadzie dla „Corriere della Sera" przyznał, że jest postawą Meloni „zaszokowany", i zarzucił jej brak wsparcia dla USA w konflikcie z Iranem. Krytykował odmowę udziału Włoch w operacjach mających na celu ponowne otwarcie cieśniny Ormuz, a także zakaz wykorzystania włoskich baz przez amerykańskie samoloty uczestniczące w bombardowaniach Iranu. Stwierdził również, że pomylił się co do włoskiej premier, i zarzucił jej brak odwagi w realizacji obietnic. W kolejnych wypowiedziach zagroził przeniesieniem części amerykańskich kontyngentów wojskowych stacjonujących we Włoszech.

Jednocześnie ataki nadeszły z zupełnie innego kierunku. Podczas programu emitowanego przez państwową telewizję Rossija 1 rosyjski propagandysta Władimir Sołowjow skierował pod adresem premier Włoch serię obraźliwych komentarzy. Oprócz takich określeń jak „hańba rodzaju ludzkiego" czy „patentowana idiotka" użył seksistowskich obelg, które wywołały oburzenie włoskiej opinii publicznej.

Meloni znalazła się pod ostrzałem środowisk trumpowskich i prorosyjskich. To dowód, jak bardzo zmieniło się jej miejsce na geopolitycznej mapie. Porzucona przez Trumpa, a zarazem coraz mniej wpływowa w Europie, zaczęła przypominać raczej osamotnionego Kopciuszka niż królową międzynarodowych salonów politycznych. Największe zagrożenie dla jej rządów nie nadchodzi jednak ani z Waszyngtonu, ani z Moskwy. Prawdziwym problemem pozostaje stan włoskiej gospodarki i bilans finansów publicznych.

Giorgia Meloni stoi w obliczu kryzysu gospodarczego, geopolitycznego i finansowego.

Królowa jest naga

Przez ostatnie lata włoska gospodarka korzystała z bezprecedensowego wsparcia finansowego w ramach europejskiego Funduszu Odbudowy. Krajowy Plan Odbudowy i Zwiększania Odporności (PNRR) stał się jednym z filarów stabilności gospodarczej państwa. Miliardy euro płynące z Brukseli pozwalały finansować inwestycje, pobudzać wzrost i łagodzić skutki kryzysów. Dzięki środkom europejskim Włochy uniknęły recesji.

Ale coraz częściej pojawiają się pytania o efektywność wydatkowania pieniędzy. Część projektów jest opóźniona, inne nie przynoszą rezultatów. A zbliża się moment, w którym strumień funduszy zacznie wysychać. Wówczas okaże się, na ile wzrost gospodarczy był efektem rzeczywistych reform, a na ile wyjątkowo korzystnej koniunktury.

Problem pogłębia sytuacja budżetowa państwa. Włochy są jednym z najbardziej zadłużonych krajów Europy. Rosną koszty obsługi długu, społeczeństwo szybko się starzeje, a wydatki na emerytury i ochronę zdrowia wywierają coraz większą presję na finanse publiczne. Każdy nowy program pomocowy oznacza coraz trudniejszy wybór między potrzebami społecznymi a koniecznością zachowania dyscypliny budżetowej.

Na horyzoncie pojawiło się kolejne zagrożenie. Konflikt na Bliskim Wschodzie oraz blokada cieśniny Ormuz doprowadziły do gwałtownego wzrostu cen energii. Dla Włoch to szczególnie bolesny cios. Droższa ropa i gaz oznaczają wyższą inflację, większe koszty dla przedsiębiorstw i dodatkową presję na budżety domowe obywateli.

I właśnie tu kryje się największy problem polityczny Giorgii Meloni. Przez lata budowała swoją tożsamość na idei suwerenności narodowej, tymczasem gospodarka pozostaje głęboko uzależniona od decyzji podejmowanych w Brukseli, na rynkach finansowych i w geopolityce. Premier musi jednocześnie uspokajać partnerów europejskich i nie rozczarować własnego elektoratu. Z jednej strony, Bruksela oczekuje odpowiedzialności fiskalnej i realizacji reform. Z drugiej, wyborcy prawicy chcą obrony interesów narodowych i większej niezależności od instytucji unijnych. Pogodzenie tych oczekiwań robi się coraz trudniejsze.

Najważniejsze pytanie nie brzmi, czy rząd Meloni upadnie. Taki scenariusz nadal wydaje się mało prawdopodobny. Znacznie istotniejsze jest to, czy premier zdoła odzyskać inicjatywę polityczną i narzucić własną agendę. Nadchodzi bowiem czas rozliczeń: za narastające zadłużenie, za nieprzeprowadzone reformy, za zależność energetyczną i za kompromisy polityczne ostatnich lat. Staje się jasne, że królowa jest naga.

Agnieszka Zakrzewicz

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

ZAMROCZENIE I WYJAŚNIENIE

Tomasz Jastrun odpowiada na sprostowanie dyrektora PIW dr. Łukasza Michalskiego

Czytałem ze szczerym zainteresowaniem sprostowanie szefa PIW Łukasza Michalskiego przysłane do naszego tygodnika. Sprostowanie, a tak naprawdę wyjaśnienie. Nareszcie wiem, dlaczego szef wydawnictwa nagle zablokował druk moich wierszy. A byłem udręczony niewiedzą. Zostałem więc tym wyjaśnieniem ubogacony. I mamy oto dowód, że Michalski czasami wychyla głowę ze swojej prawicowej bańki. Pozwolę sobie skorzystać z okazji i też wyjaśnić jego wyjaśnienie.

Cytuję Michalskiego: „Felieton Tomasza Jastruna »Czy zostaje tylko przemoc?« (…) zawiera nieprawdziwą informację, że decyzja o niewydaniu przez Państwowy Instytut Wydawniczy jego tomu poetyckiego była spowodowana poglądami politycznymi autora. Tymczasem powodem decyzji były słowa Jastruna (…) nawołujące do przemocy wobec osób o odmiennym światopoglądzie, a więc sprzeczne z misją państwowej instytucji kultury” (pełny tekst sprostowania w nr. 25/2026).

Najpierw przypomnijmy moje skandaliczne słowa z kawałkiem mięsa, który został z nich wyrwany. Wyjaśniam, miałem spotkania autorskie w Nysie, najpierw demoralizowałem polską młodzież w szkołach, a potem dorosłych w bibliotece obok fontanny na rynku, ta biblioteka stała się przyczyną mojego „nieszczęścia”. Cytuję: „Nazajutrz, mając trochę czasu do odjazdu pociągu, przeglądam w czytelni biblioteki pisma. »Gazeta Polska« robi wrażenie pisma obłąkanego z nienawiści do Tuska, do ludzi liberalnie myślących. Z autorami »Gazety Polskiej«, podobnie jak z jej czytelnikami już nie można dyskutować, nie ma płaszczyzny do polemiki, zostaje tylko mordobicie lub mord po prostu”.

Moje felietony przed drukiem czyta czujna redakcja. Uznali zgodnie z moimi intencjami, że nie nawołuję do mordu, tylko uważam, że w nienawiści, zresztą wzajemnej, doszliśmy do ściany. Dialog już jest niemożliwy, gdy zaś nie ma dialogu, a jest wrogość, zostaje przemoc. I w Polsce, i w Stanach – twierdzą też tak znani amerykańscy politolodzy – jest już materiał na wojnę domową, czyli na przemoc. Nie nawołuję do mordobicia ani do mordu, nie zwariowałem. I nigdy czegoś takiego nie robiłem. Mam jakąś biografię, jest w niej dorobek literacki, widać jak na dłoni, że sporą część życia poświęciłem na walkę z przemocą – ustrój komunistyczny był przemocowy. Piszę dużo od ponad pół wieku. Przez wiele lat, od 1986 do 2000 r., więc do śmierci Jerzego Giedroycia, z którym byłem w serdecznej bliskości, pisałem w „Kulturze” paryskiej niemal co miesiąc felieton, podobny do tego, jaki piszę teraz w „Przeglądzie”, tylko o wiele dłuższy. Felietoniście z dużym dorobkiem wiele się wybacza, też przesadę. Teraz pewnie swoje słowa z felietonu opatrzyłbym komentarzem, takim jak to zrobiłem tutaj, biorąc pod uwagę, że są też mało pojętni czytelnicy i należy im wyłożyć kawę na ławę. Ale trzeba mieć doprawdy wiele złej woli, by oskarżać mnie, że nawołuję do mordu. Tylko czemu Michalski ma mieć dobrą wolę?

Michalski powołuje się, to wzruszające, na „misję państwowej instytucji kultury”. Jaka misja? Zachował się tak, jakby PIW to był jego prywatny folwark. A przecież wydawnictwo jest hojnie dotowane przez Ministerstwo Kultury!

Tomik poezji „Ślad ślimaka” wydam wkrótce w Austerii. I to nie o tę garść moich wierszy chodzi, ale o mechanizmy tworzenia czarnych list i karania przeciwników politycznych. Znamy to z czasów komunistycznych. Ciekawe, że PIW w 1978 r. był bardziej tolerancyjny niż teraz Michalski. Wydali wtedy mój debiutancki tomik, tylko z jedną interwencją cenzury, bardzo zresztą zabawną. Zatrzymano utwór ze słowami: „o tylu rzeczach zabroniono nam pisać”. Tomik jednak poszedł do druku. A bezpieka przecież wiedziała, że jestem po uszy zaangażowany we wrogą działalność (zapraszam do lektury swoich kilku teczek).

Dzisiaj czarne listy działają i są niezawodne w prawicowych mediach. Za PiS nigdy nie zaproszono mnie do telewizyjnych mediów, inna sprawa, że bym nie poszedł. Ale dlaczego w demokratycznej Polsce na czele wydawnictwa takiego jak PIW stoi prawicowy aparatczyk? Wydawnictwa, w którym wiele książek ważnych dla polskiej literatury wydali moja mama Mieczysława Buczkówna i mój ojciec Mieczysław Jastrun. Jego „Mickiewicza” PIW publikował w kolejnych wydaniach w ciągu kilkunastu lat. Nie zdziwiłem się więc, gdy kilka lat temu poetka Ania Piwkowska, odpowiedzialna w wydawnictwie za dział poezji, zaproponowała, abym dokonał wyboru wierszy mojego ojca i poprzedził go esejem o autorze. Książka miała się ukazać w instytucie. Ucieszyłem się. Ojciec jest zapomniany. Z zapałem wziąłem się do pracy. Po jakimś czasie okazało się, że niepotrzebnie. Dlaczego zablokowano wtedy nagle publikację wierszy mojego ojca? Ania była zmieszana, nie potrafiła mi tego wytłumaczyć.

Jak rozumiem Michalskiego, jeśli jego opcja polityczna wygra wybory i obsadzą Michalskimi wszystkie możliwe stanowiska, to oni ze swoją wrażliwością, w ramach wzmożenia moralnego, skuteczniej, niż to było za poprzedniej kadencji PiS, będą inaczej myślących wpisywać na czarne listy. Czasami z rodziną. Jeśli przegramy za rok wybory, nie mam złudzeń, że to, co tu było incydentem, stanie się regułą. ■

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

Przed PiS była AWS

Najtrwalszym „osiągnięciem” rządów Akcji Wyborczej Solidarność okazał się IPN

Paweł Siergiejczyk

To było 30 lat temu: 8 czerwca 1996 r. dokonało się zjednoczenie polskiej prawicy. Tego dnia podczas spotkania w Warszawie utworzono Akcję Wyborczą Solidarność. Spotkanie zostało zorganizowane z inicjatywy NSZZ Solidarność, którego lider Marian Krzaklewski zaprosił przedstawicieli ponad 20 ugrupowań prawicowych do stworzenia wspólnego bloku na wybory parlamentarne. Grono to szybko się rozszerzało i rok później AWS skupiała już prawie 40 podmiotów. Niemal całą postsolidarnościową część sceny politycznej.

Poza AWS zostały jedynie Unia Wolności, uważana na prawicy za formację „różową”, więc z definicji podejrzaną, i Ruch Odbudowy Polski, którego przywódca Jan Olszewski liczył na skupienie wokół siebie wszystkich „prawdziwych patriotów”. Do takiego optymizmu skłaniał go prawie siedmioprocentowy wynik w wyborach prezydenckich z listopada 1995 r. Olszewski zajął wtedy czwarte miejsce, ale w sondażach z pierwszych miesięcy 1996 r. jego nowo utworzona partia zaczęła iść w górę, osiągając nawet kilkunastoprocentowe poparcie. Na tle potęgi ROP cała reszta ugrupowań prawicowych wyglądała mizernie, toteż nic dziwnego, że wszyscy skorzystali z oferty Krzaklewskiego, który proponował im bardziej partnerskie traktowanie niż wodzowska formacja byłego premiera, w dodatku ze skrajnie podejrzliwym Antonim Macierewiczem jako prawą ręką Olszewskiego.

Lider Solidarności wybrał właściwy moment na zjednoczenie prawicy. Pół roku po wyborczej klęsce Lecha Wałęsy z Aleksandrem Kwaśniewskim i w sytuacji, gdy zwycięska lewica otrząsnęła się po wewnętrznym kryzysie wywołanym oskarżeniem premiera Józefa Oleksego o szpiegostwo na rzecz Rosji. Nowy rząd Włodzimierza Cimoszewicza miał stabilne poparcie koalicji SLD-PSL, która w dodatku zmierzała do uchwalenia nowej ustawy zasadniczej w ramach „koalicji konstytucyjnej” z Unią Wolności i Unią Pracy. Dla wszystkich było oczywiste, że jeśli siły prawicowe nie zjednoczą się, to wybory parlamentarne jesienią 1997 r. przyniosą kolejny sukces lewicy. Wszak SLD i PSL zawdzięczały triumf wyborczy z 1993 r. skrajnemu rozbiciu ugrupowań wywodzących się z Solidarności, z których większość nawet nie przekroczyła pięcioprocentowego progu wprowadzonego do nowej ordynacji.

8 czerwca 1996 r. dokonało się zjednoczenie polskiej prawicy.

Żadne ugrupowanie z tych, które 8 czerwca 1996 r. wraz z Solidarnością podpisały deklarację założycielską AWS, nie przetrwało do dzisiaj. Dominowały zresztą wśród nich partie niewielkie, zwane kanapowymi, których potencjału nie sposób było zweryfikować. Marian Krzaklewski podjął jednak taką próbę i stworzył specjalny program komputerowy (co wówczas dla większości społeczeństwa brzmiało jak czarna magia), by przydzielić poszczególnym członkom sojuszu pozycję w Radzie Krajowej AWS. Najwyżej – na 12 pkt – „wyceniono” Porozumienie Centrum i Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, 10 pkt dostała Konfederacja Polski Niepodległej – Obóz Patriotyczny Adama Słomki, 9 pkt – Polska Federacja Stowarzyszeń Rodzin Katolickich, po 8 pkt – Ruch Stu i Stronnictwo Konserwatywno-Ludowe, 7 pkt – Konfederacja Polski Niepodległej Leszka Moczulskiego, 6 – PSL-Porozumienie Ludowe, po 5 – Partia Chrześcijańskich Demokratów i Liga Krajowa, po 4 – Ruch dla Rzeczypospolitej – Obóz Patriotyczny, Instytut Lecha Wałęsy i Ruch „Solidarni w Wyborach”. Pozostałe kilkanaście podmiotów dostało 3, 2 lub tylko 1 pkt, co miało znaczenie wyłącznie symboliczne.

Pospolite ruszenie

Trzeba jednak przyznać, że Krzaklewskiemu bardzo zależało na zgromadzeniu w szeregach AWS jak najszerszego spektrum politycznego, w dodatku z pełnym poszanowaniem tożsamości wszystkich ugrupowań. Miało to wyglądać jak szlacheckie pospolite ruszenie – i rzeczywiście takie było: wszyscy przeciw rządzącej „komunie”. Krzaklewski najwyraźniej pozazdrościł poprzednikowi, Wałęsie, dziejowej roli patrona listy wyborczej, która w czerwcu 1989 r. pokonała PZPR. Im więcej organizacji i środowisk, nawet mikroskopijnych, przyłączało się do AWS, tym dla lidera Solidarności było lepiej. Zbliżało go to do upragnionego zwycięstwa, a mniejszym partnerom dawało szansę powrotu do parlamentu.

W październiku 1996 r. wybrano Zespół Koordynacyjny AWS, którego skład odzwierciedlał układ sił w Akcji. Przewodniczącym został rzecz jasna Krzaklewski, a jego zastępca i zarazem przewodniczący Regionu Ziemi Łódzkiej Solidarności Janusz Tomaszewski znalazł

eprasa.pl 3eb4cd8e4c



Po klęsce w wyborach prezydenckich z 2000 r. Krzaklewski zaczął wycofywać się z życia publicznego. Władzę w AWS przekazał Jerzemu Buzkowi, oficjalnie 10 stycznia 2001 r. w Sejmie. Nz. z wicemarszałkiem Stanisławem Zającem i Janem Rokitą.

się wśród czterech wiceprzewodniczących AWS, choć faktycznie to on szybko stał się kluczową postacią w tym sojuszu, zostając pełnomocnikiem komitetu wyborczego AWS. Pozostałymi wiceprzewodniczącymi zostali: krakowski lekarz, działacz antyaborcyjny i szef Polskiej Federacji Stowarzyszeń Rodzin Katolickich Kazimierz Kapera, ówczesny prezes ZChN Marian Piłka oraz przewodniczący KPN-OP Adam Słomka, który jeszcze przed wyborami skutecznie wyeliminował z list wyborczych konkurencyjny KPN Leszka Moczulskiego (na początku 1996 r. doszło w tej partii do rozłamu, w wyniku którego większość posłów KPN pod wodzą Słomki opuściła Moczulskiego i jego zięcia Krzysztofa Króla).

W Zespole Koordynacyjnym znalazło się jeszcze kilku innych przedstawicieli NSZZ Solidarność: sekretarz Komisji Krajowej Stanisław Alot, przewodniczący senackiego klubu Solidarności Marcin Tyrna, a także przewodniczący największych regionalnych struktur związku – Maciej Jankowski z Regionu Mazowsze, Marek Kempski z Regionu Śląsko-Dąbrowskiego, Jacek Rybicki z Regionu Gdańskiego, Andrzej Szkaradek z Regionu Małopolska, Tomasz Wójcik z Regionu Dolny Śląsk.

Ponadto Zespół Koordynacyjny AWS zasilili tacy politycy jak Andrzej Anusz, lider ugrupowania Nowa Polska, niegdyś poseł PC, potem organizator kampanii prezydenckiej Hanny Gronkiewicz-Waltz, prezes Ruchu Stu Czesław Bielecki, były szef kancelarii prezydenta Wałęsy Stanisław Iwanicki, prezes Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego Jacek Janiszewski, prezes PSL-Porozumienie Ludowe Gabriel Janowski (obaj byli po kolei ministrami rolnictwa w rządzie Hanny Sochockiej), przewodniczący PChD Paweł Łączkowski (były wicepremier u boku Suchockiej), lider RdR-OP Romuald Szeremietiew (były wiceminister obrony w rządzie Olszewskiego), były prezydent Częstochowy Tadeusz Wrona, przewodniczący Ligi Krajowej, skupiającej prawicowych samorządowców. Najmłodszym członkiem Zespołu Koordynacyjnego był 22-letni wówczas student warszawskiej SGH, przewodniczący Niezależnego Zrzeszenia Studentów Adam Bielan, który stanął na czele Młodzieżowego Komitetu AWS.

Nietrudno zauważyć, że w tym elitarnym gremium kierowniczym zabrakło przedstawiciela Porozumienia Centrum. Stało się tak, mimo że prezes tej partii Jarosław Kaczyński, ostro wówczas konkurujący z Janem Olszewskim, od początku gorliwie włączył się w tworzenie Akcji i nazajutrz po podpisaniu deklaracji z 8 czerwca 1996 r. PC jako pierwsze ją ratyfikowało, dodając nawet do swojej nazwy skrót AWS. Kaczyński jednak już wtedy miał na polskiej prawicy wyrobioną opinię pieniacza i intryganta, wobec czego mniejsze ugrupowania skupione wokół Tomaszewskiego – nazywane nieoficjalnie „spółdzielnią" – najpierw nie dopuściły do wejścia lidera PC w skład Zespołu Koordynacyjnego, a potem zablokowały jego start z list AWS do Sejmu, mimo że wszyscy inni działacze PC miejsca na listach dostali i kilkunastu, m.in. wiceprezes partii Ludwik Dorn, nawet znalazło się w parlamencie.

Ostatecznie Kaczyński też wszedł do Sejmu, ale z listy ROP, gdyż Olszewski łaskawie udostępnił mu drugie miejsce na liście warszawskiej (zaraz po sobie), wcześniej zarezerwowane dla sędziwego działacza niepodległościowego Wojciecha Ziembińskiego. Pojawienie się znienawidzonego Kaczyńskiego na liście ROP wywołało ostry konflikt w tej partii, a największym krytykiem decyzji Olszewskiego okazał się… Antoni Macierewicz.

Listy niezgody

Układanie list wyborczych w 1997 r. ujawniło skalę wewnętrznego skonfliktowania prawicy, wynikającego nie tylko z historycznych zaszłości między liderami, ale też z lokalnych układów. Zasadniczy zrąb list wyborczych tworzono bowiem na szczeblu wojewódzkim, a warto pamiętać, że Polska dzieliła się wówczas na 49 województw (jeszcze więcej było okręgów wyborczych do Sejmu – 52, gdyż osobne okręgi stanowiły Warszawa i województwo warszawskie oraz Katowice, Gliwice i Sosnowiec).

Ostateczne decyzje personalne podejmował jednak Krajowy Zespół Elekcyjny, czyli faktycznie Krzaklewski

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

z Tomaszewskim, którzy potrafili na wielu listach okręgowych nieoczekiwanie dopisać kandydatów „przywiezionych w teczce", których wojewódzkie rady AWS wcześniej nie brały pod uwagę. W ten sposób np. na liście warszawskiej znalazł się lider Ligi Republikańskiej Mariusz Kamiński, na podwarszawskiej – czołowy publicysta katolicki Jan Maria Jackowski, na radomskiej – Romuald Szeremietiew, na suwalskiej – Jacek Dębski, późniejszy minister sportu, zastrzelony w wyniku porachunków gangsterskich, a w wielu innych okręgach zostali wstawieni mało znani działacze przykościelni, których promował o. Tadeusz Rydzyk. Dyrektor Radia Maryja szybko bowiem zorientował się, że dzięki układowi z Krzaklewskim może zyskać własną frakcję sejmową w zamian za poparcie AWS na falach swojej rozgłośni.

Tym, co połączyło ich wszystkich, był antykomunizm, czyli przemożna chęć odebrania władzy „postkomunistom" z Kwaśniewskim, Cimoszewiczem, Oleksym i Millerem na czele. W straszeniu „postkomunizmem" celował zwłaszcza Marian Krzaklewski, który w przemówieniu na konwencji wyborczej w Radomiu 29 czerwca 1997 r. apelował: „Stwórzmy jedną, silną formację, która potrafi zrównoważyć rosnące wpływy postkomuny. Formację, która zagwarantuje prawdziwy pluralizm, pełną, rzeczywistą demokrację. Nie pozwólmy na to, aby Polską zawładnęła wąska, uprzywilejowana grupa nomenklaturowej oligarchii. (…) Tylko tak powstrzymamy arogancki marsz postkomuny. Czy chcemy, by postkomuniści przez kolejne lata wstrzymywali nieodzowne reformy prowadzące Polskę do nowoczesności?".

Trzeba przyznać, że w kampanii przed wyborami z 1997 r. wszystko sprzyjało prawicy. Między 31 maja a 10 czerwca odbyła się kolejna pielgrzymka Jana Pawła II do Polski i masowe papieskie msze stały się znakomitą okazją do mobilizacji przykościelnego elektoratu. A zaraz po wyjeździe papieża spadła na zachodnią część kraju „powódź tysiąclecia", którą prawica wykorzystała do krytyki rzekomej nieudolności rządu. Pomogła w tym niefortunna wypowiedź premiera Cimoszewicza, że warto się ubezpieczać przed skutkami takich katastrof.

Rezultatem kampanii, w której wszyscy (nawet koalicyjne PSL) atakowali rządzącą lewicę, były wyniki wyborów z 21 września 1997 r. AWS zajęła pierwsze miejsce, zdobywając niemal 34% głosów (prawie 4,5 mln wyborców), co dało 201 miejsc w Sejmie i 51 w Senacie. SLD dostał 27% głosów (3,5 mln), czyli 164 mandaty sejmowe i 28 senackich. Do parlamentu weszły jeszcze UW (13%, 60 posłów i 8 senatorów), PSL (7%, 27 posłów i 3 senatorów) i ROP (5,5%, 6 posłów i 5 senatorów).

Nieznany Buzek

Nieoczekiwanie słaby wynik partii Olszewskiego był z jednej strony skutkiem ekspansji propagandowej AWS, zwłaszcza na terenie kościelnym, a z drugiej – wewnętrznych sporów w ROP, które narosły zarówno na tle personalnym (Antoni Macierewicz kontra Wojciech Włodarczyk, były szef Urzędu Rady Ministrów w rządzie Olszewskiego, którego popierał lider ugrupowania), jak i ideowym (wstrząs, jakim dla narodowo-katolickiego skrzydła ROP stało się ujawnienie masońskiej przeszłości Olszewskiego). Zdecydowana większość głosów zwolenników prawicy padła więc na formację Krzaklewskiego, co dało jej wyborczą premię, nie na tyle jednak dużą, by samodzielnie rządzić. Wbrew oporom dużej części prawicowego elektoratu AWS utworzyła koalicję rządową z Unią Wolności i w rezultacie w nowym rządzie zasiedli znienawidzeni na prawicy liderzy UW: Leszek Balcerowicz jako wicepremier i minister finansów oraz Bronisław Geremek jako minister spraw zagranicznych.

Premierem tego rządu nie został jednak Marian Krzaklewski, choć wydawało się to naturalne i zgodne z parlamentarną logiką. Ale przewodniczący Solidarności miał już wtedy kolejny cel: wygranie wyborów prezydenckich w 2000 r., a kierowanie rządem zaszkodziłoby jego popularności. Na czele gabinetu stanął więc nieznany dotąd na scenie politycznej Jerzy Buzek, profesor inżynierii chemicznej z Politechniki Śląskiej w Gliwicach, gdzie przed laty poznał go Krzaklewski. To właśnie Buzek wziął na siebie odpowiedzialność za wprowadzenie czterech „wielkich reform": emerytalnej, zdrowotnej, edukacyjnej i administracyjnej, które wywróciły do góry nogami życie społeczeństwa. Z owych reform do dziś pozostała jedynie ta ostatnia, czyli podział Polski na duże województwa i powiaty, natomiast o pozostałych nikt nie pamięta, bo zostały skasowane przez kolejne rządy – lewicowe i prawicowe.

Najtrwalszym „osiągnięciem" czteroletnich rządów AWS okazał się jednak Instytut Pamięci Narodowej, utworzony na podstawie ustawy z grudnia 1998 r., zawetowanej co prawda przez prezydenta Kwaśniewskiego, ale jego weto zostało odrzucone przez trójkoalicję AWS-UW-PSL. W zamierzeniu pomysłodawców IPN miał służyć przede wszystkim lustracji, do której ugrupowanie Krzaklewskiego od początku przywiązywało ogromną wagę. Już w przedwyborczej Karcie AWS, czyli swoistym statucie, zapisano, że kandydaci do parlamentu „złożą oświadczenie, że nie byli pracownikami lub współpracownikami PRL-owskich służb specjalnych: SB, wywiadu, kontrwywiadu, wojskowych służb specjalnych, wywiadu WOP oraz nie są współpracownikami Wojskowych Służb Informacyjnych, Urzędu Ochrony Państwa". A po wyborach „poddadzą się dobrowolnie procedurze lustracyjnej", a jeśli się okaże, że współpracowali z którąś z tych służb, złożą mandat.

Na ironię zakrawa fakt, że dwa lata po wygranych wyborach właśnie na podstawie oskarżeń lustracyjnych odwołano z rządu kluczową postać

Śmiertelne ciosy zadali AWS jej uczestnicy, którzy od początku 2001 r. opuszczali ją, tworząc nowe ugrupowania: PO, LPR oraz PiS.

eprasa.pl 3eb4cd8e4c



I Zgromadzenie Krajowe Ruchu Społecznego AWS. Nz. Jacek Rybicki, Janusz Tomaszewski i Marian Krzaklewski. Gdańsk, 17 stycznia 1999 r.

AWS, wicepremiera oraz ministra spraw wewnętrznych i administracji Janusza Tomaszewskiego. Nie minęły kolejne dwa lata, a sąd lustracyjny oczyścił Tomaszewskiego z zarzutów, ale wtedy jego kariera polityczna była już skończona, dawno też się rozpadła żmudnie tkana sieć wpływów politycznych i biznesowych.

Gorsze miernoty

Sama AWS i rząd Buzka nie okazały się zresztą dużo trwalsze. Początek końca tej formacji przyniósł rok 2000, gdy koalicję rządową opuściła UW, a Krzaklewski kompromitująco przegrał wybory prezydenckie – nie tylko z prezydentem Kwaśniewskim (54% w pierwszej turze), ale nawet z bezpartyjnym Andrzejem Olechowskim (17%). 2,7 mln głosów, czyli 15,5%, które otrzymał wówczas lider AWS, w ciągu roku stopniało do zaledwie 700 tys. – bo tylu Polaków zaufało Akcji w kolejnych wyborach parlamentarnych z września 2001 r. Stanowiło to 5,6% głosów, jednak AWS nie weszła już do Sejmu, bo startowała jako koalicja wyborcza, dla której próg wynosił 8%.

Dlaczego AWS tak marnie skończyła? Z jednej strony, społeczeństwo wystawiło jej rachunek za cztery lata rządów: nie tylko fatalnie przygotowane reformy, ale też nieprzemyślaną politykę gospodarczą, której skutki Polacy boleśnie odczuwali, a także za coraz liczniejsze afery i skandale z udziałem polityków prawicy, którzy mieli reprezentować wyższe standardy moralne niż „komuchy". Z drugiej strony, śmiertelne ciosy formacji Krzaklewskiego zadali sami jej uczestnicy, którzy od początku 2001 r. gremialnie ją opuszczali, tworząc nowe ugrupowania: Platformę Obywatelską (politycy SKL pod wodzą Jana Rokity, Bronisława Komorowskiego i marszałka Sejmu Macieja Płażyńskiego), Ligę Polskich Rodzin (zbudowaną pod patronatem o. Rydzyka) oraz Prawo i Sprawiedliwość.

Sukces tej ostatniej partii stanowi klasyczną ilustrację roli przypadku w historii. Po wyjściu UW z rządu premier Buzek powierzył stanowisko ministra sprawiedliwości bezpartyjnemu wówczas Lechowi Kaczyńskiemu, z którym większość elity AWS była zaprzyjaźniona od czasów, gdy działał w Solidarności. Charakterologicznie nowy minister stanowił przeciwieństwo swojego brata, ale rządowy awans i popularność społeczna Lecha jako „twardego szeryfa" umożliwiły Jarosławowi zbudowanie nowej partii w miejsce rozwiązanego PC. Efektem było uzyskanie w 2001 r. przez PiS niemal dwukrotnie wyższego wyniku niż AWS i wprowadzenie 44 posłów, z których niemałą część stanowili uciekinierzy z klubu Akcji, m.in. Adam Bielan, Michał Kamiński, Mariusz Kamiński, Kazimierz Marcinkiewicz, Marian Piłka, Wiesław Walendziak i Kazimierz Michał Ujazdowski.

Dziś większości z tych ludzi nie ma już w PiS, za to wstąpiło do partii wielu lokalnych działaczy AWS, którzy po 2005 r. uznali przywództwo Jarosława Kaczyńskiego, co umożliwiło im pozostanie w polityce, a nawet awans do ligi ogólnopolskiej. Jednak różnica między PiS i AWS jest zasadnicza. O ile formacja Krzaklewskiego była wielobarwnym, rozdyskutowanym i trudno sterowalnym sojuszem rozmaitych środowisk, których tożsamość szanowano, o tyle partia Kaczyńskiego została zbudowana na wzór stalinowski – z absolutną władzą przywódcy, opartą na strachu i donosicielstwie, co musiało prowadzić do eliminacji wszystkich jednostek samodzielnie myślących i promowania coraz gorszych miernot.

Trzeba też przyznać, że przy wszystkich błędach AWS nigdy nie poszła w stronę nacjonalistyczną i antyeuropejską, co miały jej za złe środowiska związane z Radiem Maryja (grupa posłów skupiona wokół Jana Łopuszańskiego, która opuściła klub Akcji już w 1998 r.). Wszak rząd Buzka nie tylko wprowadził Polskę do NATO, ale też rozpoczął negocjacje akcesyjne z UE, dokończone przez ekipę Leszka Millera. Za symbol swoistej otwartości AWS można uznać fakt, że premierem był wówczas śląski luteranin (który po latach zostanie przewodniczącym Parlamentu Europejskiego z ramienia unijnej chadecji), a stanowiska szefa dyplomacji i przewodniczącego sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych zajmowali ateiści pochodzenia żydowskiego, Bronisław Geremek i Czesław Bielecki. Czy szykująca się dziś do przejęcia władzy pisowska i konfederacka prawica ma jeszcze cokolwiek wspólnego z tamtą sprzed 30 lat?

Paweł Siergiejczyk

FOT. WOJTEK STEIN/REPORTER, ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

PiS robi zamieszanie z orderem, którego nadanie popierało

Naprawdę nie rozumiem, dlaczego PiS robi teraz w Polsce ten cały harmider związany z orderem nadanym Zełenskiemu przez prezydenta Dudę. Przecież prezydent Duda był z PiS. To, że zaraz po wyborze na prezydenta RP wypisał się z partii, niczego nie zmieniło. Przecież gdyby wypisał się na serio, PiS nie zostawiłoby na nim suchej nitki, że o poparciu na drugą kadencję nie wspomnę. Zamiast więc teraz się kłócić, czy prezydentowi Ukrainy – który musi współpracować z rodakami momentami zniekształcającymi historię UPA – odbierać order czy nie, powinniśmy się zastanowić, jak to się stało, że on ten order w ogóle od nas dostał.

Należy przyjrzeć się z uwagą decyzji byłego prezydenta Andrzeja Dudy, który odznaczył Zełenskiego Orderem Orła Białego 5 kwietnia 2023 r.

„Nie ma wątpliwości, że jest Pan, Panie Prezydencie, jesteś Wołodymirze, człowiekiem absolutnie wyjątkowym – mówił w trakcie uroczystości nadania orderu prezydent Duda. – Obserwując twoją służbę dla ojczyzny, trudno ukryć łzy wzruszenia”. To tekst, który znalazłem na oficjalnej stronie Kancelarii Prezydenta RP. Czy prezydent Duda, wypowiadając te słowa, ukrył łzy wzruszenia czy nie, nie napisano. „Nie porzuciłeś ani Ukrainy, ani swoich rodaków, obrońców ojczyzny w najtrudniejszej sytuacji”, dodawał polski prezydent.

Czytając słowa Andrzeja Dudy o Zełenskim, pomyślałem, że należałoby go zapytać, jakich to niezwykłych czynów dokonał prezydent Ukrainy na rzecz naszej ojczyzny. Przypomnę, że Order Orła Białego powinien być przyznawany za naprawdę wyróżniającą się na tle innych działalność na rzecz Polski. To, że przywódca jakiegoś kraju działa niezwykle dobrze na rzecz swojej ojczyzny, nie jest wystarczające, by dostał od nas Order Orła Białego.

Jedną z najważniejszych spraw, które od lat ciążą na stosunkach między Polakami a Ukraińcami, jest ekshumacja szczątków ofiar rzezi wołyńskiej. Na razie kolejne rządy Ukrainy nie przywiązują do tej kwestii zbyt wiele wagi. Czyżby prezydent Duda, odznaczając w 2023 r. prezydenta Ukrainy najwyższym polskim orderem, o tym nie wiedział?

Prezydent Zełenski również nie wykazał się na razie jakąś wybitną chęcią pomocy Polsce w ekshumacji ofiar tamtych mordów. Zaprzysiężony na prezydenta Ukrainy został już 20 maja 2019 r., a dopiero 24 kwietnia 2025 r. rozpoczęły się na Ukrainie – i to tylko w ograniczonej liczbie miejsc – oficjalne prace poszukiwawczo-ekshumacyjne polskich ofiar rzezi wołyńskiej. Wcześniej rządy Ukrainy, także rząd Zełenskiego, odmawiały wydania zgody na takie działania.

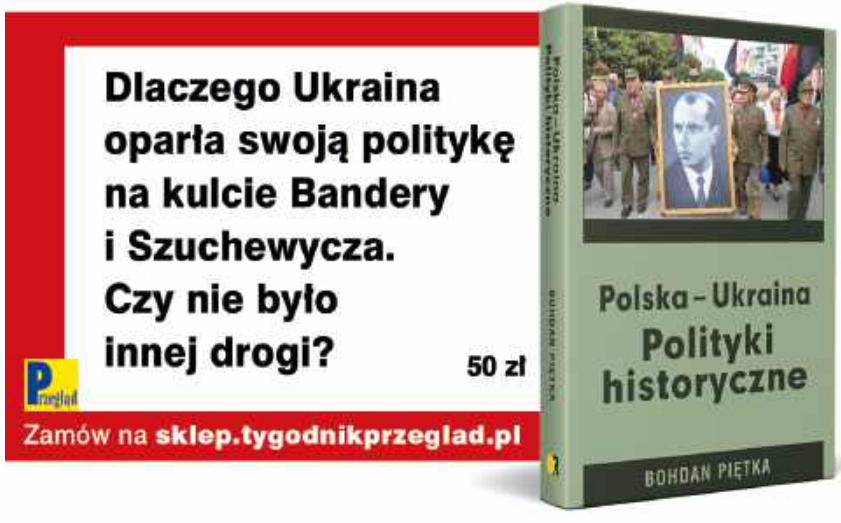
Uważam, że ludzie, którzy rządzą naszym krajem po 1989 r., zbyt szybko i zbyt wiele dają innym krajom, nie starając się, by Polska dostała coś w zamian. Przyznanie przez prezydenta Dudę Orderu Orła Białego prezydentowi Zełenskiemu było zdecydowanie przedwczesne. Jednak z tego, co pamiętam, w 2023 r. żadna opcja polityczna nie była przeciwna temu posunięciu prezydenta RP.

Co ciekawe, prezydent Andrzej Duda dostał najwyższe ukraińskie odznaczenie, ale dopiero 28 czerwca 2025 r., czyli aż dwa lata po tym, jak sam odznaczył Zełenskiego.

Patrząc pragmatycznie na to całe zamieszanie, uważam za bezsensowne rozważanie odebrania Orderu Orła Białego prezydentowi Zełenskiemu. Skoro polski prezydent już dał mu ten order – nawet bez konkretnych powodów – to i odbieranie go nie ma najmniejszego sensu.

Śmieszą mnie i wręcz żenują głosy polityków z PiS atakujących teraz Zełenskiego. Przypomnę członkom PiS nasze polskie rozsądne powiedzenie: „Widziały gały, co brały”. Uważam za to, że powinniśmy zmienić proces przyznawania tego odznaczenia, bo obecny nie funkcjonuje za dobrze. Zanim odznaczymy kogoś czymś tak ważnym jak Order Orła Białego, powinniśmy naprawdę dokładnie się zastanowić, bo odbierając raz dane odznaczenie, robimy z Polski kraj niepoważny.

Julian Stałgo



eprasa.pl 3eb4cd8e4c



Afryka 30 kilometrów od Warszawy

Są festiwale, na które jedzie się dla line-upu. Są też takie, na które wraca się dla ludzi, atmosfery i poczucia, że przez kilka dni świat może działać trochę inaczej. African Beats Festival należy właśnie do tej drugiej kategorii. W dniach 7-9 sierpnia 2026 r. w Kawęczynie pod Warszawą odbędzie się szósta edycja największego w Polsce festiwalu promującego kulturę Afryki.

To niezależne wydarzenie, organizowane przez Fundację Perspektywy z Sopotu, od początku miało ambicję większą niż tylko prezentowanie muzyki. Jego twórca, Jakub Malinowski, mówi o African Beats jak o projekcie społecznym, który ma budować otwartość, wrażliwość kulturową i dialog między ludźmi. W czasach, gdy do Europy coraz częściej wracają lęki, podziały i nacjonalistyczne hasła, festiwal w Kawęczynie proponuje coś prostego, ale bardzo potrzebnego: wspólne słuchanie, taniec, rozmowę i spotkanie.

Miejsce też ma znaczenie. African Beats odbywa się na terenie Dworku pod Wiechą w podwarszawskiej wsi Kawęczyn, ok. 30 km od stolicy. To zielona, rozległa przestrzeń pośród pól i lasów, z dala od miejskiego hałasu. Festiwal nie przypomina wielkich, anonimowych imprez masowych. Jest rodzinny, bezpieczny i kameralny, choć z roku na rok przyciąga coraz większą publiczność. Właśnie ta bliskość jest jego największą siłą. Artyści, uczestnicy, podróżnicy, prowadzący warsztaty i organizatorzy funkcjonują tu w jednej wspólnej przestrzeni.

Program muzyczny edycji 2026 pokazuje Afrykę w wielu odcieniach. Gwiazdą pierwszego, piątkowego wieczoru festiwalu będzie Fatoumata Diawara z Mali, jedna z najważniejszych współczesnych artystek afrykańskich, łącząca tradycję Afryki Zachodniej z bluesem, rockiem, funkiem i nowoczesnym popem. Jej muzyka, śpiewana głównie w języku bambara, porusza tematy wolności, godności kobiet, migracji i tożsamości. Na African Beats artystka zaprezentuje materiał z nowego albumu „Massa", ale nie zabraknie też utworów z wcześniejszych płyt.

Sobota należeć będzie m.in. do Elidy Almeidy z Republiki Zielonego Przylądka, nazywanej jedną z najciekawszych artystek młodego pokolenia tamtejszej sceny. Jej twórczość wyrasta z lokalnej tradycji, a jednocześnie brzmi bardzo współcześnie. Tego samego dnia wystąpi również Tamikrest, jeden z najważniejszych zespołów saharyjskiego rocka. Jego muzyka, zakorzeniona w kulturze Tuaregów, łączy pustynny blues, gitarową energię i opowieści o wolności, wygnaniu oraz tęsknocie za własnym miejscem na świecie.

Na scenie pojawią się także Kasiva Mutua z Kenii, Kanazoé Orkestra z Burkina Faso, YEKO z Francji, Rasm Almashan, P-Pentatonique feat. Queen Rima z Gwinei i grupa Moribaya. To line-up, który pokazuje, że muzyka afrykańska nie jest muzealnym eksponatem. Żyje, zmienia się, miesza tradycję z elektroniką, jazzem, funkiem, rockiem, afro-beatem i amapiano. African Beats opowiada więc nie tylko o korzeniach, ale też o współczesności i przyszłości kontynentu.

Festiwal to jednak znacznie więcej niż tylko koncerty. W programie znajdą się warsztaty bębniarskie, taneczne, wokalne, joga, African Ecstatic Dance, strefa DJ-ska, kino festiwalowe, rynek afrykański, strefa ognia, pole namiotowe i strefa dla dzieci. Ważną częścią wydarzenia są spotkania podróżnicze, podczas których będzie można posłuchać opowieści znanych podróżników. Spotkamy się m.in. z Tadeuszem Biedzkim – jedynym Polakiem, który dotarł do źródła Nigru, czy Moniką Witkowską – drugą Polką, po Wandzie Rutkiewicz, która stanęła na K2.

African Beats Festival wyrósł z pasji do muzyki, ale z czasem stał się czymś większym: miejscem spotkania kultur, ludzi i historii. Dla jednych będzie okazją, by po raz pierwszy usłyszeć na żywo dźwięk kory, balafonu czy djembe. Dla drugich – sposobem na rodzinny weekend blisko natury. Dla innych przypomnieniem, że różnorodność nie jest zagrożeniem, tylko źródłem energii, wyobraźni i wspólnoty.

W drugi weekend sierpnia Afryka znów zabrzmi w Kawęczynie. Warto tam być nie tylko po to, żeby posłuchać wielkich artystów, ale i po to, żeby przez chwilę poczuć, jak może wyglądać świat bardziej otwarty, kolorowy i rytmiczny.

African Beats Festival 2026
Dworek pod Wiechą, Kawęczyn k. Warszawy
7-9 sierpnia
Bilety: www.africanbeats.pl

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 3eb4cd8e4c



"Hamlet" w reżyserii Kamila Białaszka w Teatrze Powszechnym w Warszawie.

Powrót do maczugi

Kamil Białaszek za pomocą „Hamleta" demaskuje pokolenie Z

Tomasz Miłkowski

Stanisław Wyspiański, projektując inscenizację „Hamleta", napisał znamienne słowa: „W Polsce zagadką »Hamleta« jest to: co jest w Polsce – do myślenia". To zdanie stało się kluczem interpretacyjnym dla Andrzeja Żurowskiego, który, uznawszy, że Szekspir jest najbardziej polskim dramaturgiem, głosił, iż w Polsce zagadką Szekspira jest to, co jest w Polsce do myślenia. W ten sposób, rozszerzając tezę Wyspiańskiego, dowodził, jak w kolejnych inscenizacjach, szczególnie w XX w. i dzisiaj, odzwierciedlają się polskie dylematy, rozterki, dążenia.

I rzeczywiście, kiedy śledzi się fale zainteresowania polskich reżyserów dziełami Szekspira, nietrudno zauważyć, że przypływy (i odpływy) wzięcia niektórych tytułów mówią coś więcej o świecie społecznym niż sam wzrost zaciekawienia takim czy innym dramatem. I to niezależnie od intencji twórców. 20 lat temu tragedią, która wyszła na czoło inscenizacji szekspirowskich, okazał się „Makbet", swego rodzaju komentarz zawieruchy dziejowej, jaką była polska transformacja ustrojowa.

Rzecz jasna, był to komentarz symboliczny, a nie bezpośredni. Świat w szekspirowskim „Makbecie" bowiem to koszmar absurdu. To świat, w którym z dnia na dzień można się stać nie tylko mordercą, ale i człowiekiem o rozdwojonym języku: oficjalnym, reprezentowanym wobec innych, i rzeczywistym, z jasno odczuwanym poczuciem moralnej ohydy sytuacji. Jeśli więc tylu naraz polskich artystów sięgało wówczas po tę tragedię, w przyrodzie społecznej musiało być coś takiego, co gorąco rymowało się z materią sztuki. Rozmaicie te diagnozy odmierzali 20 lat temu Kleczewska, Wajda, Jarzyna i Kruszczyński, w jednym wszelako byli zgodni: świat zszedł na psy i nie ma nadziei.

Minęły lata i teraz, w odmienionym świecie, kiedy wróg stoi niemal u bram, rządzi na scenach „Hamlet". Grany w obu teatrach narodowych, w Warszawie i Krakowie, na Śląsku (nawet po śląsku) i w warszawskim Powszechnym. W reżyserii twórców kilku pokoleń, od Jana Englerta żegnającego się „Hamletem" z Teatrem Narodowym, w którym przez wiele lat sprawował dyrekcję artystyczną, po Kamila Białaszka, niedawnego debiutanta, cudowne dziecko polskiej reżyserii, który wprawił w zdumienie swoim rapowanym „Panem Tadeuszem".

eprasa.pl 3eb4cd8e4c



Rozmaite to spektakle, ale łączy Hamletów zagubienie we współczesnym świecie. O ile pochód Makbetów przez polskie sceny dwie dekady temu znaczył ostateczną zmianę pokoleń i ustrojów, o tyle Hamleci dzisiejsi stoją na rozdrożu niezdolni do działania. Przy czym Hamlet ze Starego Teatru to tak naprawdę Hamlet wyemancypowany – bohater sztuki Pawła Demirskiego „Mam coś w głębi nie do przedstawienia. HAMLET", w której autor wykorzystał imiona postaci, niektóre ich cechy i relacje oraz fragment tragedii Szekspira na prawach cytatu. Jest to więc nie tyle adaptacja, ile tzw. szekspiriada, czyli utwór inspirowany dziełem Szekspira.

Najradykalniejszą adaptacją jest „Hamlet" Kamila Białaszka w Teatrze Powszechnym. Prawdę powiedziawszy, to bardziej „Hamlet" Białaszka niż Szekspira. Tragedia Szekspira służy bowiem młodemu reżyserowi jako szkielet (w szafie?), na którym zawiesza swoją własną historię. Fabularnie na pozór wszystko się zgadza, bo rzecz ukazuje losy tytułowego bohatera i zdarzenia na duńskim dworze zgodnie z planem Szekspira: od pogrzebu i wesela i pojawienia się ducha nieżyjącego ojca aż po finałowy pojedynek z Laertesem, gdy padną obaj przeciwnicy, domykając opowieść o królewiczu, który się korony nie doczekał.

To jednak zaledwie rusztowanie, które Białaszek zabudowuje po swojemu. Z jednej strony, usuwa niemal wszystkie (albo infantylizuje) monologi z tragedii Szekspira, pozbawiając nie tylko tytułowego bohatera szansy przedstawienia swoich duchowych problemów. Z drugiej, dopisuje monologi postaciom kobiecym – w tym kluczowy monolog Gertrudzie, w którym przeprowadza ona frontalny atak na maminsynków z pokolenia Z, niewiele robiących i ciągnących zyski z sytuacji zaopiekowanych dzieciaków.

Białaszek tłumaczy, że usuwa z „Hamleta" monologi, bo już im nie wierzy, bo nie pasują do naszych czasów. Ale przecież wstawia do scenariusza monologi własnego pióra (i to nieliche), czyli jednak w monologi wierzy, tylko w zupełnie inne.

Co więcej, dodaje do „Hamleta" prolog i epilog. Te dopisane fragmenty nadają inny sens tragedii. Twórca posługuje się autorytetem Szekspira, aby go sobie podporządkować i wprząc do własnych celów. Niegłupi pomysł i konsekwentnie przeprowadzony, nawet jeśli niejednemu filologowi flaki przy oglądaniu takiego „Hamleta" się przewracają.

Kiedy rozpoczyna się teatr w teatrze, a więc właściwy „Hamlet", widzom ukazuje się umieszczony w centrum na podwyższeniu osobliwy tron zbudowany z pisuarów zwróconych w cztery strony świata. Czyżby aluzja do toaletowych scenografii u Warlikowskiego? Przy jednym z pisuarów, tyłem do widowni zmaga się z oporną mikcją Klaudiusz (Arkadiusz Brykalski), najwyraźniej cierpiący na rozrost prostaty. Poza tą dolegliwością starzejących się mężczyzn Klaudiusz cierpi na niedostatek inteligencji, krwawe zapędy i inne paskudne cechy charakteru, które go nie różnią od zmarłego/zamordowanego brata.

Otoczenie króla także nie budzi sympatii. Poloniusz (Mateusz Łasowski) to przemocowy karierowicz, Horacjo (Michał Czachor) – oślizgły dworak. Laertes (Adam Szustak) – narkoman i wydrwigrosz, Rosencrantz (Andrzej Kłak) i Guildenstern (Grzegorz Falkowski) – usłużni donosiciele bez kręgosłupa. I wreszcie Hamlet (Antek Sztaba), niby to zbuntowany książę, a tak naprawdę wiodący wygodne życie młodzieniec bez ambicji, który o tyle demonstruje swoją niezależność, o ile nie zagraża ona jego wygodnej pozycji. Słowem – zastój. Marazm. Bylejakość. Tonące w barokowym przepychu nadmiarowych strojów i krociowych dochodów, które piętrzą się na całej scenie.

Do tego rozleniwionego świata wkradają się obrazy zaczerpnięte z internetu, jakieś przemarsze

Dzisiejsi Hamleci stoją na rozdrożu niezdolni do działania.

FOT. MAGDA HUECKEL (2)

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

i odgłosy walki, a niepokojący ton narasta, kiedy na dworze pojawiają się aktorzy – ich rytualne, tchnące autentyzmem widowisko, któremu przewodzi Aktor szaman (Mamadou Góo Bâ) – wymuszając inny bieg wydarzeń. Temu odmienionemu kierunkowi w pewnym sensie biernie poddaje się Hamlet. Antek Sztaba portretuje wyluzowanego przeciętniaka z dobrego domu, który rozpaskudzony dostatnim życiem zostaje zmuszony do zajęcia jakiegoś stanowiska wobec coraz wyraźniej rysującej się zbrodni stryja. Toteż nawet kluczowy dla tragedii monolog „Być albo nie być" wymrukuje podczas kąpieli w wannie z wyraźnym lekceważeniem i brakiem emocjonalnej więzi z jego treścią. To tylko puste frazesy, maskujące niezdolność do działania.

Na tle pozbawionego energii dworu wyróżniają się postacie kobiece, Gertruda i Ofelia. Zwłaszcza Królowa Gertruda (Anna Ilczuk), która okazuje się jedyną bohaterką panującą nad swoim losem i trzymającą władzę nad tym rozchwierutanym światem. Sekunduje jej duch Ofelii, bo Ofelie są dwie, a żywa Ofelia (Natalia Szczypka) niewiele się różni od dworzan, także pozbawiona empatii. Ale jej duch (Ewa Skibińska) jest inny, tkwi w nim siła, wola przemiany, groźna energia, która może przewrócić patriarchalny świat rozbestwionych mężczyzn.

Kiedy teatr w teatrze dobiega końca, w Elsynorze nie pojawia się Fortynbras, ale jeden z małpoludów w proroka przemieniony (Andrzej Kłak). To on przynosi niczym deus ex machina „dobrą" nowinę – nie ma żadnego złego finału, przeciwnie, ludzkość wraca do natury – rzecz ciekawa, ale podobne marzenie przyśniło się Krystianowi Lupie w „Capri". Cała historia cywilizacji dobiega kresu i wraca do natury, czuli wspólnoty pierwotnej, i być może tym razem zatrzyma się na maczudze. Okazało się bowiem, że korporacyjny raj nie zbawi człowieka, że przywłaszczenie większości dóbr przez garstkę oligarchów niczego dobrego nie wróży, trzeba więc zawrócić z błędnej drogi. Taka to historia.

Białaszek dokonał niezłej wolty, wyciągając z „Hamleta" wątek karlejącego dziedziczenia, które prowadzi do katastrofy. To opowieść o autodestrukcji, którą spowodował człowiek.

Cóż, można zatęsknić do tego, co reżyser w swoim „Hamlecie" pominął, choćby do bujnej sceny z aktorami (zastąpionej paroma złośliwościami pod adresem warszawskich konkurencyjnych teatrów), do zmarnowanej sceny z grabarzami, która zawsze bywa arcyzabawna, ale nie tym razem w wykonaniu zagubionych trampów, do wyrzuconych monologów, nawet do Fortynbrasa, złowieszczego posłańca politycznej i militarnej przemocy. Byłby to jednak „Hamlet" uczesany, a nie wywrotowy, prześmiewczy pamflet na własne pokolenie, jaki zafundował Kamil Białaszek.

Tomasz Miłkowski

WOLNOŚĆ-OBECNOŚĆ: Remigiusz Grzela z Nagrodą im. Karoliny Beylin

Zarząd Oddziału Warszawskiego przyznał w tym roku Nagrodę im. Karoliny Beylin Remigiuszowi Grzeli – jest on piątym zdobywcą tej najmłodszej nagrody Stowarzyszenia Dziennikarzy RP, ustanowionej z myślą o wyróżnianiu wybitnych dziennikarek i dziennikarzy z Warszawy i Mazowsza, szczególnie silnie związanych z regionem, miejscem pracy i aktywności.

Uroczystość wręczenia nagrody w warszawskim Domu Dziennikarza zgromadziła licznych przedstawicieli tego zawodu, przyjaciół i wielbicieli talentu znakomitego dziennikarza, mistrza sztuki wywiadu – obecna była m.in. Ewa Błaszczyk, kreująca tytułową rolę w jego monodramie „Oriana Fallaci", granym od dziewięciu sezonów w Teatrze Studio.

Remigiusz Grzela ma na koncie wiele błyskotliwych zbiorów wywiadów i biografii artystów, m.in. Kaliny Jędrusik i Stanisława Dygata czy Barbary Krafftówny. W jego książkach czuje się „zapach czasu". Autor nie ucieka od spraw trudnych ani zawikłanych, ale uchyla się od jakichkolwiek ocen. To istotny rys jego twórczości. Nie stawia się w roli sędziego, wymierzającego sprawiedliwość opisywanemu światu i ludziom. Nie dlatego, że nie ma poglądów – dość zerknąć na jego wpisy w mediach społecznościowych, by znikło najmniejsze podejrzenie, że unika



Nagrodę Remigiuszowi Grzeli wręczył Tomasz Miłkowski.

ujawniania swojego stanowiska. Ale też świadomie oddaje się pisarstwu z punktu widzenia „czułego narratora", jak to ujęła w swoim wykładzie noblowskim Olga Tokarczuk.

„Przypuszczam, że mianownikiem twórczości Remigiusza Grzeli – powiedział Tomasz Miłkowski, przewodniczący Oddziału Warszawskiego SDRP w laudacji – swoistym lepiszczem wielu jego zatrudnień i poszukiwań są idee wolności i obecności. To go napędza i otwiera na wciąż nowe, frapujące spotkania. A nam, czytelnikom, niesie satysfakcję".

Gratulacje Remigiuszowi Grzeli złożyli m.in. sekretarz generalny Zarządu Głównego SDRP Andrzej Maślankiewicz i prof. Artur Krajewski, doradca ministry kultury i dziedzictwa narodowego.

(tm)

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

KURTYNA W GÓRĘ

Prêt-à-porter

Spektakl o najsłynniejszym polskim projektancie Arkadiusie nie mógł powstać gdzie indziej. Na dużej scenie Teatru Jaracza w Łodzi, dawnej stolicy przemysłu włókienniczego, dziś zagłębiu dizajnu i mody, wzlot i upadek Arkadiusza Weremczuka pokazali Marcin Liber i Michał Kmiecik. I jak to bywa w przypadku tego duetu, moda i sam Arkadius stali się właściwie pretekstem. Rzecz rozgrywa się w efektownej, abstrakcyjnej przestrzeni (Mirek Kaczmarek) w której modowy wybieg przecina na pół blaszany kontener pełen ciuchów. Nawiedzają ten świat postacie realne oraz widma z przeszłości Arkadiusa i naszej pamięci zbiorowej, odziane w znakomite kostiumy Marii Mordarskiej. Wąsaty wuefista z podstawówki z lat 80. (brawurowy Mikołaj Chroboczek), któremu trzeba coś udowodnić; cwany badylarz, ojciec założyciel polskiego kapitalizmu, który ostatecznie oszuka projektanta (Mariusz Siudziński); ekscentryczka kolekcjonerka i przyjaciółka młodego artysty Isabella Blow (Katarzyna Cynke). Jest nawet Matka Boska (Natalia Klepacka) i Alexander McQueen (Mateusz Czwartosz). Najmniej chyba w tym spektaklu samego Arkadiusa (Paweł Paczesny), ale przecież to nie biografia, a i legendarny projektant pozostaje postacią tajemniczą.



To dobrze nam znana, lecz niezmiennie aktualna opowieść o bezlitosnym świecie blichtru i rozszalałej konsumpcji, pogoni za tym, co nowe i ekscytujące. Świecie wyzysku, pełnym ludzi pogubionych, gotowych na wszystko, byle przeżyć swoje pięć minut, w którym sztuka jest właściwie pretekstem. Gdzieś na jego marginesie egzystuje młody Projektant (Łukasz Stawowczyk), rozpaczliwie pragnący powtórzyć sukces Arka z Parczewa. Napisane jest to zgrabną, wyraźnie inspirowaną Demirskim frazą Kmiecika – dowcipne, bezpretensjonalne i świetnie zagrane.

Michał Centkowski

Michał Kmiecik, „Arkadius is dead", reżyseria Marcin Liber, Teatr im. Stefana Jaracza w Łodzi, premiera 30 maja 2026

NA EKRANACH



Ojczyzna,

reż. Paweł Pawlikowski, prod. Francja/Niemcy/Polska/Włochy, już w kinach

W nowym filmie Pawlikowski śledzi losy jednego z najważniejszych pisarzy XX w., Thomasa Manna (świetny Hanns Zischler). Zainspirował się historią Manna, opisaną w powieści „Czarodziej" Colma Tóibína, ale zekranizował tylko jej minimalną część, tworząc poniekąd własną wersję prawdy. Tej bowiem w „Ojczyźnie" znajdziemy znacznie mniej niż fikcji. Wiekowy Mann wybiera się z córką Eriką (zasługująca na wszystkie nagrody tego świata Sandra Hüller) w podróż po powojennych Niemczech. Ojciec i córka będą musieli się skonfrontować nie tylko z własną przeszłością, ale i z widmem nazizmu, które wciąż na nich czyha w najmniej spodziewanych miejscach. Można powiedzieć, że to trzecia część powojennego tryptyku, w którego skład wchodzą „Ida" oraz „Zimna wojna". Na ekranie pojawia się nawet Joanna Kulig, a sam film (tak jak poprzednie tytuły) powoli dobija do brzegu i majestatycznie prezentuje się w tonacji czarno-białej. To nie jest najlepszy Pawlikowski, ale fani kontemplacyjnego, wręcz akademickiego kina będą się tu czuli jak u siebie.

Jan Tracz

FESTIWAL

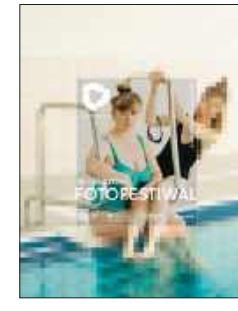


Jarocin Festiwal 2026

56. edycja Jarocin Festiwalu, najstarszego festiwalu rockowego w Polsce, zapowiada się ekscytująco. Podczas trzech lipcowych dni na scenie zobaczymy Lecha Janerkę i Voo Voo Wojciecha Waglewskiego. Republika powraca z koncertem specjalnym „Moja krew, twoja krew" z okazji 40. rocznicy występu na jarocińskiej scenie. Jubileusze działalności artystycznej obchodzić będą Sztywny Pal Azji i The Bill. Zagrają m.in. Acid Drinkers, Houk Generation X, Dezerter, Leniwiec, Closterkeller, Farben Lehre i wielu innych. Szczegóły oraz bilety dostępne są na stronie: **www.jarocinfestiwal.pl.**

16-19 lipca *(rp)*

25. Fotofestiwal



Pierwsza w Polsce wystawa ikonicznych kadrów kronikarza Ameryki Philipa Montgomery'ego, londyńskie rude lisy w obiektywie Carlosa Alby, świnka na rodzinnych fotografiach Fenga Li czy artystyczne uniwersum Augustina Rebeteza – jubileuszowa edycja Międzynarodowego Festiwalu Fotografii w Łodzi proponuje spojrzenie na fotografię jako przestrzeń dialogu, krytycznego myślenia i budowania nowych form wspólnoty. Szczegóły: **fotofestiwal.com/2026/**.

Łódź, do 28 czerwca *(ag)*

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. AGNIESZKA GRZYBOWSKA, HAWA, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

Piłkarze już nie cierpią, futbol nieco bardziej

Pierwsza seria gier mundialowych

Wojciech Kuczok

Wszyscy już się pokazali, pierwsza seria gier za nami, mundial wbrew powszechnym obawom wystartował bez przeszkód. Owszem, drużyn jest za dużo, meczów zanadto, ale dzięki temu można sobie w pierwszej fazie sporo odpuścić bez wyrzutów sumienia. Współczuję przyjaciołom mundialomanom, którzy wierni obsesji twardo próbowali oglądać wszystko, a potem snuli się po chodnikach jak nieumarli, z piachem w oczach, drażliwi i półprzytomni, aż w końcu i tak padli podczas któregoś ze spotkań, niekoniecznie tych nocnych.

Przed 12 laty Jerzy Pilch zapytany po brazylijskim mundialu, czy widział wszystkie mecze, odpowiedział: „Nie widziałem drugiej połowy Honduras-Ekwador i do tej pory sobą gardzę". Ja sobą gardzę za to, że zmuszałem się do zarywania nocy, by oglądać np. futbol specjalnej troski reprezentantów grupy A, gdzie mierzą się wyłącznie mierni z kiepskimi. Co wniosły kraje z federacji, którym pomnożono liczbę miejsc? Niewiele, wciąż to Europa trzyma się świetnie i pomimo gry w innej strefie czasowej, tudzież klimacie zgoła nieumiarkowanym, powiększa swoją przewagę nad resztą świata.

W najlepszym meczu pierwszej fazy turnieju zmierzyły się Anglia z Chorwacją. Pomimo falstartu Modricia (niebezpieczna strata i sprokurowanie karnego już na początku) Chorwacja pokazała świetny futbol i długo stawiała opór piekielnie mocnym Anglikom. Jedni i drudzy nie mają prawa nie wyjść z grupy, zwłaszcza po tym, co pokazali ich rywale w jednym z najsłabszych meczów mundialu – tu było widać najdobitniej różnicę poziomów i kultury piłkarskiej: Ghana z Panamą uprawiały kopaninę, Europejczycy sztukę futbolu.

Akurat w tym pokazie europejskiej fantazji miała miejsce bodaj największa dotąd kontrowersja sędziowska. Dominik Livaković obronił jedenastkę Harry'ego Kane'a, ale sędzia nakazał powtórkę, bo Chorwat jakoby za wcześnie wyszedł z bramki. Jeśli Livaković faktycznie oderwał się od linii, to niedostrzegalnie dla ludzkiego oka; takie aptekarstwo zalatuje sędziowską stronniczością. Skądinąd jako kibic reprezentacji Polski powinienem tę sprawę zmilczeć, wszak Robert Lewandowski dwukrotnie na ostatnich mistrzostwach świata i Europy trafiał z karnych przeciw Francji właśnie dzięki temu, że w podobnych okolicznościach dostawał od sędziów po dwie szanse.

Lionel Messi w jednym meczu pobił wszelkie rekordy – jako pierwszy w historii zagrał na szóstym mundialu i już dogonił Miroslava Klosego na szczycie rankingu mundialowych snajperów wszech czasów. Hat trick na mundialu tydzień przed 39. urodzinami – i to nie po wejściu z ławki, dostawieniu nogi, karnym czy jakimś farfoclu wpuszczonym przez nieudacznego bramkarza, tylko piękny, tłuściutki hat triczek po kropnięciach z dystansu i błyskawicznym starcie do dobitki. Messi w tym meczu szalał jak nastolatek, bawił się grą, z uśmiechem rozdawał piłki albo strzelał bezczelnie często. Kiedy trener go zdjął, 10 minut przed końcem, żeby uhonorować geniusza owacją na stojąco, przez chwilę wydawał się nawet zdziwiony, że musi zejść, przecież jeszcze by sobie pokopał, czemu ta mama tak wcześnie woła na obiad…

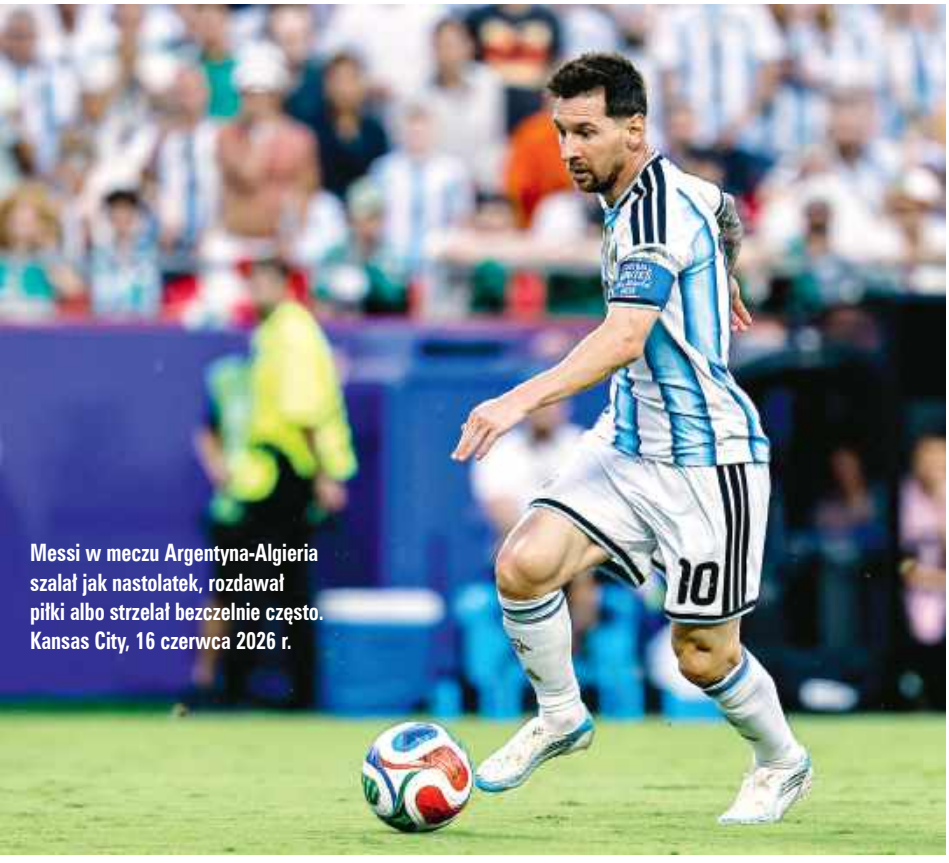
Messi w jednym meczu pobił wszelkie rekordy – jako pierwszy zagrał na szóstym mundialu i już dogonił Miroslava Klosego na szczycie rankingu mundialowych snajperów.

Największe gwiazdy współczesnej piłki już na dzień dobry potwierdziły swoje aspiracje: Mbappé, Kane, Haaland, Vinícius – walka o Złotą Piłkę nabrała rozpędu, ale możliwy jest arcyszpryngiel, bo ich wszystkich może pogodzić stary Leo Messi.

Kto powiedział „Czasu nie oszukasz"? Bzdura – nie tylko możesz go oszukać, ale i okiwać, przedryblować, ośmieszyć, a potem ukłonić się przed rozentuzjazmowanym tłumem i zejść nieśpiesznie z boiska przy standing ovation. To się nie śniło, choć się zdarzyło w środku europejskiej nocy: Messi-Messi-Messi, po trzykroć, a mogło być po czterokroć, tylko odrobinkę spalił na dzień dobry. To więcej niż celebra zwycięstwa mistrzów świata nad przeciętną Algierią, to fiesta triumfu człowieka w starciu z przemijaniem.

O ile Messi gra na luzie faceta, który w piłce osiągnął już wszystko i każdy mecz traktuje jak dodatkową premię od losu, z uśmiechem bijąc kolejne rekordy, o tyle Cristiano Ronaldo zdaje się toczyć z czasem walkę zajadlejszą, na jego twarzy nie ma tego beztroskiego uśmieszku bez mała 40-letniego chłopca, który dziwi się, że jeszcze może tak

eprasa.pl 3eb4cd8e4c



Messi w meczu Argentyna-Algieria szalał jak nastolatek, rozdawał piłki albo strzelał bezczelnie często. Kansas City, 16 czerwca 2026 r.

chyżo pomykać. CR7 ma w oczach strach faceta, który wie, że koniec jest blisko, że to już czas ostatnich szarż. Na które zresztą sił mu jakby brakowało. W meczu Portugalii z Demokratyczną Republiką Konga był najsłabszym ogniwem swojej drużyny, Portugalia de facto grała w dziesiątkę – to kolejny turniej, w którym trener ulega szantażowi emocjonalnemu i wystawia Ronalda w składzie na zgubę swojej reprezentacji.

Obie drużyny z Półwyspu Iberyjskiego zawiodły, ale Hiszpanie uczynili to w meczu, który należy uznać za największą dotychczasową sensację. Remis z Cabo Verde nabiera dodatkowych smaczków, jeśli spojrzeć w zadziwiające statystyki. Owszem, Republika Zielonego Przylądka zaparkowała w polu karnym autobus, ale był to najpiękniej zaparkowany autobus w historii – drużyna broniąca się przez 90 minut sfaulowała tylko raz! Kabowerdeńczycy oddali rywalom piłkę, słusznie zakładając, że nie ma co się kopać z koniem, po czym skupili się na perfekcyjnym destruowaniu poczynań Hiszpanów. Liczba czystych wślizgów, odbiorów dzięki antycypowaniu intencji przeciwnika, do tego fantastyczny 40-letni bramkarz legalnie kradnący każdą sekundę (strzałów nie próbował łapać, tylko lekko wypuszczał przed siebie, a piłkę chwytał dopiero, gdy dobiegał do niego gracz rywali).

Środkowy napastnik Hiszpanów Mikel Oyarzabal został tak skutecznie wyłączony z gry, że przez pierwsze pół godziny nie dotknął piłki! Nawet przed wracającym po kontuzji Lamine'em Yamalem, wprowadzonym pod koniec, afrykańscy wyspiarze nie pękli, ze stoickim spokojem powściągając jego ofensywne zapędy.

Jak trzeba wygrywać w roli faworytów, pokazali Niemcy. Potwierdzili, że są narodem bezlitosnym i zlali Curaçao jak berlińska policja katolicki Gang Olsena alias Bąkiewicza – w obu przypadkach ręce same mi się składały do oklasków. 7:1 to najwyższy dotąd wynik w mistrzostwach, ale mam przeczucie graniczące z pewnością, że ten rekord zostanie pobity.

Francuzi w świetnym meczu z Senegalem potwierdzili, że są nieziemsko mocną drużyną i pozostają głównym faworytem do tytułu, a Kylian Mbappé w meczu z Irakiem może istotnie podreperować konto bramkowe – po pierwszej serii gier ma dwa gole straty do Messiego i Klosego w rankingu wszech czasów. Swoim inauguracyjnym dubletem przeskoczył już legendarnego Justa Fontaine'a, choć trzeba przypomnieć, że Fontaine swoich 13 trafień zaliczył na jednym mundialu w 1958 r.

Pozytywnie zaskoczyli Szwedzi, których postponowano za odpuszczone eliminacje, duet napastników Isak-Gyökeres rozmontował Tunezję wzorowo. Zawiedli Brazylijczycy – w meczu z Marokiem długo nie potrafili wyjść z własnej połowy, remis uratowali dzięki geniuszowi Viníciusa. Męczyli się Belgowie z Egiptem – jeden superdrybler Doku to za mało, weterani, którym przewodzi De Bruyne, nie są już tacy wspaniali, a reszta drużyny raczej jest w melancholii wobec starzenia się liderów, niż daje się porwać młodej fali. Turcja, którą tradycyjnie w turniejach mistrzowskich typuje się do roli czarnego konia, równie tradycyjnie rozczarowała fatalną porażką z Australią. Młode wilki Güler i Yılmaz nic nie wskórały, a Socceroos wygrali po kapitalnych kontrach.

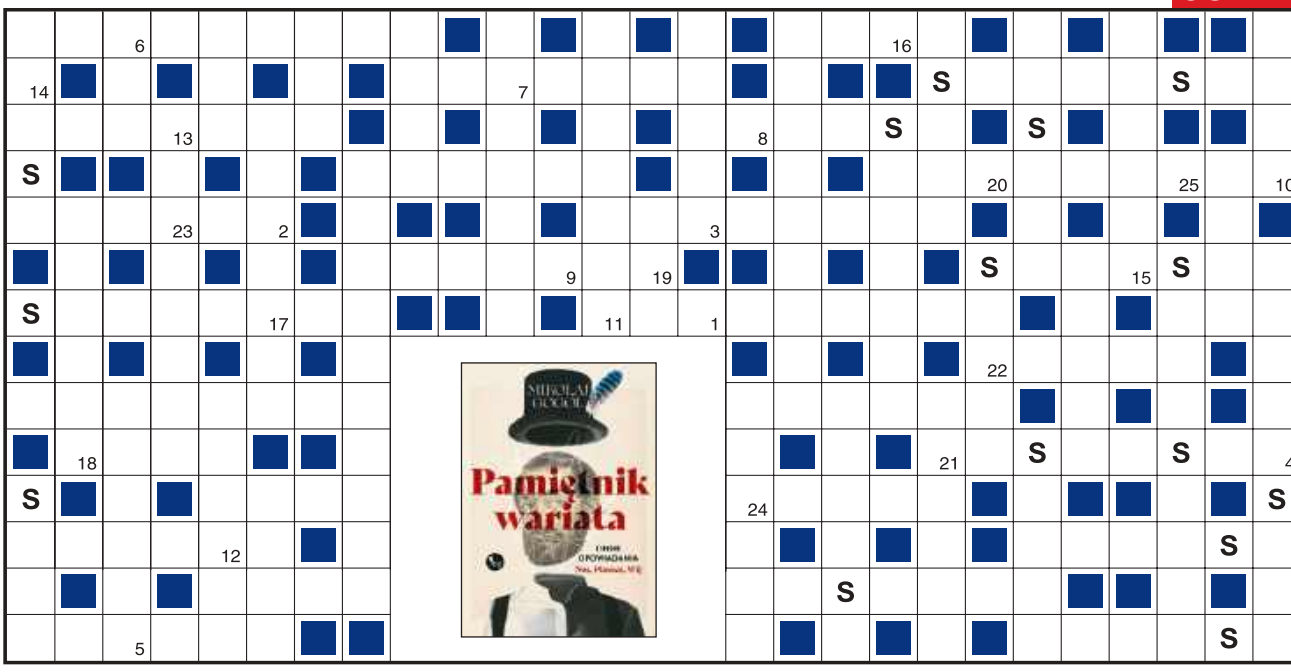
Jeśli komuś brakowało topornej piłki rodem znad Wisły, też nie może narzekać, bo w roli niemrawych Polaków występują Czesi. Nieporadni w ataku, bazujący na stałych fragmentach (głównie wyrzutach z autu), grający prymitywny futbol, zdają się pierwszymi kandydatami do odpadnięcia po porażce z mierną Koreą i remisie z beznadziejną RPA.

Nowinki regulaminowe na razie świetnie się sprawdzają: nakaz zejścia na minutę zawodnika wzywającego pomoc medyczną zaowocował cudowną wytrzymałością sportowców – Tomasz Łapiński w studiu telewizyjnym zauważył, jaka to ulga, że piłkarze wreszcie przestali tak cierpieć po faulach. Tym samym nabierają też sensu dwie dodatkowe trzyminutowe przerwy – hydration breaks, czyli w rzeczywistości commercial breaks – zawodnicy odzyskują tych kilka chwil na regenerację, które stracili z powodu obostrzeń regulaminowych. ■

FOT. GRZEGORZ WAJDA/REPORTER

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 25 utworzą końcowe hasło.

- pijali go Rimbaud, Verlaine i de Musset
- współbrzmienie kilku dźwięków
- pourazowa niepamięć
- papuga hiacyntowa lub żółtoskrzydła
- w dębowych dojrzewa bordeaux
- lampy, księżyca, bijący od klejnotów
- bolesne dentystyczne wiercenie
- potocznie o śmiałku, zuchwalcu
- Kazimierz, reżyser pamiętnych „Dziadów”
- dziesięć lat
- biały Um z kreskówki
- …ścisłego zarachowania
- twardy nakaz, narzucanie woli
- w duecie z Masztalskim
- przymusowe usunięcie lokatora
- zewnętrzna ściana budynku
- protoplasta Rzymian, który uszedł z Troi
- epopeja o protoplaście Rzymian
- …Caldwell, autor „Poletka Pana Boga”
- palny gaz w ropie naftowej
- federacja (w skrócie) organizująca mundial
- skrzesana, by zapalić ogień
- mąż św. Anny, dziadek Jezusa
- potocznie o hucznej uroczystości
- spis dni całego roku
- mieczowy, orderu lub operowy srebrnej róży
- tężyzna fizyczna
- Jan, poeta, polski działacz na Śląsku Cieszyńskim
- marka pierwszych aparatów małoobrazkowych
- „bagażnik” statku
- wywierany lub kładziony na coś
- liga (w skrócie) Jeremy’ego Sochana
- do usuwania substancji trujących
- sklepowe promocje lub sprzyjające sytuacje
- zbójnik, pan Łysej Góry
- religia – …ludu
- chemiczny zabieg w sadzie
- stylizowane polskie godło na czapce
- …Chmiel, czyli Henryk Jerzy Chmielewski
- i tkanina, i broń drzewcowa
- nakreślony projekt
- majątku po rozwodzie albo łupów
- niejedna na kempingu
- płynie przez Koblencję i Kolonię
- doprowadza zwaśnione strony do ugody
- dół, rów po przejściu łyżki koparki
- Charlie, grał Chrisa Taylora w „Plutonie”
- król, co ruszył na odsiecz Wiednia
- jabłko w trawie
- kształt Galaktyki Andromedy
- grupa, która wkrótce pożegna przedszkole
- w sklepie, na targach lub budka z pamiątkami
- …bursztynowy – staro-żytna trasa handlowa
- łopatka dla tynkarza
- „czy to kapcan, czy to pan, na Wesele przyjdzie w…”
- krojony przez młodą parę
- psie wyczekujące leżenie
- rozpuszczać je – rozsyłać wiadomość
- Wielki lub Mały na niebie
- połączenie przypadkowych elementów

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1279”. Do rozlosowania książki „Pamiętnik wariata i inne opowiadania” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 28 czerwca 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1276” z nr. 23: *Nie napełni się worka słowami.*

Nagrody otrzymują: Jarosław Biernat z Warszawy, Eugeniusz Komorowski ze Świdnicy, Stanisław Majda z Bydgoszczy.

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

Ameryka, Ameryka

Trzech emerytowanych ambasadorów siedziało niedawno przy zielonej herbatce (bo zdrowa) i zabawiało się cytatami. O Ameryce.

Oto nasz Wielki Brat odezwał się w sprawach polskich. Ustami Eda Martina, pełnomocnika prezydenta USA ds. ułaskawień. „Spotkałem się z Ziobrą kilka tygodni temu – mówił Martin polskim mediom. – Jest bardzo rozważny. Dla Amerykanina minister sprawiedliwości to bardzo ważna funkcja. To w pewnym sensie najwyższe stanowisko po prezydencie". I dodawał z troską: „Widzieć, jak jest atakowany przez media, przez system sądowy i przez Tuska – to się wydaje niemożliwe. Niby niemożliwe, ale widzieliśmy właśnie, jak Trumpowi robili to samo. Moim zdaniem Ziobro jest na wiele sposobów jak Trump. (…) Rzeczy, które robił każdy inny minister sprawiedliwości, teraz nazywają przestępstwem. Aż trudno się to mówi. Sowieci byli na waszej ziemi nie tak dawno temu. A to wygląda jak sowiecki komunizm, powrót globalistów".

Dla człowieka ważnego w trumpowskim establishmencie, którego poglądy odzwierciedlają to, co w administracji amerykańskiej dziś się myśli, rząd Donalda Tuska jest więc jak „sowiecki komunizm". A, dodajmy, Edward R. Martin Jr. to nie jest osoba przypadkowa, tylko ważny polityk Partii Republikańskiej, z grupy trumpistów. Był mocno zaangażowany w ruch Stop the Steal (Powstrzymać Kradzież), który kwestionował wyniki wyborów prezydenckich w 2020 r. W styczniu 2025 r. Trump mianował go na funkcję tymczasowego prokuratora federalnego w Waszyngtonie. A Biały Dom komunikował: „Prezydent Trump dokonał doskonałego wyboru". Martin zaś po objęciu stanowiska natychmiast zwolnił 30 prokuratorów, którzy zajmowali się sprawami związanymi z atakiem na Kapitol 6 stycznia 2021 r.

Wybuchła wtedy awantura, a potem doszły dodatkowe sprawy. Okazało się, że Martin ma na koncie ponad 150 wystąpień w rosyjskich mediach i – co istotne – nie ujawnił ich w kwestionariuszu przesłanym do senackiej komisji ds. sądownictwa. W latach 2016-2014 Martin był regularnym gościem kanałów Russia Today i Sputnik. Mówił tam różne rzeczy, m.in. niedługo przed 24 lutego 2022 r. twierdził, że „nie ma dowodów" na rosyjskie przygotowania wojskowe na granicy z Ukrainą. A kilkanaście dni po tym, jak wojna wybuchła, pisał na Twitterze: „Czytałem, że Putin to szalony tyran, ale także, że jest bohaterem. Skąd wiadomo, w co wierzyć?".

Dodajmy do tego jeszcze jeden element. Otóż Zbigniew Ziobro mógł uciec do USA, bo dostał amerykańską wizę, i to po interwencji na najwyższym szczeblu z Departamentu Stanu. Tym interweniującym był Christopher Landau, zastępca Marca Rubia. Landau to także przedstawiciel ruchu MAGA, który o państwach europejskich mówi tak: „Nie możemy udawać, że jesteśmy partnerami, gdy te kraje pozwalają na to, by niewybrana, niedemokratyczna i niereprezentatywna unijna biurokracja w Brukseli prowadziła politykę cywilizacyjnego samobójstwa".

Oto więc widzimy, kto chroni Ziobrę w USA: ważni i wpływowi członkowie rządu, jak najgorzej życzący Unii Europejskiej, dobrze patrzący na Władimira Putina. Taką mamy dziś Amerykę…

Attaché



Maurício Ruffy rozgrzewa się w Zielonym Pokoju przed walką z Michaelem Chandlerem. Na trawniku Białego Domu została zorganizowana gala mieszanych sztuk walki UFC Freedom 250, by uczcić i 250. rocznicę powstania USA, i 80. urodziny Donalda Trumpa. Waszyngton, 14 czerwca 2026 r.

FOT. AP PHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl 3eb4cd8e4c







CAROL GUZY,
CZTEROKROTNA ZDOBYWCZYNI PULITZERA

Dzięki temu, że spędzam dużo czasu ze swoimi bohaterami, mogę uchwycić intymne chwile, które poruszają odbiorców na bardzo głębokim poziomie. To szczególnie ważne w czasach, gdy media społecznościowe zasypują ludzi ogromną ilością wizualnego szumu, z którego niewiele wynika. „Miami Herald" wydrukował cały cykl, a nie tylko pojedyncze zdjęcia, co zazwyczaj się dzieje w moim przypadku. Trudno mi walczyć o swoje, więc jestem pod tym względem kiepską freelancerką. Z drugiej strony bycie wolnym strzelcem ma swoje plusy. Mogę wymyślać własne projekty i poświęcać im tyle czasu, ile potrzebuję. Na fotografowaniu aresztowań imigrantów w sądzie spędziłam pół roku. Mówię o nowojorskim sądzie. Z tego, co się orientuję, to jedyny sąd imigracyjny w USA, który pozwala mediom na robienie zdjęć. Przychodziłam tam codziennie. Wielu moich kolegów fotografów też całkowicie zaangażowało się w relacjonowanie tej sprawy. Nasza obecność sprawiała, że agenci ICE musieli się bardziej kontrolować. Słyszałam od jednego z prawników, że funkcjonariusze są bardziej brutalni wobec imigrantów, gdy nie ma dziennikarzy.

DR KONRAD PRANDECKI,
WICEPRZEWODNICZĄCY KOMITETU PROGNOZ PAN

Zgodnie z koncepcją Jerzego Kleera obecnie jesteśmy w przededniu powstania nowej cywilizacji, która nie ma jeszcze jednoznacznej nazwy. Niektórzy mówią o cywilizacji informacyjnej, inni o postprzemysłowej, a jeszcze inni o wiedzy lub mądrości. W tym ostatnim zakresie warto wspomnieć o pracach prof. A. Kuklińskiego. Istotne jest jednak, że zauważa się głębokie przemiany, które wykraczają daleko poza geopolityczne gry, przyciągające uwagę opinii społecznej. W mojej opinii znajdujemy się obecnie w okresie co najmniej dwóch przesileń cywilizacyjnych. Po pierwsze, w krajach wysokorozwiniętych mamy do czynienia z przesileniem związanym z tworzeniem się nowej cywilizacji oraz, po drugie, w krajach rozwijających się obserwowane jest przejście od cywilizacji rolniczej do przemysłowej z elementami postprzemysłowej. Wydaje się, że to drugie przejście nie jest tak brutalne, jak to się odbyło 200 lat temu w Europie, ale również powoduje wiele perturbacji.

JANUSZ PANASEWICZ,
LIDER LADY PANK

Bycie z Olecka jest ważne?

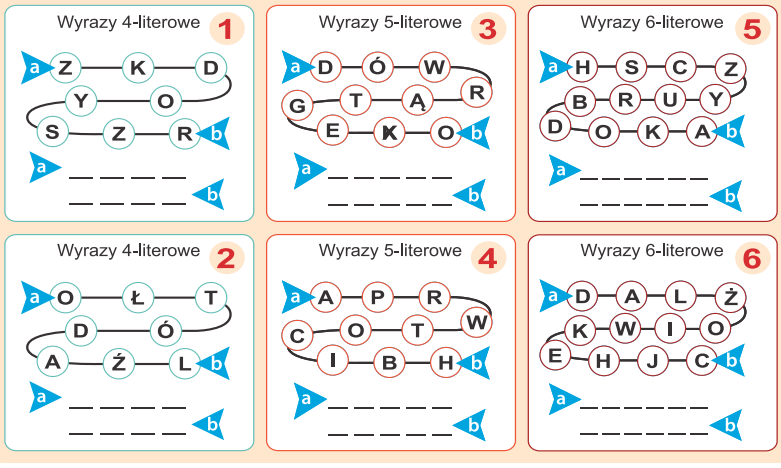
– Zdecydowanie. Czasem myślę: skąd ciągle mam ochotę, by robić coś nowego? I dochodzę do wniosku, że ten napęd jest stamtąd. Że ukształtował nas srogi klimat. I te zimy, kiedy trzeba było sobie znaleźć zajęcie. Mnie energia rozsadzała, wszystko mnie interesowało i wciąż byłem nienasycony. Od strony jeziora wylewała woda – gdy tylko zamarzała, robiliśmy lodowisko do hokeja. Szuflami odgarnialiśmy śnieg, tak żeby powstał placyk 5 na 10 m. I jazda! A jak lody topniały, zaczynało się pływanie, żaglówki. Byłem nadzwyczaj sprawny fizycznie, grałem w koszykówkę, skakałem wzwyż, do wszystkiego się garnąłem. Dziś żartuję, że dzięki młodzieńczej aktywności nic mnie nie boli – mimo skończonej siedemdziesiątki.

FOT. AMEM (2), SEKCJA GIMNASTYCZNA

eprasa.pl 3eb4cd8e4c

W DWIE STRONY

Poruszając się wzdłuż linii (raz w jedną, raz w drugą stronę) i przeskakując niektóre litery, odczytaj w każdym diagramie dwa wyrazy.



ROZWIĄZANIA: KOSZ, RYDZ, ŁÓDŹ, LATO, WĄTEK, OGRÓD, PROCH, BITWA, SZYBKA, ODRUCH, DŻOKEJ, CHWILA



Aby język giętki…

PROF. JACEK MAJCHROWSKI
O ŁUKASZU GIBALE

On chce sobie kupić Kraków. Dysponuje nieograniczoną ilością pieniędzy, nie swoich, tylko tatusia, które pochodzą głównie ze sprzedaży alkoholu.

WOJCIECH KONOŃCZUK
O DECYZJI ZEŁENSKIEGO

Nie wynika z braku wyobraźni politycznej. Jest to działanie świadome i wyrachowane.

JAN KLATA O PAŁACU SASKIM

Źli ludzie ruszyli z odbudową. Wycięli kilkanaście pięknych drzew. Zastanawiałem się, czy nie przykuć się do jednego z nich, ale postawili płot. Byłem tylko oniemiałym świadkiem tego barbarzyństwa.

DR ALEKSANDER OLECH
O AMERYKAŃSKICH WOJSKACH W POLSCE

Dalsze zwiększanie liczebności traci sens. Nasz budżet nie udźwignie kosztów utrzymania kolejnych tysięcy Amerykanów.

MAJA CHWALIŃSKA O TELEFONACH

Może tak było, że dzwonił prezydent, ale nie odbieram telefonów od nieznajomych, tylko od mamy, taty i trenera.

EDWIN BENDYK O PRZYSZŁOŚCI AI

Sztuczna inteligencja na razie żyje na kredyt i nadmuchuje wielką bańkę inwestycyjną. Pęknie czy się rozwinie?

ARTUR ANDRUS O WALETOWANIU

Student pomieszkujący kątem u innych studentów był symbolem ludzkiej solidarności. „Ej, ty! Wychodzę na zajęcia, teraz możesz spać na łóżku".

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Beata Igielska, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska **j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl**
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 3eb4cd8e4c



After The Barber Room



Playing The Pink Panter

Pablo Caviedes

Reencounter. Ponowne spotkanie

Pablo Caviedes to wybitny artysta pochodzący z Ekwadoru, od lat tworzący na styku kultur. Jego prace wyrastają z osobistej historii oraz refleksji nad relacją człowieka z naturą, pamięcią i przestrzenią. Podejmuje on zarówno tematy społeczne, związane z migracją, tożsamością i przemianami współczesnego świata, jak i zagadnienia formalne, takie jak cisza, monochromatyczność czy siła znaku malarskiego. „Ponowne spotkanie" to zaproszenie do dialogu – z obrazem, z własnym doświadczeniem i z drugim człowiekiem.

Galeria Sztuki Wirydarz – Piotr Zieliński
Lublin, ul. Grodzka 19
do 20 września



Seller of illusions



They Look Like Us

eprasa.pl 3eb4cd8e4c



Patronat honorowy
Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Partnerzy
Partnerzy Medialni
Organizator
JAZZ ART FUNDACJA
eprasa.pl 3eb4cd8e4c



AFRICAN BEATS

FESTIVAL

FATOUMATA DIAWARA • **ELIDA ALMEIDA**
MALI — CABO VERDE

TAMIKREST • **KANAZOE ORKESTRA** • **KASIVA MUTUA** • **YEKO**
MALI — BURKINA FASO — KENIA — FRANCJA

MORIBAYA • **NANDAKIKE** • **RASM ALMASHAN** • **P-PENTATONIQUE FEAT. QUEEN RIMA**
POLSKA — POLSKA — JEMEN — GWINEA/MALI

SPOTKANIA PODRÓŻNICZE • WARSZTATY BĘBNIARSKIE: **AMARA TOURE & SEKOU CAMARA (GWINEA)**
STREFA DJ AFROBEATS • WARSZTATY TANECZNE: **MOHAMED DABO & LOLOU SYLLA (GWINEA)**
AFRICAN ESCTATIC DANCE • KINO FESTIWALOWE • STREFA DLA DZIECI • RYNEK AFRYKAŃSKI
WARSZTATY WOKALNE: **SADJO SIDIBÉ (GWINEA), MADOU KONTE (SENEGAL)** • STREFA SPORTU & MORE

7-9.08.2026, Kawęczyn k. Warszawy **Bilety i info: www. africanbeats.pl**

AGENCJA PERSPEKTYWY · Lokaah · TORRE · AfryKamera · NOWY ŚWIAT · Przegląd · Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

eprasa.pl 3eb4cd8e4c